

# Co już było

antologia



Gdański Klub Fantastyki

To już było  
antologia

Dofinansowano ze środków Miasta Gdańska.



**GDAŃSK**  
miasto wolności

Informator GKF #290  
wydanie specjalne

ISSN 1505-8475

Publikacja non-profit wydana w ramach projektu  
„Warsztaty prozatorskie dla młodzieży 2013 stopień zaawansowany”.

Redakcja:  
Magdalena Kaczmarczyk,  
Jan Plata-Przechlewski

Ilustracja na okładce:  
Sławomir Wojtowicz

Opracowanie graficzne:  
Ka Leszczyńska

Druk:  
Print Group Sp. z o.o.



**To już było**  
antologia



Gdański Klub Fantastyki  
Gdańsk 2013



## Spis treści

Praca nad talentem	5
Notki biograficzne	8
Mikołaj Cackowski, <i>Pierwiastek</i>	10
Adrian Kazanowski, <i>Potrzebujący</i>	24
Jan Rybicki, <i>Król Piotr</i>	46
Alicja Sein-Anand, <i>Ale to już było...</i>	55
Wojciech Wróbel, <i>Błysk istnienia</i>	68
Miła Popowska, <i>Ideal</i>	85
<i>Studium w bieli</i> – sztafeta literacka	102
I. Adrian Kazanowski	103
II. Michalina Biedrzycka	108
III. Agata Kawka	114
IV. Mikołaj Głazowski	118
V. Mikołaj Cackowski	122
VI. Jan Rybicki	128
VII. Wojciech Wróbel	136
VIII. Adrian Kazanowski	148

## Praca nad talentem

**K**iedy mówimy o pisarzach, a w szczególności o dobrych pisarzach, myślimy o nich zwykle w kategorii „talentu”. Jeśli podoba nam się to, co pisarz napisał, sądzimy, że ma talent. Jeśli nam się nie podoba – wówczas sądzimy, że talentu mu zabrakło. Jeśli podoba się średnio – to możemy powiedzieć co najwyżej, że jest to dobry rzemieślnik. Wciąż rzadko myślimy o pisaniu prozy w kategoriach umiejętności, której można – a nawet trzeba! – się nauczyć. Owszem, uczymy młodzież poprawności językowej, uczymy nawet, jak napisać recenzję albo rozprawkę, uczymy interpretować literaturę – ale nie uczymy pisania literatury. Literatura w szkole to coś, co się odbiera, przyjmuje – zależność jednostronna. W efekcie pisarze jawią się nam jak króliki wyskakujące z kapelusza. Jednego dnia pisarza nie było, a dzień później pojawia się na okładce książki albo w nagłówku opowiadania. Błysk geniuszu, iskra boża – oto jak rodzą się prozaicy w Polsce.

W Gdańskim Klubie Fantastyki sądzimy, że talent jest bardzo ważny. Jednocześnie zauważamy, że talent niewsparty praktyką nie jest tak samo użyteczny, jak talent wyćwiczony. Kiedy zauważamy, że ktoś dobrze i pewnie prowadzi samochód, nie sądzimy, że to geniusz. Sądzimy raczej, że to doświadczony kierowca, który przejechał co najmniej kilka-kilkanaście tysięcy kilometrów i nabrał wprawy. Nie ma powodu, dla którego mielibyśmy inaczej traktować pisanie prozy. Jak każda umiejętność, również tworzenie prozy wymaga ćwiczeń.

Rzadko zdarzają się tacy pisarze, którzy od razu, w młodym wieku, wskoczyli na poziom „drukowalności”. Jacek Dukaj, Dorota Masłowska – to przykłady polskich autorów, którzy już w bardzo młodym wieku odnieśli sukces i zaczęli regularnie publikować. Kiedy rozmawia się z pisarzami, w większości przypadków słyszy się jednak inne historie.



„Najpierw napisałem dwie powieści, ale nie nadawały się do druku”.  
„Przez lata pisałam do szuflady, zanim cokolwiek opublikowałam”.

Początkujący twórcy niemal zawsze borykają się z tym samym problemem: są sami. Czegokolwiek chcą się nauczyć, muszą dojść do tego samodzielnie. Nie znają innej metody jak tylko próby i błędy, ponieważ nikt nie uczy ich, jak nauczyć się pisania. Często przystępują do pracy bez planu i bez klarownej wizji, a w szczególności bez praktyki. Tymczasem metoda prób i błędów zajmuje dużo czasu. Na nauce pisania prozy tą metodą można spędzić całe lata, pisząc całymi setkami stron teksty, które nigdy nie zostaną opublikowane. Owszem, każde sto stron napisanej prozy przybliży do upragnionego celu i pozwala wyciągać wnioski z własnych błędów. Każda praktyka jest cenna. Jednak zanim dojdziemy do celu, może minąć sporo lat.

Na szczęście istnieje znacznie szybsza metoda. Nikt nie może nauczyć talentu, ale talent można wesprzeć praktyką. Naprzeciw tej potrzebie wychodzą warsztaty prozatorskie dla młodzieży organizowane przez Gdański Klub Fantastyki. Ich pierwsza edycja miała miejsce w 2011 r. Wówczas warsztaty skierowane były do nieco młodszych uczestników, ich celem było przekazanie wiedzy nt. podstawowych technik literackich oraz szlifowanie poprawności językowej, a ich formuła stanowiła połączenie wykładów teoretycznych i ćwiczeń praktycznych. W roku 2013 zdecydowaliśmy się zorganizować dwie edycje. Edycja „podstawowa”, w formule podobnej do tej z 2011 roku, odbędzie się jesienią. Edycja zaawansowana – nastawiona przede wszystkim na ćwiczenia praktyczne – odbyła się wiosną 2013 r., a jej owoc Czytelniczki trzymają w ręku.

W ramach warsztatów „zaawansowanych” odbyło się 30 godzin spotkań, prowadzonych przez wspaniałą Magdalenę Kaczmarczyk. Sesje rozpoczynały się od krótkiego omówienia wybranych zagadnień z zakresu tworzenia prozy, takich jak: rodzaje narracji, konstrukcja postaci, budowanie scen, język postaci. Następnie zadaniem uczestników było stworzenie (na miejscu) krótkiego tekstu prozatorskiego z zastosowaniem wybranych technik. Kolejna część zajęć poświęcona była omawianiu przygotowanych „wprawek literackich”.

Jedną z sesji poświęconą była technicznemu przygotowaniu tekstu do druku oraz zagadnieniom składu. Sesję tę poprowadził Grzegorz Szczepaniak, posiadający wieloletnie doświadczenie pracy w wydawnictwach książkowych.

Dodatkowym zadaniem uczestników było przygotowanie opowiadania z wykorzystaniem technik i umiejętności wyniesionych z zajęć.

Uczestnicy mogli – choć nie musieli – wykorzystywać „wprawki” przygotowane na zajeciach. Z tej możliwości skorzystali niektórzy autorzy. Spośród wszystkich uczestników sześciu ukończyło zadanie. Ich utwory prezentujemy w niniejszym zbiorze. Choć w Klubie lubimy fantastykę, konwencja literacka i tematyka prac nie były ograniczone. W związku z tym jeśli niektóre opowiadania „zahaczają” o fantastykę, wynika to z preferencji Autorów. Inne utwory są z kolei bardziej „głównonurtowe”.

Chciałbym zwrócić uwagę Czytelników, że głównym celem projektu były ćwiczenia warsztatowe. Chodziło w nich o skuteczne zastosowanie technik tworzenia prozy. W związku z tym ocenę tego, które z prezentowanych opowiadań jest najlepsze, pozostawimy Czytelnikom. Jednocześnie możemy śmiało podkreślić, że poziom przygotowanych opowiadań jest więcej niż zadowalający. Co najmniej niektóre z nich mogłyby śmiało znaleźć się w profesjonalnych periodykach literackich.

Równoległe do zajęć powstawała „sztafeta literacka”, w ramach której autorzy tworzyli opowiadanie kryminalne w odcinkach. Kolejne odcinki miały rozgrywać się w świecie stworzonym przez pierwszego autora i uzupełnionym przez autorów odcinków poprzedzających. Należało zachować charakter postaci oraz związki przyczynowo-skutkowe pomiędzy wydarzeniami, a także dbać o szczegóły, które zostały już określone. Autor odcinka proponował trzy możliwości dalszego rozwoju akcji – grupa decydowała przez głosowanie, którą możliwość wybiera. Osoby głosujące mogły podać jeden element świata przedstawionego, który chciały umieścić w następnym odcinku opowiadania. Z podanych elementów autor kolejnego odcinka wybierał trzy celem użycia w tekście. Cały projekt był świetną zabawą, która pozwoliła na stworzenie wspólnymi siłami interesującego opowiadania. Efekt pracy Autorów prezentujemy na końcu zbioru.

Wszystkie prezentowane utwory zostały poddane redakcji Magdaleny Kaczmarczyk i Jana Platy-Przechlewskiego.

Warsztaty odbyły się dzięki dofinansowaniu Miasta Gdańska w ramach konkursu organizowanego przez Biuro Prezydenta ds. Kultury. Bardzo dziękujemy za wsparcie, bez którego organizacja warsztatów nie byłaby możliwa.

**Michał Szklarski**

koordynator warsztatów,  
wiceprezes GKF



## Notki biograficzne

**Mikołaj Cackowski** – ma osiemnaście lat i chodzi do III LO w Gdańsku. Lubi czytać i pisać. W szóstej klasie podstawówki spróbował napisać coś swojego, jednak pierwsze opowiadanie udało mu się ukończyć później, w drugiej klasie gimnazjum. Od tamtej pory pisuje opowiadania, a w liceum zaczął pisać wiersze. Najbardziej lubi fantastykę, ale czyta także powieści z innych gatunków. Jego ulubionymi seriami są zdecydowanie „Harry Potter”, opowiadania i saga o wiedźminie oraz „Pieśń Lodu i Ognia”.

Ψ

**Adrian Kazanowski** – tegoroczny maturzysta, od października student Wydziału ETI na Politechnice Gdańskiej. Miłośnik kina duńskiego, szeroko rozumianej fantastyki i powieści kryminalnych. Amator kanadyjskiego rocka. Dorywczo prozaik, permanentny zwolennik poezji polskiej.

Ψ

**Miła Popowska** – to miłośniczka fantastyki oraz wszystkiego, co jest trudne do wyjaśnienia. Mocno wierzy, że życie posiada drugie dno i uparcie próbuje je odnaleźć. W tym celu stara się posmakować wszystkiego: od zajęć teatralnych do nauki języka japońskiego. Pisać opowiadania zaczęła z nudów – tworzenie nowych światów jest dla niej nie ucieczką od rzeczywistości, ale tworzeniem jej na nowo. Zuza też pozdrawia.



Ψ

**Jan Rybicki** – chodzi do liceum, do klasy matematyczno-fizycznej. Niemal histerycznie zainteresowany wszystkim, co wpadnie mu w ręce. Od kiedy pamięta, wymyśla i spisuje historie, światy i wydarzenia. Napisał kilkaset stron nieukończonych opowiadań, książek i epopoi. Żywi nadzieję, że kiedyś uda mu się stworzyć coś w pełni satysfakcjonującego i żyć pisząc. Jako plan „B” przewiduje ucieczkę do Peru i prowadzenie tam wykopalisk archeologicznych, ewentualnie pracę kierowcy koparki w Rosji – w każdym razie coś nowego i ekscytującego. Przechodzi okres fascynacji „Mistrzem i Małgżatą” Bułhakowa, którą poleca każdemu, kto jeszcze nie czytał.

Ψ

**Alicja Sein Anand** – tegoroczna maturzystka, przyszła studentka slawistyki. Amatorka czekolady i dalekich podróży. Zainteresowana dwiema odmiennymi kulturami, w których wychowywali się jej dziadkowie. Jeden z nich urodził się w Indiach, a drugi na polskich Kresach Wschodnich.

Ψ

**Wojciech Wróbel** – uczeń Ogólnokształcącej Szkoły Sztuk Pięknych w Gdyni-Orłowie, łączący w sobie przerażającą mieszaną ambicji i lenistwa. Wielki fan twórczości Terry’ego Pratchetta i fanatyczny miłośnik prozy George’a R.R. Martina. Początkowo upust swoim pokładom wyobraźni dawał jedynie podczas rysowania i sesji RPG. Teraz zdecydował się chwycić za symboliczne pióro – czyli klawiaturę. Jak dotąd zasłynął tylko jednym skromnym opowiadaniem. Coraz bardziej jednak przekonuje się, że jeśli nie będzie w swoim życiu toczyć batalii z tym symbolicznym piórem, na łożu śmierci uzna swoje życie za zmarnowane. Niezwykle ceni sobie koty i fantastykę.





Mikołaj Cackowski

*Kiedy zaś Pan widział, że wielka jest niegodziwość ludzi na ziemi i że usposobienie ich jest wciąż złe, żałował, że stworzył ludzi na ziemi, i zasmucił się. Wreszcie Pan rzekł: «Zglądzę ludzi, których stworzyłem, z powierzchni ziemi: ludzi, bydło, zwierzęta pelzające i ptaki powietrzne, bo żał mi, że ich stworzyłem».*

*(Rdz 6, 5-7)*



– Witam państwa serdecznie, nazywam się James Johnson i zapraszam na wiadomości specjalne w BBC World News. Właśnie otrzymaliśmy informację, że z niewielkiej ilości nieznanego dotąd pierwiastka, którego bogate złoża zostały niedawno odkryte na Wenus, można tanio wytworzyć dużo energii. Dzisiaj w studio gościmy profesora Noah Faitha, któremu, mimo młodego wieku, zlecono badanie właściwości pierwiastka. Dzięki jego ciężkiej pracy wiemy teraz, jakie ten nowy pierwiastek ma możliwości. Dzień dobry, panie profesorze.

– Dzień dobry.

– Proszę nam opowiedzieć o szczegółach, profesorze Faith.

– Pół roku temu otrzymałem do laboratorium kilkadziesiąt gramów pierwiastka z poleceniem przebadania go. Zresztą, nie tylko mnie to zlecono. Paru innych specjalistów też dostało to zadanie. Mieliliśmy na bieżąco wysyłać wyniki naszych badań do bazy. Z czasem okazało się, że moje eksperymenty są najefektywniejsze i postanowiono dać mi na wyłączność badanie pierwiastka. Trzy tygodnie po tym wydarzeniu udało mi się uzyskać z niego energię. Było jej niesamowicie dużo.

Z moich obliczeń wynika, że jeden kilogram tego pierwiastka może zapewnić zasilanie Stanom Zjednoczonym Europy przez miesiąc.

– To daje nam sporą nadzieję.

– Tak. Myślę jednak, że minie kilkanaście lat, zanim będziemy mogli korzystać z jego możliwości. Nie wiadomo, jakie mogą być skutki wytwarzania z niego energii, czy proces ten miał wpływ na środowisko i czy nie zagraża zdrowiu.

– Ile może kosztować produkcja energii z tego pierwiastka?

– Ehm... W zasadzie sama produkcja jest tania; jednak, na dzień dzisiejszy, transport pierwiastka z Wenus na Ziemię jest znacznie droższy. Poza tym, jak już mówiłem wcześniej, minie wiele lat, zanim będziemy mogli korzystać z tej energii bez obaw.

– Czy sądzi pan, że zasilanie obiektów sportowych na następnych igrzyskach olimpijskich energią z tego pierwiastka znacznie zmniejszy koszty organizacji olimpiady?

– Czy pan mnie w ogóle słucha? Ta energia nie będzie dostępna...

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– No cóż... Gdyby zasilanie nim było możliwe... Przyznam szczerze, że nie mam pojęcia.

– Pozostaje nam tylko czekać.

– Ale...

– Dziękuję za rozmowę, profesorze Faith. Była bardzo pouczająca.

– Dzi-dziękuję?

## II

Tajne zebranie przywódców państw należących do ONZ-etu miało się zaraz zacząć. Zostało ono zorganizowane na prośbę profesora Noah Faitha, laureta Nagrody Nobla w dziedzinie chemii za badania nad nowym pierwiastkiem.

Ciężko mu było wybrać termin, który odpowiadałby każdej głowie państwa, na sali znalazło się więc, oczywiście kilkunastu zaufanych ambasadorów. Na szczęście, nie zabrakło dwóch najważniejszych osób – prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Satou Keiko oraz prezydenta Stanów Zjednoczonych Europy Georgesa Bousqueta.

Profesor Faith cierpliwie czekał, aż wszyscy się wygodnie rozsiądą na miękkich siedziskach jednej z największych sal wykładowych Uniwersytetu w Cambridge. Dlaczego wybrał akurat Cambridge? Nie wiedział, równie dobrze mógłby być to Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, Sorbona w Paryżu, czy Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles. Czysty przypadek.



Gdy wreszcie gwar poddenerwowanych głosów ucichł, a oczy zebranych skupiły się na jego sylwetce, Faith wstał. Miał na sobie zwykły czarny garnitur, białą koszulę i ciemny krawat.

Omiótł zmęczonym wzrokiem ludzi siedzących przed nim i przemówił:

– Przyjaciele! – Już pierwsze słowo wzbudziło emocje u zebranych. Jedni byli oburzeni, że się tak spoufala, drudzy zaczęli słuchać z jeszcze większym zainteresowaniem. – Przyjaciele – powtórzył – część z was zapewne wie, dlaczego poprosiłem o tak nietypowe zebranie. Chodzi oczywiście o pierwiastek.

Nie musiał mówić, o jaki pierwiastek chodzi. Wszyscy wiedzieli. I wszyscy jak jeden mąż ciężko westchnęli.

– Nie zamierzam powtarzać tych wszystkich argumentów, które przez ostatnie kilka lat przedstawiałem w mediach. Zdecydowałem się na to spotkanie, ponieważ jestem już zmęczony. Jestem zmęczony tymi wywiadami do radia, do gazet, do telewizji. Pisaniem artykułów...

– Pewnie zauważył, że rozmawiają z nim już tylko ekofaszyci! – skomentował niezbyt dyskretnie półgłosem jakiś mężczyzna.

Profesor uśmiechnął się do siebie.

– Będzie to moja ostatnia próba – kontynuował niezrażony – aby przekonać was do swoich racji. – Zrobił krótką, efektowną pauzę. – Sprawa jest prosta. Albo wstrzymacie się z produkcją energii z nowego pierwiastka i dystrybucją jej na dużą skalę do czasu poznania skutków ubocznych, albo ja rezygnuję z dalszych badań. Możecie mnie oskarżyć o szantaż, nikt wam nie uwierzy.

– Każdy z nas ma tutaj kilkudziesięciu świadków... – powiedział niepewnie jeden z ambasadorów po chwili pełnej napięcia ciszy.

– Przypominam panu, że oficjalnie to spotkanie nie ma miejsca. Chce pan nagłośnić sprawę? Proszę bardzo, niech się pan tłumaczy przed Ruskimi i Chinolami z tajnego spotkania, proszę tylko zwrócić uwagę na fakt, że czwartej wojny ta planeta już nie wytrzyma. Czy ktoś ma jeszcze jakieś wątpliwości?

Wśród zebranych zapanowała grobowa cisza.

– Dziękuję. Jak dobrze wiecie, nie jestem przeciwny wykorzystywaniu energetycznego potencjału naszego znaleziska, jednak jest to pierwiastek nowy i uważam, że zanim zdecydujemy się zrobić z niego użytek, powinniśmy znać skutki. Decyzja należy do was.

Na sali wybuchł zgiew. Każdy chciał coś powiedzieć. Zgodzić się z profesorem albo mu zaprzeczyć. Jakiś facet głośno beknął, jakaś kobieta bez pruderii oznajmiła, że musi siku... Słowem, politykowali w najlepsze.

– CISZA! – krzyknęła prezydent Satou Keiko. Wrzask był na tyle głośny, że od razu wszyscy zamilkli. Nikt bowiem nie przypuszczał, że tak drobna kobietka może wydać z siebie taki dźwięk. – Proszę dać nam chwilę, zaraz to rozwiążemy – zwróciła się do profesora.

Sama uważała, że Noah Faith ma rację, nie mogła jednak decydować za wszystkich.

– Jak chce pani to osiągnąć? – zapytał rzeczowo.

– W każdym z reprezentowanych tutaj państw jest demokracja. Zagłosujemy – powiedziała wzruszając ramionami.

Ψ

Głosowanie miało miejsce zdala od sali wykładowej, w której odbyło się spotkanie; prezydent Stanów Zjednoczonych wyprowadziła gdzieś wszystkich polityków – nie mówiąc profesorowi, gdzie.

Po niecałej godzinie wrócili. Kilkanaścioro reprezentantów, w tym Satou Keiko, szło wyraźnie niezadowolonych, natomiast większość tryskała entuzjazmem.

Gdy wszyscy w końcu usiedli, Satou Keiko wstała.

– Większość zagłosowała za dalszym wykorzystywaniem energetycznego potencjału pierwiastka – oznajmiła. – Przykro mi profesorze. – Spuściła głowę.

– Cóż, zdecydowaliście państwo! – powiedział prawie beztrzęsio profesor i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Nikt z zebranych już go więcej nie widział.

III

Gospodarka na świecie nigdy przedtem nie trzymała się aż tak dobrze. Wydobywanie rudy nowego pierwiastka na Wenus było coraz szybsze i tańsze. W ciągu ostatnich lat Rosja i Chiny spłaciły reparacje za III wojnę światową i nawiązały przyjazne stosunki z państwami Zachodu.

Satou Keiko przegrała następne wybory z reprezentantem Republikanów, którzy w ostatnich latach gorąco nawoływali do produkcji energii z pierwiastka. Została jednak zapamiętana jako dobra prezydent, robiąca to, co uważała za najlepsze nie tylko dla własnego kraju, ale także dla całego świata. Pod koniec swojego urzędowania została uhoonorowana Pokojową Nagrodą Nobla. Powodziło się jej całkiem nieźle.

Profesor Noah Faith nie porzucił badań nad pierwiastkiem. Wręcz przeciwnie – poświęcał na to większość swych wolnych chwil. Prowadził dalsze prace prywatnie i po prostu nie dzielił się swoimi wynikami z żadnymi rządowymi organizacjami.





A miałyby czym się dzielić. Odkrył wiele zdumiewających zastosowań dla pierwiastka, takich jak roztwór, którym można nasączyć tkaninę, aby uczynić ją niewidzialną na pewien czas, czy substancja wzmacniająca szkło, dzięki której grubość szyby przeciwpancernej zmniejszyłaby się z dwudziestu centymetrów do około dwóch, co znacznie obniżyłoby jej koszt produkcji.

Jeśli zaś chodzi o rzecz najistotniejszą, czyli o ewentualne szkodliwe efekty uboczne przetwarzania pierwiastka, profesor wciąż ponosił porażkę. Wszystko wskazywało na to, że ich po prostu nie ma. On w to jednak nie mógł uwierzyć. Lata poszukiwań stały się przyczyną obsesji, która skończyć się mogła tylko potwierdzeniem hipotezy lub śmiercią badacza. Nie było innej możliwości.

Z czasem rzucił pracę na uniwersytecie, dzięki czemu mógł poświęcić więcej czasu na swoje badania. Ktoś mógłby zapytać, z czego żył, nie mając pracy. Trzeba zatem wiedzieć, że odkrycie energetycznego potencjału pierwiastka przyniosło mu wiele nagród, spośród których spora część, oprócz wspaniale wyglądającej na półce statuetki, oferowała dofinansowanie, których łączna wartość była o wiele wyższa niż to, czego potrzebowali skromnie żyjący profesor i jego żona.

Tak, profesor Noah Faith miał żonę. Kochającą i wierną żonę, która szczerze wierzyła, że jej mąż nie się mylił. Jego obsesja znacznie ochłodziła ich relacje, ale miała nadzieję, że mu się uda. Musiało mu się udać. A potem wszystko będzie po staremu. Biedna kobieta.

Wszyscy zastanawiali się, jak to w ogóle możliwe, że są razem. Ona, chrześcijanka codziennie czytająca Biblię, artystka malująca obrazy – i on, ateista, naukowiec pogrążony w obsesji na punkcie swojej pracy.

To nie tak, że profesor żony nie kochał; po prostu pierwiastek opętał jego umysł, tak jak dzieła życia najwybitniejszych artystów pętają ich umysły. Okres pracy nad nimi jest zwykle czasem wielkich wyrzeczeń i cierpienia, które mają swój koniec dopiero wtedy, gdy dzieło jest ukończone i doskonałe. A dzieło profesora nie zostało ukończone. Logicznym więc było, że cierpiał. Cierpiał, bo wiedział, że nie uda mu się dowieść prawdziwości swojej hipotezy. Cierpiał, bo jego żona cierpiała. Cierpiał, ponieważ mimo tego całego cierpienia prowadził dalsze eksperymenty, wiedział bowiem, iż gdyby tego nie robił, jego cierpienie byłoby po stokroć większe.

Noah Faith nie mógł wiedzieć, że tego dnia wszystko miało się zmienić. Że ten dzień miał być przełomowy, chociaż nie w taki sposób, w jaki ktokolwiek mógł się tego spodziewać. A zaczął się przecież tak niewinnie...

Dzień zaczął się niewinnie. Profesor Faith obudził się o szóstej rano – i delikatnie, powoli, tak aby nie obudzić żony, wysunął się z pokrytego niebieską pościelą łóżka. Przemaszerował na palcach po chabrowym, puszystym dywanie i usiadł przy komputerze.

Po kilku chwilach, jak co tydzień, przełał sto euro na konto Greenpeace'u. Wspierał ich, ponieważ lubił czytać o ich radykalnych manifestach. Czasami zdarzało im się buntować przeciwko pierwiastkowi, więc nie były to źle inwestowane pieniądze.

Następnie udał się do niewielkiej kuchni, gdzie przygotował skromne śniadanie. Sobie i żonie. Usiadł przy stoliku i, pogryzając od czasu do czasu tosta z serem i szynką, czytał gazetę. Nic ciekawego.

Dopił resztkę gorzkiej, czarnej kawy, wziął szybki prysznic, ubrał się w pierwsze lepsze ciuchy, na które narzucił biały fartuch i udał się do piwnicy, gdzie mieściło się jego prywatne laboratorium.

Laboratorium, którego mógłby pozazdrościć niejeden naukowiec CERN-u i którego łączna powierzchnia kilkakrotnie przekraczała łączną miarę całego domu.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił zaraz po wejściu, było, jak zwykle, włączenie ekspresu do kawy. Z filiżanką gorącego płynu podszedł do stolika na środku pomieszczenia i zaczął pracę. Mieszał, mierzył, notował, drapał się po głowie, pił kawę i tak cały czas, aż do piętnastej. O piętnastej przerwał pracę i poszedł do kuchni, gdzie wspólnie z żoną zjadł przygotowany przez nią obiad. Podczas posiłku profesor opowiedział żonie o poczynionych postępach, a ta słuchała go w skupieniu, starając się zapamiętać każde słowo.

– W takim tempie szybko potwierdzisz swoją hipotezę – chwaliła go.

Profesor, jak zwykle, pokręcił głową, powiedział, że czeka go jeszcze mnóstwo badań i że nie wie, czy w ogóle uda mu się udowodnić cokolwiek.

Chwilę jeszcze porozmawiali, aż w końcu Noah udał się z powrotem do laboratorium, z którego wyszedł o dwudziestej na kolację. Po kolacji wrócił do laboratorium i pracował aż do pierwszej.

I gdy już miał się wspiąć po schodach do sypialni, nieoczekiwanie rozległo się głośne pukanie do drzwi. Pukanie, które nie tylko przerwało monotonną rutynę profesora, ale także zmieniło jego życie.

Doczłapał się przez wąski korytarz do mocnych, dębowych drzwi i zerknął przez wizjer.

Pusto.



Otworzył drzwi. Nie dostrzegł nikogo w najbliższej okolicy. Nie słyszał także niczego oprócz cicho pohukującej sowy i spokojnego cykania pasikoników.

Już miał wrócić do domu, gdy na wycieraczkę zauważył niewielki przedmiot. Uniósł go i zaczął uważnie oglądać. Miał kształt sześcianu, a wykonano go z jakiegoś dziwnego stopu. W dotyku był szorstki, jednak łagodne krawędzie nie kaleczyły palców. Na jednej ścianie znajdowało się niewielkie szkarłatne wybrzuszenie w kształcie rombu, zapewne przycisk.

Profesor bezwiednie wcisnął go, nie oczekując żadnego efektu. Ale efekt był. I to zaskakujący.

Najpierw otoczyło go jasne oślepiające światło. Profesor na próżno starał się szukać jego źródła. Następnie pogrążył się w mroku o wiele ciemniejszym niż noc, towarzyszyło temu wrażenie, że się unosi. A w każdym razie przestał czuć ziemię pod sobą.

Odczuwał to jeszcze przez kilka sekund, gdy w końcu jego stopy dotknęły jakiejś posadzki znacznie twardszej niż chodnik przed jego domem.

W końcu zapaliły się światła, ukazując mu okrągły obszar o średnicy zaledwie czterech metrów.

Niespodziewanie światło zgasło, a Noah zobaczył pod sobą budynki i poruszających się między nimi ludzi. Unosił się nad nimi, chociaż cały czas czuł pod sobą twarde podłoże. Dziwiło go słońce widoczne na niebie mimo nocy. Po chwili wszystkie drzewa, kwiaty i nawet trawa zaczęły więdnąć. Kilka sekund później wszystkie ludziki upadły i już się więcej nie ruszały.

I nagle odezwał się głos. Tajemniczy, ale łagodny głos.

– To, co widzisz, to mój świat, profesorze. Życie w nim wyglądało zupełnie jak w pańskim, ale do czasu...

– Kim jesteś? - zapytał Noah.

– Przybyszem z daleka. Niosę ze sobą przykrą wiadomość dla Ziemi. Obserwujemy was od kilku lat i dowiedzieliśmy się, że popełniacie nasz dawny błąd. Swego czasu my też odkryliśmy w swoim systemie pierwiastek, którego duże złoża znaleźliście na Wenus. Zaczęliśmy wykorzystywać jego energetyczne możliwości, aż w końcu dostrzegliśmy zagrożenie, jakie stwarzał.

Profesor zamarł.

– Gaz, który się uwalnia podczas przetwarzania pierwiastka, jest niezwykle niebezpieczny – kontynuował głos. – Po pewnym czasie zaczyna niszczyć całą roślinność. Jak sam pan wie, bez roślinności nie

ma tlenu. Według naszych obliczeń roślinności Ziemi zostało pół roku, potem nie będzie ratunku.

– Co zatem zrobić?! Czy jest na to jakiś sposób?

– Jest. Ale wymaga poświęceń. Udało nam się stworzyć substancję, która rozkłada pierwiastek, ale zabija przy tym wszystkie istoty rozumne.

– Jak więc udało się wam przeżyć? Ludzkość nie może zginąć – denerwował się profesor.

– Byliśmy od was bardziej zaawansowani technologicznie. Mieliśmy statki kosmiczne osiągające prędkość światła. Damy panu plan budowy takiego statku. Ale tylko panu, profesorze. Z naszych obserwacji wynika, że tylko pan poświęcał siebie, szukając niebezpieczeństwa. Uznaliśmy, że ludzie nie zasługują na życie na Ziemi i postanowiliśmy, że wszyscy zginą. Oprócz pana i pańskiej żony. Wskażemy panu koordynaty niezamieszkałej planety zdolnej do życia, na której będziecie przebywać do czasu, gdy dostaniecie wiadomość o końcu zagrożenia. Wtedy wróćcie i odtworzycie swój gatunek.

– Ale przecież...

– To wszystko, profesorze. Ma pan pięć miesięcy i dwadzieścia dni, po tym czasie rozprzestrzenimy substancję oczyszczającą w ziemskiej atmosferze. Proszę stąd wyjść.

Znowu niespodziewanie rozbłysło oślepiające światło, ale tym razem Noah nie pograżył się w ciemności. Wyleciał z jakiegoś otworu w powietrze około sześćdziesięciu metrów nad swoim domem. Nad sobą ujrzał olbrzymi statek kosmiczny. Na kadłubie widniał wyraz, napisany o dziwo alfabetem łańskim:

Theo – zapewne nazwa statku.

Profesor, niesiony nieznaną siłą, powoli zbliżał się ku ziemi, a kiedy wreszcie jej dotknął statek zniknął. Sekundę potem usłyszał ogromny huk.

Profesor Faith jeszcze przez kilka minut stał pod drzwiami swego domu, obserwując niebo.

Było takie jak zawsze. Ale wszystko się zmieniło.

Ψ

Następnego dnia rano nie udał się do laboratorium. Nie wstał nawet z łóżka. Leżał i rozmyślał.

Czy to aby nie był sen? – pytał wciąż siebie, chociaż wiedział, że obok niego na szafce nocnej leży plan budowy statku kosmicznego.

Spojrzał na niego.

Czyżby rzeczywiście tylko on zasługiwał na ratunek? Nie był przecież najlepszym z ludzi. Skąd to wyróżnienie?



Poza tym, już nie byli z żoną tacy młodzi. Dlaczego to im powierzono odtworzenie całego gatunku, czy w ogóle będą w stanie to zrobić? W końcu oddalili się od siebie. Mimo że razem sypiali, już dawno nie doszło między nimi do jakichś miłosnych uniesień.

Czy ona w ogóle w to uwierzy? Tak bardzo mu ufała, gdy mówił o pierwiastku, czy będzie w stanie znieść fakt, że lata badań, wyrzeczeń i ochłodzenie ich relacji poszło na marne? Wreszcie: czy zgodzi się z nim polecić?

Być może powinien podzielić się swoją wiedzą ze światem? Ale czy ktokolwiek mu uwierzy? Czy przybysze z kosmosu zgodzą się po tym uratować Ziemię? Pewnie nie. Głos wyraźnie zaznaczył: nikt poza nim i żoną nie jest godzien ocalenia.

Ale można by zamieszkać na tej niezamieszkannej planecie.

Nie. Pomyślał profesor. Trzeba uratować Ziemię. A ludzkość czerpała z niej tyle, że teraz musi się dla niej poświęcić.

O ósmej zabrzączał budzik. Obudziła się żona, a widząc go obok siebie zamarła. Pierwszy raz od kilku lat jej mąż nie poszedł rano do laboratorium. Bała się najgorszego.

Noah, odczytawszy jej pytające spojrzenie, streścił wydarzenia ostatniej nocy. Pokazał plan budowy statku kosmicznego i wytłumaczył ich rolę w odtworzeniu gatunku ludzkiego.

Słuchała go w milczeniu. Gdy skończył swą opowieść – nadal milczała. Patrzyła na niego przez chwilę, a w końcu uśmiechnęła się i powiedziała:

– Chodź, zrobimy razem śniadanie.

Nie oponował.

Ψ

Tego dnia profesor już nie pracował. Spędził cały dzień z żoną, odrabiając stracone lata. Czy uda im się odrobić wszystkie? Raczej nie. Ale nie przeszkadzało im to. Po prostu cieszyli się sobą.

Nad pierwiastkiem profesor nie pracował już nigdy. Nie było przecież niczego do udowodnienia; należało teraz skupić się nad budową statku kosmicznego. Nie spędzał nad tym tyle czasu, co nad badaniem pierwiastka, jednak, żeby zdążyć na czas, musiał poświęcić nowym obowiązkom zaledwie kilka godzin dziennie.

Statek nie miał być wielki, jednak posiadał skomplikowaną konstrukcję, a najdrobniejszy błąd mógł sprawić, że maszyna nie zadziała.

Mimo tego – praca szła mu nadzwyczaj sprawnie, a ponadto czuł się jakby młodszej.



Po około czterech miesiącach profesor ukończył statek, z czego był bardzo dumny. Jedyne, co mu teraz zostało, to czekać. A podczas oczekiwania dopadły go wątpliwości.

Dlaczego substancja oczyszczająca miała zabić tylko istoty rozumne, a nie wszystko, co żyje? Czyżby rozum aż tak wyróżniał człowieka spośród innych zwierząt? Jakoś nie mógł w to uwierzyć.

Z braku konkretnych wniosków, wziął plan budowy statku do ręki i zaczął go jeszcze raz uważnie studiować. Nie dojrzał nic szczególnego.

Nagle coś małego pacnęło go w głowę. Noah z początku myślał, że to jakiś duży owad, jednak zaraz potem usłyszał stłumiony odgłos uderzenia czegoś niezbyt ciężkiego o pokrytą dywanem podłogę.

Uniósł przedmiot na wysokość oczu i zaczął go uważnie oglądać, tak jak wcześniej przycisk, dzięki któremu znalazł się na statku kosmitów.

Był to niewielki metalowy walec zakończony z jednej strony głośnikiem, a z drugiej strony czerwonym guzikiem. Wcisnął go.

Z głośnika wydobył się cichy chrzęst, a zaraz potem nieco sztywny głos.

– Dzień dobry, profesorze Faith. Jestem przewodniczącym Międzygwiazdnej Organizacji Pokoju. Nasza Organizacja zrzesza mieszkańców naszej galaktyki, którzy pragną pomagać sobie nawzajem i żyć ze sobą w zgodzie.

Mieliśmy zamiar wysłać naszych ambasadorów na Ziemię z zaproszeniem do dołączenia do Organizacji.

Jednak odkryliśmy w waszym systemie działalność wrogiej nam rasy. Wysłaliśmy roboty szpiegujące na ich statek i okazało się, że planują eksterminację ludzkości i założenie własnej kolonii na waszej planecie.

Wszystko, co powiedzieli panu o pierwiastku to kłamstwo. Wcale nie jest szkodliwy, zresztą oni sami go używają, co mogę panu łatwo udowodnić. Proszę wziąć do ręki teleporter, który pan znalazł pod drzwiami swojego domu.

Profesor nie ufał temu głosowi, a jednak zrobił to, o co go poprosił.

Następnie tajemniczy osobnik podawał mu instrukcję demontażu urządzenia, a Noah wykonywał wszystkie polecenia.

W końcu udało mu się dotrzeć do rdzenia, który rzeczywiście zasilany był energią pierwiastka!

Profesor był kompletnie skołowany, nie wiedział, co o tym myśleć.

– Jeśli udało się panu rozmontować teleporter, widzi pan zapewne, że mówiłem prawdę. Gdyby miał pan jeszcze wątpliwości, odtworzę





panu nagranie rozmowy, którą podsłuchały roboty szpiegujące ze statku kosmicznego krążącego aktualnie nad Ziemią.

Profesor usłyszał cichy trzask, a następnie stłumione głosy:

– ... tylko miesiąc, a potem spokojnie będziemy mogli skolonizować tę planetę – powiedział pierwszy głos.

– Najpierw trzeba będzie oczyścić ją z ciał – zwrócił uwagę drugi.

– To będzie dość czasochłonne.

– Taa... - zgodził się pierwszy.

– Wciąż bawi mnie ten pomysł z profesorem. On sobie wyleci w kosmos, oczywiście nie dotrze do żadnej niezamieszkanego planety, zapewne zginie gdzieś w przestrzeni kosmicznej, a my sobie zajmiemy jego planetkę.

– Ten pomysł nie miał być zabawny – tłumaczył pierwszy drugiemu.

– Prawda jest taka, że ten pierwiastek nie ma żadnych skutków ubocznych, co by wkrótce odkrył. Co więcej, używając wytworzonej z niego energii, Ziemia mogłaby nas odeprzeć i spowodowałibyśmy wojnę, czego oczywiście nie chcemy. Dlatego trzeba było odsunąć profesora od badań...

Z głośnika znowu rozległ się trzask. Dzięki temu nagraniu w pełni uwierzył owemu tajemniczemu przywódcy kosmicznej Organizacji.

– Niestety, muszę pana powiadomić – rozległ się znowu głos – że nie uda się nam wysłać statku będącego w stanie zniszczyć wrogą jednostkę na czas. Nasza baza znajduje się na drugim końcu galaktyki i te półtora miesiąca, które wam zostały, to zdecydowanie za mało. Jesteście więc zdani tylko na siebie. Przykro mi profesorze. Jeśli jakimś cudem uda wam się odeprzeć zagrożenie, powitamy was w Organizacji z otwartymi rękoma. Żegnam.

Noah miał wrażenie, że serce biło mu tak szybko, że aż stanęło. Ziemi groziło wielkie niebezpieczeństwo. Jak ludzie mają się mierzyć z tak wysoce zaawansowaną technologicznie rasą?! Nie ma dla nich nadziei...

Niespodziewanie dopadły go wyrzuty sumienia.

Jak mógł być tak naiwny? Od początku coś nie pasowało w tej historii. Powiedzieli mu wszystko, co chciał usłyszeć, a on w to bezgranicznie uwierzył.

Z jakiej w ogóle racji skazał całą ludzkość? Kim on był, żeby oceniać, kto zasługuje na śmierć, a kto nie? Kto powinien się poświęcić... Według większości religii tylko Bóg ma takie prawo. A on? On nie był nikim ważnym. Jednym z miliardów ludzi na Ziemi. Dlaczego więc przywłaszczył sobie boskie prawa, choć sam w żadnego boga nie wierzył? Noah sam nie potrafił siebie zrozumieć.

Musiał teraz naprawić swój błąd. Wiedział nawet jak.

Najpierw wziął czystą kartkę papieru, naskrobał na niej kilka zdań, poszedł do sypialni i położył ją na szafce nocnej żony, która spała spokojnie w ich łóżku.

Następnie udał się na strych, gdzie czekał na niego nowoczesny teleskop. Skorzystawszy z niego, wyszedł z domu.

Ψ

Panią Faith obudziło rano głośnie brzęczenie budzika. Śniło jej się, że słyszała ogromny huk w nocy. Obróciła głowę w prawo i spostrzegła, że jej męża nie ma w łóżku, co od dawna nie miało miejsca. Zdziwiło ją to i zaraz rozpoczęła poszukiwania.

Nie było go w kuchni, w łazience, w laboratorium ani na strychu. Odkryła, że z ogrodu zniknął statek kosmiczny. Bała się najgorszego.

Wróciła do sypialni i zauważyła kartkę leżącą na jej szafce nocnej. Zdziwiła się, że nie spostrzegła jej wcześniej. Wzięła ją do ręki i zaczęła czytać:

*Kochana Żono!*

*Czytasz ten list, zastanawiac się pewnie, gdzie jestem. Możliwe, że już odkryłaś zniknięcie statku kosmicznego, a jeśli nie, to zaraz to odkryjesz.*

*Wczoraj otrzymałem wiadomość od Międzygalaktycznej Organizacji Pokoju. Nie podali mi szczegółów na temat swej działalności, a jedynie ogólne informacje. Nie to jest teraz jednak ważne.*

*Poinformowali mnie, że kosmici, którzy zabrali mnie na swój statek kilka miesięcy temu, kłamali. Chcą po prostu wybić całą ludzkość, a naszą planetę uczynić swoją kolonią. Ci z Międzynarodowej Organizacji Pokoju wysłali na ich statek roboty szpiegujące, żeby ich podsłuchowały. Puścili mi jedno nagranie, jest wiarygodne. Oszukano mnie także w sprawie pierwiastka. Okazało się, że przetwarzanie go nie powoduje żadnych skutków ubocznych...*

Pani Faith łzy napłynęły do oczu.

*Co więcej, ci wrody kosmici sami używają energii z pierwiastka, co Organizacja była taskawa mi udowodnić.*

*Ci wrogo nastawieni przybysze bali się, że szybko odkryją brak zgubnych efektów przetwarzania pierwiastka, dlatego kazali mi lecieć daleko w kosmos, bo dzięki uzyskanej energii bylibyśmy w stanie ich odeprzeć.*





*Zamierzam teraz użyć teleskopu, żeby odkryć ich pozycję, a potem wlecieć w ich statek z prędkością światła. Takie uderzenie powinno zniszczyć go wraz z całą załogą.*

Kap! Jedna łąza zostawiła ślad na papierze zamazując część tekstu.

*Już się więcej nie zobaczymy.*

*Przepraszam. Przepraszam za te stracone lata, które spędziłem pielęgnując swą obsesję. Mam nadzieję, że ostatnie tygodnie choć w niewielkim stopniu Ci je wynagrodziły. Byłem strasznym mężem. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Ja naprawdę Cię kocham, choć może poświęciłem życie obsesji, nie Tobie. Dziękuję Ci, kochana Żono, że mnie nie opuściłaś, za wiarę we mnie i w moje badania, za kolejną szansę, którą udało nam się wykorzystać.*

Kap!

*Ziemię czeka wojna, jakiej jeszcze nie było. Musisz ich ostrzec, przekazać im wyniki moich badań nad pierwiastkiem i plan budowy statku kosmicznego. Na pewno im się przydadzą. Wszystko znajdziesz w moim laboratorium.*

Kap!

*Jeszcze raz chciałbym wyrazić nadzieję, że mi wybaczysz.*

*Twój na zawsze kochający mąż,  
Noah*

Kap! Kapkapkapkap...

## IV

– Panie prezydencie – powiedział zaafierowany czarnoskóry mężczyzna – właśnie otrzymaliśmy wiadomość od grupy, która miała sprawdzić informacje dostarczone przez panią Faith.

– Tak? – Surowy wzrok prezydenta padł na mężczyznę.

– Są na orbicie. Wszystko wskazuje na to, że kobieta mówiła prawdę. Tam są zgliszcza dwóch statków kosmicznych. Oba znacznie przewyż-

szają nasze pod względem technologii. Zaczęli operację poszukiwania ciał.

Niespodziewanie prezydenta coś niewielkiego pacnęło w głowę...

Ψ

W chwilach smutku żona profesora Faitha zwykle czytała fragment Biblii. Tak też postanowiła uczynić i tym razem, chociaż najpierw powinna skontaktować się rządem.

Podeszła ociężale do komputera, otworzyła Biblię online i kliknęła Generuj losowy werset. Poczekała sekundę, aż strona się załaduje i przeczytała:

*[Tylko] Noego Pan darzył życzliwością.*







# Potrzebujący

Adrian Kazanowski

*Sprzedaj mi swoją duszę  
Inny się kupiec nie trafi,  
Innego diabła już nie ma.*

W. Szyborska, „Prospekt”

Rok 2096

Szczęk kluczy w zamku obudził z otępienia starego owczarka niemieckiego. Zerwał się z postania i przewróciłby swoją właścicielkę, gdyby ta w porę nie zagroziła mu drogi laską. Odsunął się posłusznie, skulił w kłębek w rogu pokoju, pozwalając tym samym wejść swojej pani do środka. Trzask drzwi od mieszkania spowodował wołanie docierające z łazienki.

– Eva? To ty? – zapytał męski głos.

– Tak, wróciłam... – powiedziała emerytka, zdejmując płaszcz i kapelusik, spod którego wysypała się kaskada siwych loków. – Przepraszam, że tak długo, ale autobus mi uciekł... Wiem, że się spieszysz, David. Nie chciałam ci zabierać zbyt dużo czasu, ale nie miałam go z kim zostawić.

Z łazienki wyszedł, otrzepując ręce z wody, łysy, czerstwy staruszek ubrany w nienagannie wyprasowaną koszulę w szare prążki. Widząc psa w kącie, podszedł do niego i przykucnął, strzelając kolanami.

– Spokojnie, Baltazar – powiedział, drapiąc owczarka za uchem. Baltazar podniósł się z ziemi i zaczął rezolutnie machać ogonem, partrząc z wyciągniętym jęzorem na Davida. – Pani nie chciała cię przestraszyć... Będzie dobrze. A tymczasem trzymaj się, muszę lecieć.

Ledwo zdążył to powiedzieć – Baltazar podniósł łeb i polizał go w policzek. Spojrzał z lekką obawą, czy nie zrobił nic złego, po czym szybko wbiegł do kuchni. David podniósł się z klęczek i odwrócił do Ewy, wycierając mokrą twarz rękawem.

– Dobrze, teraz to na pewno muszę już iść, czekałem na tę wizytę u urologa dwa miesiące. Wszystko w porządku? – spytał niedbale, narzucając na siebie tweedową marynarkę.

Eva podniosła torebkę z haczyka na ścianie i wyjęła z niej małą prostokątną paczkę ze znaczkiem. Pokazała mu ją i uśmiechnęła się protetycznie.

– Po prostu zostawiłam w sanatorium swój dziennik, więc mi go odesłali. Całe szczęście... Kiedyś coś mi się stanie przez tę sklerozę.

– Nie przejmuj się, każdemu się zdarza. – zaśmiał się, otwierając drzwi wyjściowe. – I tak cię kocham, siostrzo. Trzymaj się.

I wyszedł. Eva została sama w sześćdziesięciometrowym mieszkaniu. Był jeszcze Baltazar, ale to nie to samo. Jednak po latach pracy samotność we własnym mieszkaniu była czymś, o czym marzyła. A teraz na emeryturze miała jej pod dostatkiem, co z reguły ją cieszyło.

Po wyciągnięciu z torebki zakupionych lekarstw i po zrobieniu sobie herbaty, Eva poszła pomału do dużego pokoju – uważając, by nie rozlać ani kropli. Dość skutecznie przeszkadzał jej w tym Baltazar, jednak w końcu triumfalnie dotarła do kanapy. Usiadła na niej wygodnie, a po chwili na jej udach znalazł się łeb owczarka, domagającego się pieszczot. Jedną ręką Eva głaskała pupila, drugą natomiast sięgnęła po, leżącego na ławie, pilota od wieży stereo. Wyszukała odpowiednią stację akurat w momencie, gdy Baltazar stwierdził, że wystarczy mu już głaskania na dzisiaj i zeskoczył na wykładzinę, lekko potrącając przy tym stół i rozlewając napój. Eva pospiesznie wytarła blat jakimiś magazynami, które miała pod ręką i odsunęła na bezpieczną odległość paczkę pocztową. Dopiero teraz sobie o niej przypomniała, więc gdy tylko uratowała obrus, sięgnęła po nią i zaczęła rozdzierać papier do pakowania.

Gdy w radiu odtwarzali akurat utwór „Forever Not Yours” zespołu A-ha, Eva wyciągnęła z pakunku czerwony, lekko rozklejający się dziennik, z którego wystawały różne kawałki gazet. Sama je tam kiedyś wkładała. Otworzyła go na stronie, gdzie tkwił największy wycinek, napisany po francusku.

Eva zaczęła studiować niektóre fragmenty, mimo że wiele z nich dawniej znała na pamięć.

SPÓR O BLIŹNIACZE WYSPY





Dwie wyspy powstałe niedawno w basenie Morza Bałtyckiego coraz bardziej interesują zachodnie imperia. Wydaje się jednak, że nowe tereny zostaną przydzielone pod zarząd Polski, gdyż około 85% powierzchni wysp znajduje się w obrębie polskich wód terytorialnych. Jednocześnie kanclerz Niemiec...

Przewróciła kilka stron w nadziei na znalezienie czegoś ciekawszego.

#### JAK NAZWAĆ NOWE WYSPY?

Rząd Polski zaproponował referendum w sprawie nadania nazw odkrytym wyspom. Największą popularność zdobyła propozycja Eden i Nod, znajdująca logiczne wytłumaczenie w biblijnej analogii. Zachodnia wyspa posiada liczne złoża surowców mineralnych, podczas gdy Nod to w większości ziemie nieurodzajne. Jeśli przyjmą się te nazwy, najpewniej ulice na wyspach przyjmą nazwy ksiąg biblijnych...

Na przeglądaniu podobnych wycinków Eva spędziła następne dwie godziny. Po pewnym czasie miejsce francuskich artykułów zajęły te z polskich dzienników. Czytając zapominała o całym świecie, czas mierzyła jedynie zmieniającymi się utworami w głośnikach. Trafiła akurat na przeboje swoich rodziców, a czasem nawet swoich dziadków i wydawało się, że nic nie wytrąci jej tego wieczora z równowagi. Była w świecie innym od rzeczywistego, przypominała sobie lata studiów, pracy, miłości. Nie chciała za żadne skarby uciekać z krainy marzeń i wspomnień.

I tak było aż do momentu, gdy natrafiła na artykuł: WYPADEK NA SŁUŻBIE?

Czytała pomału każde słowo, każdą literę, mimo iż wiedziała doskonale, czego się dowie. Takich spraw się nie zapomina.

Nim skończyła czytać, radiowiec jak na złość włączył Marylę Rodowicz.

Ale to już było

I nie wróci więcej...

– Tak... Niestety – powiedziała do samej siebie.

Ψ

Wiele lat wcześniej

Gabinet w niewielkiej, prywatnej klinice to dość dziwne miejsce na spędzenie sobotniego wieczoru – szczególnie dla niespełna trzydziestoletniej, samotnej blondynki, która powinna siedzieć teraz przed telewizorem lub sączyć drinka w jakimś lokalu razem z paczką przyjaciół. A Eva Feelgood nie narzekała nigdy na brak przyjaciół. Każdy z nich uważał, że potrafiła go zrozumieć lepiej niż ktokolwiek. Może

dlatego właśnie zdecydowała się na wybór tego zawodu. Nieważne, jak bardzo lubiła tę pracę – nic nie było w stanie usprawiedliwić tego, że spędza weekend za biurkiem.

Powód był jednak prosty: od dwóch tygodni zalegała z czynszem...

Zamiast więc w piżamie siedzieć przed telewizorem i oglądać powtórki „Tańca z gwiazdami” lub w jakimś klubie wydawać ostatnie pieniądze na martini i narażać się na obłapienie przez obcych, śmierzdzących alkoholem facetów – chcąc nie chcąc otworzyła dziś gabinet, uprzedziwszy o tym wcześniej swoich stałych pacjentów.

Gabinet terapeutyczny. Właściwie terapeutki. Ciemne, drewniane meble, ściany pomalowane na brązowo, stary, wolnostojący zegar z wahadłem, książki za szklaną gablotką, proste nowoczesne biurko, zavalone różnego rodzaju dokumentacją. Ten swoisty chaos na blacie tworzył się za każdym razem, nawet jeśli Eva starała się zachować jako taki porządek podczas pracy.

Przy biurku stały naprzeciw siebie dwa obrotowe fotele z IKEI, na wypadek gdyby pacjent-klient zrezygnował z kozetki o skórzanym obiciu stojącej pod oknem. Mimo skromnych środków „pani Eva” starała się jak najbardziej umilić wizytę swoim pacjentom. Nie tylko jeżeli chodzi o tak prostą rzecz jak meble. Pragnęła, by pacjent po wizycie miał dobre samopoczucie, przy stosunkowo małej zmianie stanu portfela. Nie miała więc określonej stawki za czas spędzony w gabinecie, ale za wizytę. Doprowadziła tym samym do sytuacji, w której stan jej portfela raczej nie zmieniał się na korzyść, toteż była zmuszona pracować w weekendy.

Było już po 22, gdy ciężkie, dębowe drzwi zamknęły się za około pięćdziesięcioletnią Kate, która przychodziła do niej od czasu ostatniego, trzeciego już w jej życiu rozvodu. Eva skończyła robić notatki ze spotkania, pisząc wielkimi literami u góry kartki imię pacjentki. Wstała z fotela i wyszła spokojnie na korytarz, skąd przez okno zauważyła, że pada deszcz i że samochód dentystki wynajmującej gabinet na parterze właśnie ruszył z parkingu. Eva była więc teraz sama w całym budynku. Zeszła na półpiętro, by zrobić sobie kawę. Po drodze napisała krótki sms do swojego brata: „Przyjedź”. Nastawiła ekspres w oczekiwaniu na mocną dawkę kofeiny. Chwilę później czarny wywar cienką strużką zapełnił białą filiżankę. Wzięła ją spokojnie w obie ręce, by nie uronić ani kropli, przeszła przez korytarz, wypełniony jedynie dźwiękami „Feel” Robbie’ego Williamsa, wydobywającymi się z głośnika radia. Wróciła po schodach do gabinetu, postawiła filiżankę na niewielkim stosie notatek, po czym odwróciła się, by zamknąć za sobą drzwi.



Gdy to zrobiła, skierowała się w stronę szklanej gabloty, otworzyła drzwiczki i wyciągnęła stamtąd sześć środkowych tomów encyklopedii, układając je równo na podłodze. Wsunęła rękę do luki powstałej między książkami. Wyjęła ukryty tam laptop. Podeszła do biurka i położyła go koło filiżanki. Obeszła biurko dookoła, opadła na fotel, od razu chwytając i łączywie pijąc kawę. Rozparła się wygodnie na oparciu, by znieruchomieć na chwilę. Po krótkim rozprężeniu podniosła ostrożnie klapę laptopa, uśmiechając się do swojego odbicia w szklanej tafli ekranu. Jej złote loki opadały na czoło, miała imponującej długości rzęsy. Poprawiła lekko grzywkę i wyciągnęła dłoń w kierunku włącznika, gdy nagle...

Spod stosu dokumentów dało się słyszeć początkowe takty „Dla Elizy”.

Eva szybkim ruchem zrzuciła kilka kartek na podłogę, uważając przy tym, by nie rozlać kawy, ponieważ wciąż trzymała w ręku filiżankę. W końcu wydobyla służbową komórkę i spojrzała na wyświetlacz, który głosił: „Połączenie: Służbówka ochrony”. Dość długo wahała się, czy odebrać, nie wiedząc, czego się spodziewać. Kto może mieć dzisiaj nocny dyżur? Czy to dzwoni ten staruszek, bo coś się stało, czy to po prostu ten smarkacz, który znowu chce ją zaprosić na piwo? Czuła takie zmęczenie, że nie miałyby siły na kurtuazję, gdyby znowu czegoś chciał. Postanowiła, że tym razem powie mu wprost, co o nim myśli, odebrała telefon.

– Tak, słucham?

– Hej, piękna – usłyszała ciepły, nieco ochryply głos natręta.

– Dzień dobry, panie Tomku. Nie przypominam sobie, żebyśmy przeszli na „ty” – dodała, zachowując jeszcze spokój.

– Przepraszam, pani Evo – odparł szyderczo. – To się więcej nie powtórzy. Czy robi pani coś dzisiaj po pracy, pani Evo? Znajdzie pani dla mnie trochę czasu?

Eva miała wrażenie, że za chwilę chłopak wyprowadzi ją z równowagi, chociażby przez samo nadużywanie zwrotu „pani”, więc stwierdziła, że najlepiej, zarówno dla niej, jak i dla niego będzie, jeśli jak najszybciej skończą tę rozmowę.

– Nie, nie znajduję. Ani dzisiaj, ani nigdy. Jeżeli to wszystko, żegnam – rzekła krótko i już chciała wcisnąć czerwoną słuchawkę, gdy wpadł jej w słowo.

– To nie wszystko.

– Co jeszcze? – spytała zrezygnowana, biorąc łyk nieco chłodnej już kawy.

– Policja do pani.

Eva ze zdziwienia o mało się nie zakrztusiła. Czarny płyn znalazł się na ekranie i na najbliższych notatkach.

– Policja?! – spytała, nie kryjąc zdumienia.

– Jest tu ktoś z policji i pyta o panią. Widziałem jego legitymację, jakieś dziwne nazwisko, tureckie czy jakieś... Przyprowadzić go na górę?

Eva siedziała na swoim fotelu niczym zamurowana, zastanawiając się, o co może chodzić. Dopiero ponaglące chrząknięcie w słuchawce sprawiło, że się ocknęła i rzuciła mechanicznie:

– Jasne... Nie ma problemu. Czekam u siebie...

Rozłączyła się, starając się trochę posprzątać ze stołu rozlaną kawę i uratować zamoczonego laptopa.

Ψ

Drzwi otworzyły się dość szybko, Eva zdążyła tylko schować laptop za książkami i usiąść z powrotem na swoim fotelu.

Do wnętrza gabinetu wszedł mniej więcej czterdziestokilkuletni, szczupły, z lekka siwiejący mężczyzna. Zza jego pleców wystawała głowa dwudziestoletniego ochroniarza w czapeczce z logo Realu Madryt nasuniętej na czoło. Gdy tylko starszy z mężczyzn pojawił się w drzwiach, Eva zauważyła, że na jego twarzy zagościło zdziwienie połączone z zakłopotaniem.

– Pani doktor Feelgood, jak przypuszczam? – spytał spokojnie niskim głosem.

– Eva Feelgood, miło mi. Ale nie jestem lekarzem, tylko terapeutą. Nie potrzebny ten tytuł doktora, jestem zwykłym magistrem – powiedział z udawanym uśmiechem. Denerwowało ją tłumaczenie po raz kolejny, że nie jest lekarzem.

Mężczyzna skinął głową. Rozejrzał się po gabinecie, po czym odwrócił się na pięcie, jakby sobie o czymś przypomniał.

– Dziękuję za wskazanie drogi, ale wydaje mi się, że już nie będziemy pana potrzebować – powiedział do chłopaka wciąż stojącego na korytarzu. – Do widzenia – dodał, zanim tamten zdążył cokolwiek powiedzieć. – Proszę zamknąć za sobą drzwi.

Chłystek przełknął głośno ślinę i z niewzruszoną miną sięgnął do klamki. Drzwi zamknęły się z lekkim trzaskiem, dało się słyszeć oddalające się kroki.

– W czym mogę pomóc, panie komisarzu? – spytała Eva swojego gościa.





30

Adrian  
Kazanowski

– Nie jestem komisarzem – odpowiedział szybko, po czym zaczął ponownie rozglądać się po gabinecie.

Wodził wzrokiem od żyrandola aż do podłogi. W ciszy zbliżył się do książek w gablocie, równo ułożonych na swoim miejscu, z zaciekawieniem i dokładnością oglądał grzbiet każdego z tomów. Eva natomiast siedziała wygodnie w fotelu i śledziła spojrzeniem każdy, najmniejszy nawet ruch policjanta. Skupiła się również na jego wygładzie.

Spod czarnego płaszcza, sięgającego do połowy ud, wystawały ciemne dżinsy i czarne, znoszone adidasy. Nieźle sfatygowana kapota sugerowała, że właściciel nie jest zbyt zamożny albo mało dba o wygląd zewnętrzny. Znad ciemnoszarego szalika wystawał błękitny, rozpięty kołnierzyk koszuli. Przybyły stał do Evy prawym profilem, pokrytym gęstym zarostem i poznaczonym znaczną ilością zmarszczek.

W pewnym momencie musiał poczuć na sobie zaciekawione spojrzenie, gdyż odwrócił się i przerwał niekomfortową ciszę:

– Przepraszam za ten przegład pani gabinetu. Zboczenie zawodowe, rozumie pani? – zapytał z lekkim uśmieszkiem na ustach. – Wszystko może mieć jakieś znaczenie.

Eva poczuła dziwną sympatię do nieznanego i zalotnie spytała, wskazując ruchem głowy na gablotę:

– I jak? Znalazł pan tam coś ciekawego?

– Zasadniczo tak. Mamy rok 2041, mało kto z Europejczyków ma Pismo Święte w domu, a co dopiero w gabinecie. A żeby mieć je zawsze przy sobie, to trzeba być mną – zaśmiał się wyciągając z kieszeni płaszcza małą niebieską książeczkę z krzyżykiem na okładce. – Ale to wszystko jest potwierdzeniem, że mój znajomy nie kłamał.

– A propos czego, jeśli wolno spytać? – zapytała marszcząc brwi. Stwierdziła jednak, że nikt nie mówi takich rzeczy bez przyczyny, więc należało pociągnąć przybysza za język.

Policjant cicho westchnął, po czym odpowiedział z nieukrywaną satysfakcją:

– Że nie jest pani tylko zwykłą terapeutką... Tylko szkoda, że nie wspomniał, że jest pani kobietą...

– Może gdyby powiedział, pana by tu teraz nie było? – spytała rozbawiona. – Czy to stąd to zdziwienie, gdy pan mnie zobaczył? Mam rozumieć, że jest pan tu prywatnie, a nie służbowo? – dodała swobodnie.

Policjant podszedł wolno do fotela stojącego naprzeciwko Evy i usiadł. Gdy rozpinął guziki płaszcza, Eva zauważyła błysk złotej obrączki na palcu, po czym podjął:



– Tak, to dlatego. I tak, prywatnie. Więc jeśli ma pani jakieś nieopłacone mandaty albo trupa męża w szafie, to spokojnie, ja nie w tej sprawie – powiedział, uśmiechając się szelmowsko.

W oka mgnieniu jednak spoważniał, wręcz się zasmucił. Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, którą przerwał w końcu sam policjant:

– Wracając do tematu: nie wiem, zasadniczo, czy to, z czym przychodzę, to tylko prywatna sprawa. Mam problem, który przeszkadza mi także w pracy, w kościele czy nawet w sypialni... – Pochylił się do przodu, po czym schował twarz w swoich potężnych dłoniach. – To co powiem może być dziwne... Ale nazwijmy rzeczy po imieniu: dzieją się ze mną DZIWNE rzeczy...

Eva pochyliła się nad biurkiem, by złapać policjanta za rękę. Mimo niewielkiego doświadczenia wiedziała, jak duże znaczenie w uspakajaniu innych miał zwykły dotyk. Sprawdzało się to już nieraz. Ludzie stawali się bardziej zrelaksowani i bardziej otwarci na zwierzenia. Policjant początkowo nie zareagował, dopiero po chwili podniósł głowę i spojrzał na nią swoimi zielonymi oczami. Utrzymywali przez moment kontakt wzrokowy, podczas gdy ona mówiła:

– Jeśli nawet tak jest, to proszę się nie martwić. Razem znajdziemy rozwiązanie. Wiem, że to brzmi jak zdanie z filmu klasy B, ale naprawdę jestem tu, aby panu pomóc. Tylko musi mi pan powiedzieć, co się dzieje. A wtedy zrobię wszystko, by to naprawić.

Ledwo powiedziała to ostatnie zdanie, nieznajomy cofnął rękę z jej dłoni i spojrzał Evie głęboko w oczy. Za głęboko. I nadal był zdenerwowany.

– A co do dziwnych rzeczy – podjęła, by uspokoić jego i siebie – to proszę się nie martwić, jestem przyzwyczajona. Gdyby ktoś mi powiedział w podstawówce, że w 2020 z Bałtyku wyłonią się ni stąd ni z owąd bliźniacze wyspy, tobym go wyśmiała – powiedziała z uśmiechem. – A gdyby jeszcze dodał, że będę mieszkała i pracowała na jednej z tych wysp, wezwałabym kogoś z kaftanem bezpieczeństwa. Ale jak widzimy, stało się. Więc nie ma czegoś takiego jak DZIWNE rzeczy, proszę pana.

Nieznajomy głośno przełknął ślinę, zanim cokolwiek zaczął mówić.

– Wiem, jak to zabrzmiało, ale... Ja słyszę głosy. Czasem jakby gdzieś w mojej głowie, czasem jakby ktoś mówił zza moich pleców. Ale gdy się odwracam, to nikogo nie ma.

Gdy Eva to usłyszała, miała ochotę wycofać swoje ostatnie słowa. Bo mimo wszystkiego, z czym w swojej karierze się spotkała, to było dziwne.





Eva wyszukała w szufladzie biurka plik kartek w koszulce oznaczonej literką „S”. Wydobyła jeden arkusz i zaczęła powoli zadawać pytania.

– To jest jeden, konkretny głos? Czy nieokreślona ilość różnych? To dość istotne.

– Jeden. Męski – dodał szybko.

Eva zaznaczyła długopisem pierwszą kratkę na kartce papieru. Prześledziła stronę wzrokiem w celu wyszukania następnego problemu.

– Zna pan ten głos? Kto to jest?

– Jeszcze się nie przedstawił – odpowiedział z uśmiechem.

– O czym mówi najczęściej? Coś... ważnego? Dokładnego? Czy raczej coś bez sensu?

Policjant ponownie wstał z fotela. Zaczął nerwowo, ale miarowo, spacerować po gabinecie od ściany do ściany. Łamiącym się głosem odpowiedział po krótkim namyśle.

– Najczęściej potępia wszystko, co robię. Zadaje mi pytania o sens tego, co akurat chcę osiągnąć. Szczególnie przeszkadza mi podczas każdej modlitwy, jak gdyby chciał ją zagłuszyć... – przerwał, poprawiając włosy opadające mu na czoło. Dokończył nie odrywając wzroku od podłogi: – Przez to coraz rzadziej chcę mi się to robić... Nasuwa mi dziwne myśli... Ciężko to określić...

Terapeutka zmarszczyła brwi notując kilka słów na arkuszu.

– Czy to są może... sugestie samobójcze? – zapytała powoli.

– Nie, raczej nie.

– A czy słyszy pan coś w tej chwili? – spytała, znacznie uspokojona odpowiedzią.

Policjant zatrzymał się w miejscu i odwrócił się, by spojrzeć jej prosto w oczy.

– Przed chwilą pytał, czemu tu jestem. Mówi, że pani i tak nie zrozumie mojego problemu...

Eva wstała, ruszyła szybko do nieznanego. Złapała go ponownie za rękę, ciągnąc w stronę kozetki. Wyglądał tak, jakby miał się za chwilę rozpłakać. Usadowiła go na brzegu kozetki i kucnęła, by patrzeć mu w oczy, by czuł się pewnie i wiedział, że nie kłamie.

– Pomogę, rozumie pan?! – niemal krzyknęła, nie czekała jednak na odpowiedź z jego strony. – Musisz mi tylko na to pozwolić. Odpowiesz mi na parę pytań, a ja znajdę jakieś rozwiązanie. Przyjdiesz tutaj parę razy i na pewno poczujesz się lepiej. – Nie zorientowała się nawet, kiedy przestała mówić do niego „per pan”. Wiedziała tylko, że z jakiegoś powodu bardziej niż kiedykolwiek zależało jej, by on jej zaufał, uwierzył.

Policjant otarł pojedynczą łzę.

– Przepraszam... – powiedział. – Za ten płacz też. Nie kontroluję tego ostatnio. Nie jestem w stanie. Nagle czuję wielki smutek, zakłopotanie lub gniew.

Eva wróciła do biurka i sięgnęła natychmiast po długopis. Wyszukała na kartce wpis „niekontrolowane zmiany nastrojów” i postawiła duży krzyżyk w kratce obok. Odłożyła ją na bok i, poprawiając się na fotelu, spytała:

– Miał pan ostatnio jakiś uraz głowy?

– Nie, nie wydaje mi się – wydukał powoli.

– A miał pan może...

Zaczęła, ale jej przerwał.

– Proszę nie mówić do mnie „pan”.

Eva uśmiechnęła się do niego, starając się zdobyć jego sympatię.

– Miło mi, Eva jestem. A jak mam mówić do Ciebie?

– To akurat mało istotne – stwierdził i wlepił pusty wzrok w dywan pod sobą.

Terapeutka westchnęła. Nie lubiła takich zachowań. Zawsze po czymś takim czuła się, jakby to była jej wina. Chcac nie chcąc wróciła do zadawania pytań.

– Kiedy był pa... przepraszam, byłeś u swojego lekarza rodzinnego?

Policjant początkowo nie odpowiedział, wciąż wlepiając wzrok w podłogę. Po chwili otworzył usta, ale nie w celu udzielenia odpowiedzi.

M – A po co? – rzekł surowo i beznamiętnie.

– Chciałabym Cię prosić, byś poszedł do niego i poprosił o skierowanie na tomografię komputerową głowy.

Niespodziewanie nieznajomy zerwał się z kozetki.

– Pani ma mnie za wariata! – krzyknął, zмирzając do drzwi.

Terapeutka wstała z fotela i powiedziała spokojnie:

– Nie, to nie tak... Ja po prostu chcę mieć pewność, że to jest coś innego niż mi się wydaje...

Policjant przeszedł szybko kilka kroków, zbliżając się do niej na odległość dwóch metrów.

– A co według pani mi jest?!

– To może być coś innego, nie jestem pewna...

– Ale innego niż CO? – Znów podniósł głos, a Eva zmartwiła się, że nie ma nikogo oprócz niej w całym budynku, a ochroniarz pewnie ogląda głośno telewizję w swojej dyżurce i nic nie usłyszy...

– Schizofrenia... – odpowiedziała ze smutkiem. – Nazywamy to też rozdwojeniem jaźni. Ale tak, jak mówię, to jest pewnie coś inne...



Nie pozwolił jej dokończyć. Krzyknął tylko gardłowo:

– Idiotka!

A po chwili zniknął, zatraskując za sobą drzwi. Eva pobiegła za nim. Zdążył zejść na sam dół, nim go dogoniła i chwyciła za ramię. Starał się wyszarpnąć, ale mu się nie udało.

– Razem znajdziemy rozwiązanie. Na pewno. Proszę się uspokoić. Zrobimy kilka badań i wszystko się wyjaśni.

Policjant opanował swój gniew, więc puściła jego rękę. Odwrócił się do niej i powiedział krótko:

– Przepraszam za tę „idiotkę”. – A jak tylko skończył, odwrócił się w kierunku drzwi wyjściowych.

Eva, uspokoiwszy oddech, nie ruszyła za nim. Gdy jednak stanął na progu, spytała ze zdziwioną miną:

– Mogę liczyć, że przyjdiesz kiedyś jeszcze na wizytę? Jak w ogóle się nazywasz?

Twarz policjanta rozciągnęła się w uśmiechu i nie wróżyła nic dobrego.

– Nie sądzę – odrzekł. A kiedy był już za progiem, czując na sobie pierwsze krople wrześnieego deszczu, dodał: – A nazywam się Kain. Wystarczy Kain. Do widzenia – rzucił szybko, zostawiając Evę stojącą z szeroko otwartymi ze zdziwienia ustami.

W takiej pozycji stała z pół minuty, a trybiki w jej głowie starały się jak mogły, by wytłumaczyć jej jakoś, czego była przed chwilą świadkiem. W takiej pozycji zastał ją brat. Zauważył grymas zaniepokojenia na jej twarzy i spytał:

– Coś się dzieje, Ewuś?

Podeszła bez słowa, przytuliła się. Jej głowa ledwo dosięgała do jego ramienia. Prawą ręką przetarł lekko jej czoło, poprawiając grzywkę.

– Coś cię martwi? Przepraszam, że czekałaś, ale były małe korki...

– Nie szkodzi, David... Martwi mnie tylko to, że nie będę w stanie pomóc mojemu dzisiejszemu pacjentowi... I nie wiem, czy ktokolwiek może.

Wysunęła się z jego ramion. Po kilku krokach niespodziewanie odwróciła się i zapytała:

– Pamiętasz, co mówił kiedyś na katechezie ksiądz Jean? Wtedy, w Paryżu.

– Wiele rzeczy wtedy powiedział... – David pokręcił przecząco głową. – Nie wymagaj, bym wszystko pamiętał.

– Wspominał, że znane są przypadki dręczenia wielu ludzi nad wyraz religijnych czy wręcz świętych... A niektórzy z nich byli nawet

opętani. Przez to, że szatana drażni religijność i hołdy składane Bogu. – Zrobiła krótką przerwę, by znowu wrócić w bezpieczne objęcia brata. – I myślę, że to właśnie dzieje się z moim dzisiejszym pacjentem. Pierwszy raz się z tym spotykam, ale to, co dostrzegłam w jego spojrzeniu, gdy wychodził, rozwiało moje wątpliwości...

Ψ

Był to dość pochmurny listopadowy dzień, a dzwony z pobliskich kościołów ogłaszały właśnie stolicy godzinę dwunastą, gdy siwiejący, chudy mężczyzna przeciągał się na krześle, uśmiechając się szelmowsko do własnych myśli. Najbardziej zadowolony był z tego, że przestało padać i że kiedy skończy pisać raport, będzie mógł wyjść w spokoju na obiad do pobliskiej stołówki.

Sięgnął po puszkę coli leżącą na biurku, wypił ostatnie krople. Zgiął aluminium, po czym rzucił puszkę w kierunku śmietnika, stojącego w rogu przy drzwiach gabinetu. Usłyszał głośny, pusty brzęk metalu odbijającego się od ścianki działowej. Chybił. Głośno westchnął, niechętnie wstając z obrotowego fotela. Podszedł do śmiecia, podniósł go, jęcząc cicho.

Kiedy się schylał, ktoś otworzył energicznie drzwi i uderzył go nimi w głowę. Mężczyzna zaklął pod nosem. Nie pierwszy już raz żałował, że przed czterema laty wołał zamówić drzwi dębowe niż takie ze szklanymi szybami. Widziałby, kiedy należy się od nich odsunąć. A tak czuł jedynie pulsujący ból koło skroni.

Nie zdążył się podnieść, gdy usłyszał nad sobą złęczony głos proszący o przebaczenie:

– Panie Razadan! Przepraszam... Ja naprawdę nie chciałem, nie wiedziałem, że pan tu jest...

Mężczyzna trzymający się za głowę nie odpowiadał. A przynajmniej nie nowo przybyłemu...

– A NIE MÓWIŁEM CI, ŻE Z TEGO TWOJEGO ŻYCIA NIC DOBREGO NIE WYCHODZI? – usłyszał komentujący, ironiczny, znajomy głos.

Razadan chętnie odrzekłby swoim halucynacjom coś niemiłego, ale niespodziewanie wytrącono go z tego stanu.

– Proszę pana? Ja... przepraszam, naprawdę...

Podniósł się z kłeczek, wciąż trzymając się za głowę i prawe ucho. Dopiero teraz mógł spojrzeć, kto go tak przeprasza. Ujrzał całkiem młodego chłopaka w okularach, ubranego w granatowy mundur zwykłego krawężnika. Twarz przybysza nic mu nie przypominała. Razadan





przyjrzał się uważnie jego ramionom. Jedna biała kropka na pagonach. Już się nie dziwił, że go nie kojarzy. Pełno tych szczeniaków kręciło się po całej „firmie”, nie sposób wszystkich zapamiętać.

Ale chłopak najwyraźniej miał już z nim do czynienia, skoro wczasu bał się jego reakcji. Razadan jednak był dziś nad wyraz spokojny:

– A ty to kto? – spytał obcesowo.

– Samuel... Ford. Młodszy aspirant Samuel Ford, panie Razadan...

– wyjąkał młodzieniec. – Proszę... Niech nie ma mi pan tego za złe... Nie chciałem. Następnym razem...

– Następnym razem – przerwał mu mężczyzna – po prostu uważaj, bo nie musisz tutaj pracować.

Ford przełknął głośno ślinę i zamilkł. Patrzył skruszonym wzrokiem na własne buty. Razadan nie wytrzymał tej ciszy.

– Z czym przychodzisz? Co się dzieje?

Samuel Ford odpowiedział dosyć płynnie na zadane pytanie, widać pomału się uspokajał.

– Pan proku.. prokurator Nowakowski pyta, kiedy będzie gotowy raport z poniedziałkowej akcji. Chciałby go włożyć do akt i przedstawić sędziemu.

Razadan przeszedł wolno do swojego biurka, wyjmując po drodze kolejną puszkę coli z lodówki turystycznej. Usiadł w fotelu, przykładając zimny metal do skroni. Zamknął oczy i powiedział:

– Dajcie mi pół godziny. Prokurator będzie miał raport na biurku. Nawet dwa egzemplarze.

– Dobrze, przekażę... – powiedział Ford wciąż dochodząc do siebie. Wyczuwając jego ciężki oddech, Razadan otworzył oczy i podążył za jego wzrokiem. Zastanawiał się, co on może widzieć ciekawego w swoich zabrudzonych głanach. Zdziwiony bezruchem młodego spytał:

– Coś jeszcze? Jeśli chcesz, bym dalej miał dobry humor, to zostaw mnie samego i zamknij za sobą drzwi, jeśliś łaskaw...

Aspirant wyszedł równie szybko, jak wszedł. A siwy mężczyzna spojrział na kartkę wystającą z maszyny do pisania.

„Napad na bank i wzięcie zakładników.

Poniedziałek, 4 listopada 2041

Czas trwania akcji: 10:37–14:04

Status akcji: powodzenie”

Odstawił puszkę na biurko, by poprawić rolki maszyny. Mimo wszelkiego postępu technologicznego, wszystkich dostępnych na rynku tabletów, smartfonów czy laptopów, nie był w stanie do nich przy-

wyknąć. Może to z powodu wieku – ale wolał, gdy telefon miał klawisze. A co do maszyny do pisania, to cały czas miał sentyment do sprzętu odziedziczonego po dziadku; i nic, absolutnie nic, nie mogło go przekonać do kupna laptopa. Co prawda wszystkie naprawy tego „szmelcu ze średniowiecza” (jak maszynę nazywała jego żona) kosztowały tyle, co mercedes, ale on zupełnie nie zwracał na to uwagi. Uwielbiał czuć pod palcem każdy, nawet najbardziej starty, ebonitowy klawisz.

Kilka razy odetchnął głęboko, starając się zapomnieć o pulsującym bólu głowy. Napisał parę zdań, ale nagle zauważył, że po raz pierwszy w życiu przeszkadza mu stukanie klawiszy. Zrzucił winę na guza i przemęczenie. Obmacał kieszenie spodni, w końcu znalazł niewielki odtwarzacz mp3. Włączył losowy album. Wybór komputerka padł na „Let Them Talk” Hugh Laurie’go. Razadan ustawił urządzenie głośniczką do góry, po czym wrócił do pracy, popijając colę i nie zważając już na stukot maszyny.

Po niecałym kwadransie postawił na kartce ostatnią kropkę. Z wyrazem triumfu na twarzy wykręcił arkusz spomiędzy rolek i złożył krótki podpis. I właśnie w momencie, w którym zastanawiał się, co sobie wziąć do jedzenia na obiad, usłyszał krótki gwizd z kieszeni spodni. „Oby to była promocja sieciowa, bo inaczej kogoś zabiję...” - pomyślał.

Wyjął telefon z kieszeni. I, jak się okazało, nie była to promocja.

Nadawcą był kontakt zapisany jako Tobiasz. A treść była prosta i zrozumiała:

Mamy skoczka, pospiesz się. Hioba 19/13. Czekamy.

Razadan wstał szybko, sięgnął po płaszcz wiszący na wieszaku za drzwiami. Narzucił go na siebie niedbale, jednocześnie otwierając drzwi.

– Ford! – krzyknął. – Jeśli chcesz odkupić swoje winy, to ubieraj się migiem i weź kluczyki od radiowożu.

Chłopak zareagował natychmiast. Dopiero gdy usiedli obaj w aucie zapytał o adres.

– Hioba 19/13 – westchnął siwy, wyjmując paczkę papierosów. Włożył sobie jednego do ust i zaczął sprawdzać kieszenie w poszukiwaniu zapalek. – Wiesz, gdzie to?

– Tak jest, panie Razadan – odparł szybko aspirant. Wyciągnął zapalniczkę i podał przełożonemu ogień.

Razadan zaciągnął się, rozparł na fotelu i zaczął szukać czegoś jeszcze w kieszeniach płaszcza.





– To gazu. Akcja jest. I proszę cię, młody, nie mów do mnie „panie Razadan”.

– A jak mam mówić? – spytał tamten, zmieniając biegi.

– Wystarczy Kain... – Razadan wyjął z kieszeni nieco zniszczonego egzemplarz Pisma Świętego.

Ψ

Bracia ode mnie uciekli, znajomi stronią ode mnie...

*Księga Hioba rozdział 19, werset 13...*

– A więc adres nie jest przypadkowy... Ciekawe to wołanie o pomoc – wyszeptał Kain Razadan do siebie. Samuel Ford spojrzał tylko kątem oka, czy starszy czegoś od niego chciał, a potem nie pytał już o nic.

– Spokojnie, jedź dalej – odparł Razadan na niezadane pytanie. Wrócił do Księgi. Przewrócił stronę i czytał kolejne wersety.

*Najbliżsi i domownicy zawiedli,*

*zapomnieli o mnie goście mego domu.*

*Moje służące mają mnie za obcego,*  
*jak cudzoziemiec jestem w ich oczach.*

*Na służę wołałem, a nie odpowiada,*

*me usta musiały go prosić.*

*Żonie mój oddech niemiły,*

*i cuchnę synom mego wnętrza.*

„I jeszcze to...” – pomyślał, ale sam nie wiedział, czy była to jego własna myśl, czy wypowiedź tej jego drugiej osobowości.

Żonie mój oddech niemiły...

Kain Razadan zamknął oczy, z których w niekontrolowany sposób wypłynęły cztery duże łzy. Nieświadomie przywołał wspomnienie.

Ψ

Nawet się nie zorientował, kiedy taksówkarz dojechał na ustalone miejsce. Pograżonego w rozważaniach ewangelii na tylnej kanapie Razadana do życia przywołało głośnie chrząknięcie kierowcy, żądającego zapłaty. Kain schował do wewnętrznej kieszeni płaszcz rozpadające się Pismo Święte, wyjął natomiast portfel. Zmrużył lekko oczy, by dostrzec wyświetlacz niewielkiego taksometru, po czym podał kierowcy odliczoną kwotę. Rzucił jeszcze krótkie „Do widzenia” i wyszedł z samochodu.

Pierwsze krople deszczu zmusiły go do nałożenia kaptura na głowę. Mężczyzna rozejrzał się po ulicy, zastanawiając się, czy nikt podejrzany nie idzie za nim. Już dawno nie zapuszczał się w tę dzielnicę. Gdy

się upewnił, że wszystko jest w porządku, ruszył w kierunku najbliższego budynku.

Wszedł do środka, nanosząc błoto na beżową posadzkę. Widząc niezadowolone spojrzenie ochroniarza, wrócił do drzwi, by wytrzeć buty. Gdy mężczyzna z krótkofalówką skręcił w pierwszy korytarz, Kain wszedł nieco pewniej. Na wprost wejścia zauważył małą windę, ale od razu wycofał się z niesmakiem. Miał złe doświadczenia z windami, odkąd został w takiej okradziony podczas chodzenia z kolędą jako mały chłopiec, na długo jeszcze przed przeprowadzką na Wyspę. Od tamtej pory wiele osób mówiło mu, że trzeba przewycięzać lęki, ale nie chciał tego robić sam. Pokręcił się trochę po korytarzu w poszukiwaniu innego wejścia. Za najbliższymi przymkniętymi drzwiami zauważył schody i wszedł na nie śmiało, z myślą, że „piąte piętro to nie jest aż tak wysoko”, a przynajmniej był przekonany, że nic mu się nie może stać na oświetlonej i zapewne mało uczęszczanej klatce schodowej.

Spotkał tam jedynie młodą dziewczynę, która nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi, pochłonięta utrzymaniem na smyczy dużych rozmiarów pitbulla. Pies obwąchał ostrożnie jego płaszcz, po czym szybkim galopem przemierzył trzy piętra w dół, nie patrząc, czy nadażą za nim właścicielka.

Lekko zdyszany – Kain dotarł ostatecznie na piąte piętro. Nie musiał się zbyt długo rozglądać w poszukiwaniu odpowiednich drzwi. Po opuszczeniu klatki schodowej znalazł się dokładnie naprzeciwko dużej tablicy ogłoszeń, zawierającej właściwie tylko jedną, prostą informację:

*Paweł EMAUS  
prywatny detektyw  
mieszkanie nr 9*

Razadan przystanął na chwilę pod tablicą, by uspokoić oddech. Brak czasu na codzienne bieganie zrobił z niego wymoczką, a przynajmniej on tak uważał. „Jeśli wszystko będzie w porządku, to trzeba będzie wygospodarować tę godzinkę” – stwierdził, po czym upewnił się, czy nikt za nim nie przyszedł. Jedynym, co udało mu się usłyszeć, był jego własny przyspieszony jeszcze oddech, więc nieco spokojniejszy na duszy podszedł do odpowiednich drzwi.

Nacisnął klamkę, ale ta nie chciała drgnąć. Poszukał wzrokiem dzwonka do drzwi, a gdy go nie znalazł, zrezygnowany zapukał w ciężkie drzwi przeciwwłamaniowe. Krótko, ale stanowczo. Usłyszał metaliczny szczęk, który nieco go wystraszył, na tyle by wymusić na nim szybkie odsunięcie się pod ścianę. Z przerażeniem w oczach Razadan





zrozumiał, że ma przed sobą któryś z tych nowoczesnych systemów zabezpieczeń.

W miejscu wizjera nagle pojawiło się duże oko z zieloną tęczówką, patrzące z zaciekawieniem na gościa. Spojrzało prosto w oczy Kaina, po czym gdzieś zza drzwi dało się słyszeć suchy głos automatu:

– Dzień dobry. Proszę odłożyć broń pod wycieraczkę.

Razadan pełen strachu i zdziwienia rozpiął płaszcz, wyjął starego colta zza paska spodni. Schylił się, a jego zdziwienie sięgnęło zenitu, gdy pod wycieraczką znalazł prostą blaszaną skrzynkę. Wyjął ostrożnie naboje z bębena rewolweru, po czym włożył broń do pudełka i umieścił wycieraczkę z powrotem na miejscu. Wstał z klęczek i czekał na dalsze komendy tajemniczego „oka”.

Ono zmierzyło go od góry do dołu, jak gdyby w poszukiwaniu czegoś groźnego. Ostatecznie spojrzało ponownie w jego oczy, a Kain mógłby przysiąc, że się uśmiechnęło, gdy usłyszał:

– Dziękuję i zapraszam do środka.

Coś szcęknęło, a nieruszająca się wcześniej klamka sama drgnęła. Drzwi się rozwarły, ukazując białe ściany pomieszczenia. Chcąc zapomnieć o tym dziwnym doświadczeniu, Kain wkroczył do środka, mając tylko nadzieję, że „oko” wypuści go po wizycie. Zanim drzwi zamknęły się z hukiem za jego plecami, Razadan zdążył rzucić ostatnie spojrzenie na wycieraczkę, ukrywającą jego broń. Najchętniej zostałyby tam, gdzie stał, gdyby nie przywołał go do porządku głos z gabinetu.

W pomieszczeniu tyłem do drzwi stał mężczyzna i rozmawiał – poprawiając gładko przystrzyżone kasztanowe włosy za uchem i zdając się nie dostrzegać niczego poza widokiem zza okna. Po dłuższej chwili odwrócił się wolno w kierunku przybysza, wyraźnie uśmiechnięty. Gdy dostrzegł Kaina znacznie spoważniał i zacisnął spierzchnięte wargi. Rzucił jeszcze krótkie „Muszę kończyć, potem oddzwonię” i schował komórkę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Poprawił ubranie, po czym wskazał lekkim gestem biały fotel stojący przed biurkiem.

– Proszę usiąść, panie Razadan – powiedział sucho, zamykając klapę notebooka leżącego na blacie.

Kain podszedł, nieco niepewnie przyglądając się detektywowi. Wreszcie mógł zobaczyć, jak tamten wygląda. Podczas poprzednich spotkań zawsze widywał go z nałożonym kapturem, ukrywającego się w ciemnych zaułkach. Teraz, gdy wszedł do jego gabinetu, poznał go jedynie po charakterystycznej linii pleców, ale zrozumiał, czemu mężczyzna cały czas się ukrywał. Powodem musiała być zbyt łatwo zapadająca w pamięć twarz detektywa.

Mężczyzna bez trudu mógłby zostać rozpoznany. Gładko przystrzyżone włosy nie mogły ukryć jego odstających uszu. Lekko wyłupiaste, jasnoniebieskie oczy sprawiały wrażenie przeraźliwie nieludzkich.

Razadan jednak szybko przestał zwracać uwagę na cechy charakterystyczne detektywa, wyczuł bowiem w jego rysach i gestach napięcie. Mężczyzna oblizywał nerwowo spierzchnięte usta, przejeżdżając przy tym lekko dłonią po niechlujnym zaroście. Nie odzywał się ani słowem. Spoglądał jedynie zimnymi, niebieskimi oczyma na Razadana. Podniósł lekko brwi, głośno westchnął i zastygł tak z delikatnie rozchylonymi wargami. Wyglądało na to, że zastanawia się, od czego zacząć. Był teraz trochę jak pisarz bez weny, nie rozumiejący stworzonego przez siebie bohatera i nękany przez wydawcę zbliżającym się deadline'm. W końcu się zdecydował, mówiąc nie patrzył jednak gościowi w oczy.

– Mam dla pana parę informacji... Niestety, muszę pana zmartwić...

– Przerwał na chwilę, by wyciągnąć z szuflady zieloną aktówkę i położyć ją przed Kainem. Razadan sięgnął po nią.

– PRZECIEŻ MÓWIŁEM CI, ŻE TAK BĘDZIE, PRAWDA, DROGI PRZYJACIELU? – przerwał czynność głos w głowie Kaina, który odpowiedział mu krótkim: nie teraz!

Razadan ostrożnie ściągnął gumkę z teczki i otworzył ją wolno. Zobaczył plik fotografii. Przeglądał je z uciskającym bólem w klatce piersiowej.

Jego żona i wysoki blondyn w kinie, trzymający się za ręce. Ona i ten sam mężczyzna przy lampce wina. On z bukietem fiołków pod jej pracą. On i ona na spacerze na moło. Ona w jego samochodzie. On ściągający swoją obrączkę przed kawiarnią...

Głośne westchnienie detektywa wyrwało go z zamyślenia:

– Tyle zdołałem znaleźć w ciągu tego tygodnia. Z tego co wiem, facet na imię ma Tomasz, nazwiska jeszcze nie udało mi się ustalić. Ale na jutro mogę się już czegoś dowiedzieć...

– Nie trzeba – urwał mu w pół słowa Kain. – Czy to już wszystko?

Mężczyzna przygryzł mocniej wargi, bez słowa ponownie nachylił się do szuflady biurka. Wyjął stamtąd mały tablet i ustawił go głośnikiem do góry.

Przez pierwsze dziesięć sekund Razadan nie rozumiał, co się dzieje. Jedynym dźwiękiem, jaki docierał z głośniczka był szcęk sztuczków o talerze. Gdzieś w tle toczyły się ledwo słyszalne rozmowy wielu osób, często nachodzące na siebie, często też prowadzone w kilku różnych językach. W końcu jednak wychwycił znany tembr głosu własnej żony, Ady.



– Przepraszam, zachowuję się trochę irracjonalnie... To chyba przez to, że jestem na siebie wciąż zła.

Odłożenie sztućców na talerz i ciche kasznięcie przerwało ciszę po jej wypowiedzi.

– A o co się obwiniasz? – spytał ktoś nieznamy Razadanowi.

– Bo przecież nie będę zła na ciebie, to nie twoja wina, ta cała sytuacja. Ale przyznaj, że zachowujemy się nie w porządku. Kiedy Kain się o tym dowie...

– Kain? – nieznamy przerwał jej z wyczuwalnym wyrzutem w głosie. – Ten twój mąż, który całe dni spędza poza domem, gdy ty czekasz na niego z obiadem? O nim mówisz?

– Tak... Ale przecież to nie jego wina, taką ma pracę. Powinniśmy mu powiedzieć, nie chcę by dowiedział się od adwokata. – Ostatnie słowa Ada wymówiła znacznie ciszej.

– Poczekaj, ty naprawdę się tym martwisz... Ale odpowiedz sobie na pytanie: czy spotykasz się ze mną, bo chcesz mu zrobić na złość, czy po prostu coś do mnie czujesz, Ado?

„Ada, proszę, daj mi szansę!” - pomyślał Razadan. Nie otrzymał jej.

– Przecież wiesz, że cię kocham, ale... Chyba będę mu musiała w końcu o tobie powiedzieć.

W tym momencie detektyw przechylił się nad biurkiem i schował tablet z powrotem do szuflady. Nie odezwał się ani słowem, czekał na reakcję Kaina. Otrzymał ją szybciej niż myślał.

– Ile... ile jestem panu winien? – wyszeptał Razadan, patrząc pustym wzrokiem w blat biurka.

– Wystarczy trzysta.

Kain przetarł ręką oczy. Sięgnął po portfel. Po chwili namysłu wyjął z niego cztery identyczne banknoty i położył je na biurku. Wstał szybko i już byłby wyszedł, gdyby detektyw nie krzyknął za nim:

– Nie chce pan tego wziąć?

Kain odwrócił się i zobaczył, że Emaus macha w powietrzu zieloną aktówką.

– Może się przydać na rozprawie rozwodowej... – zasugerował.

Kain wrócił do detektywa, odebrał mu z ręki teczkę i pożegnał się skinieniem głowy. Gdy tylko wyszedł na korytarz, wyciągnął ze skrytki broń i niedbale ukrył ją w fałdach płaszcza. Rozejrzał się po korytarzu. Po kilku sekundach znalazł kosz na śmieci. Nawet nie podszedł, pewnym ruchem rzucił zamkniętą zieloną teczkę i odczekał chwilę, by się upewnić. Trafił. Odwrócił się na pięcie i poszedł w kierunku klatki schodowej

Będąc na szóstym stopniu usłyszał znajomy głos:

– TERAZ TO JUŻ TYLKO SIĘ ZABIĆ...

Ψ

Razadan oprzytomniał podczas nagłego hamowania. Ford jechał zbyt szybko, by kierowca mógł w porę zauważyć korek, który kończył się bezpośrednio za zakrętem. W ostatniej chwili z piskiem opon się zatrzymał, wcześniej kręcąc kierownicą w lewo, by ominąć ciężarówkę stojącą przed nimi. Kain zauważył, że młody chciał już zakląć, ale w porę przypomniał sobie, że nie jest sam w samochodzie. Wymienili krótkie spojrzenie, po którym ręka Samuela powędrowała pod fotel. Wyjął stamtąd koguta chcąc zamontować go na dachu auta, gdy Kain złapał go za nadgarstek.

– Daleko jeszcze? – spytał krótko, odwracając głowę i wyrzucając niedopałek przez otwartą szybę.

Ford podniósł jedną brew i chwilę się zastanawiał.

– Ech, no jakby to... Jak przejedziemy przez ten most, to Hioba 19 to będzie druga po lewej, z tego co pamiętam.

– OK, dzięki za podwózkę – powiedział Kain i otworzył drzwi pasażera. Ford patrzył za nim z niedowierzaniem, gdy ten wyprzedzał już kolejny samochód. Patrzył za nim dobrą chwilę, a kiedy Kain zniknął z jego pola widzenia, młody włączył koguta i spróbował wyminąć stojących w korku. Razadana jednak po drodze nie zauważył.

Ψ

– Tobiasz!

Mężczyzna w srebrnoszarym garniturze odwrócił się. Znad głów otaczających go policjantów zauważył biegnącego ku niemu negocjatora, starającego się nie zostać rozjechanym przez motocykle jadące po pobliskim skrzyżowaniu.

– Kain! Wolniej nie można było? – odkrzyknął z ironią, ponagляjąc Razadana ruchem ręki i trzymanej w niej komórki.

– Przepraszam, ale to nie moja wina... – powiedział Kain, gdy udało mu się minąć ostatni samochód. Podszedł do Tobiasza, uściśnął mu dłoń. – Powiesz mi, co dokładnie się dzieje.

Tobiasz poprawił marynarkę i skinął pojednawczo głową. Odwrócił się do niego tyłem i wskazał wciąż trzymaną komórką na jeden z niemal identycznych wieżowców biurowych.

– Tam, kilka metrów od anteny... Widzisz?

Razadan zmrużył lekko oczy. Przytaknął, gdy tylko dostrzegł na dachu wskazaną postać.





– Widzę. Mężczyzna, chyba. Średniego wzrostu. Coś wiecie na jego temat?

– Niestety nic... Żadnych informacji. Chłopcy zrobili mu kilka zdjęć, ale z porównywania nic nie wyszło, nie mamy go w naszej kartotece. – Mówiąc to Tobiasz odwrócił się w kierunku swojego rozmówcy, ale jego już tam nie było. Kain szybkim krokiem wyminął go i nic nie mówiąc skinął na dwóch mundurowych, którzy posłusznie ruszyli za nim w stronę obrotowych drzwi. Stamtąd zawołał jeszcze:

– Czy na dach można się dostać samymi schodami?

– Tak... - Tobiasz chciał jeszcze spytać, co planuje, ale Razadan i towarzyszący mu policjanci zniknęli za framugą.

## Ψ

Gdy ktoś stoi na krawędzi dachu, bardzo łatwo go zepchnąć. Jeszcze łatwiej jest go przestraszyć i sam skoczy. Kain jednak starał się oszczędzić nieznanemu niepotrzebnego stresu. Zamiast zawołać i gwałtownie zdradzić swoją obecność na klatce schodowej prowadzącej na dach, wołał lekko zapukać w blaszane, uchylone drzwi.

– Kto... Kto tam... jest? – spytał skoczek głosem dość mocno zniekształconym przez blachę, wiatr czy emocje, ale jak gdyby skądś znajomym.

– Witaj, nazywam się Kain i chciałbym ci jakoś pomóc. Możemy porozmawiać? – Razadan starał się zachować profesjonalizm.

– Chyba... tak. – wydukał tamten.

Kain otworzył szerzej blaszane drzwi i wolno przekroczył próg. Mógł spokojnie przyjrzeć się mężczyźnie stojącemu na krawędzi. Miał on na sobie prosty, czarny płaszcz, sięgający mniej więcej do kolan, bardzo podobny do jego własnego. Silny wiatr miotał szaroniebieskim szalikiem nieznanego. Razadan miał pewne trudności z określeniem jego wieku, gdyż mężczyzna cały czas stał tyłem, jednak stwierdził, że musi być kilka lat młodszy od niego. Stał tam, na krawędzi milcząc.

– Jak mogę ci pomóc? – spytał ostrożnie Kain.

– Nie wiem, czy można jakkolwiek – odpowiedział skoczek, wolno cedząc każde słowo. A Kain zrozumiał wreszcie, czemu jego głos wydawał mu się znajomym.

Był to ten sam głos. Głos mówiący w jego głowie...

– Przepraszam... – Kain wyjąkał przestraszony. – Kim ty jesteś?

Mężczyzna odwrócił się powoli i wszystko nabrało sensu.

– Abel. Twój brat...



Kain zobaczył go, takiego jak kiedyś, spokojnego i opanowanego, z tym nieznośnie miłym uśmiechem na twarzy. Podszedł i stanął obok brata.

Po krótkiej chwili zaczął się nerwowo śmiać. Stał wyprostowany na blaszanym dachu, oparty o zamocowaną obok antenę i przyglądał się miastu. Podziwiał mosty, wieże widokowe, parki rozrywki. Patrzył na maluteńkie samochody, przesuające się bez dźwięku po wąskich jak nici ulicach. Gdzieś w oddali widział wieżowiec firmy swojej żony, a także swój komisariat. A pogoda była wprost idealna na oglądanie panoramy.

Koło niego już nikogo nie było, więc zdołał opanować drzenie. Nagle silny boczny wiatr raptownie zachwiał jego sylwetką. Śliska blacha nie dawała oparcia stopom. Antena zrobiła się równie wiotka jak on. Walczył o równowagę z coraz większym trudem. Były to ułamki sekund – dla niego wieczność. Byłby o krok od niej?

Przechodnie usłyszeli głuchy huk rozbijającego się o asfalt ciała. Jeden z policjantów szybko podbiegł i nachylił się. Dostrzegł krwawą plamę piętnującą czoło Kaina niczym dziwny znak albo znamię...

Ψ

Eva przetarła zmęczone oczy i odłożyła wycinek. Podobno świadkowie po skoku Kaina widzieli na dachu jakiegoś człowieka. Opierał się o antenę. Z pewnością nie był to żaden z policjantów. Podobno umierający patrząc w jego kierunku wycharczał: „Abel – mój brat”. Dziwne. Sprawdziła. Był jedynakiem. Nie miał też przyjaciela o takim imieniu.





Jan Rybicki

**W**oda, tryskająca z kamiennych muszli, cicho szemrała opadając na dół, do niewielkiego, przepelnionego zbiornika. Dalej przelewała się leniwie przez jego niskie brzegi cienkim, niemal niedostrzegalnym strumykiem, na kolejny poziom i niżej, na sam dół. Nad taflą ostatniego basenu unosiły się drobne kropelki, tworząc delikatną, migoczącą mgiełkę. Czasami, jeżeli wiał wiatr, a Piotr usiadł wystarczająco blisko fontanny, czuł na twarzy coś na kształt lekkiej, morskiej bryzy. Wtedy szmer opadającej wody zamieniał się w szum morskich fal, Piotr zaś umiał sobie wyobrazić, że znowu jest tam, w prawdziwym świecie, siedząc nad urwistym brzegiem, z mieczem opartym na kolanach, wpatrując się w ogrom Wielkiego Oceanu Wschodniego. Zawsze był ciekawy, co znajdowało się po drugiej stronie. Łucja mówiła, że popłynęli tam razem z ich bratem. Dlaczego właśnie ona? Byli najmłodsi, ale co to za powód? Dlaczego on sam potem już nigdy...

Słabo potrząsnął głową, starając się pozbyć przykrych myśli i przeniósł wzrok wyżej, na górującą nad fontanną kamienną kobietę. Piotr dobrze znał ten posąg – sądził, że w każdej chwili mógłby go dokładnie narysować z pamięci. Celowała z łuku, złożona do strzału, pewna siebie. Włosy miała owinięte chustą, żeby nie przeszkadzały podczas polowania, ale poza tym była naga. Drobne, niemal dziewczęce piersi, zaznaczone mięśnie ramion i brzucha. Tabliczka pod spodem głosiła, że to Artemis. Pewnie była dobrą łuczniczką. Tak jak jego siostra.

Westchnął. Ileż by dał, by znowu poczuć w rękach ciężar łuku, ból mięśni przy nakładaniu kolejnej strzały na cięciwę. Kiedyś kupili we

czwórkę łuki – jesionowe, kosztowały ich małą fortunę. Wybrali się razem do lasu, ale strzelanie do celu nie dawało dawnej satysfakcji. Wyszli z wprawy, tylko Zuzanna trafiała raz za razem. Łucja się śmiała, ale jego doprowadzało to do szewskiej pasji.

Przez jakiś czas spotykali się w lesie regularnie, ale to nie była nawet namiastka dawnych polowań, turniejów i walk. Statyczne, wręcz nudne. Kiedyś od tego, czy trafi, zależało jego życie. A teraz? Nie miało to żadnego znaczenia – to najbardziej go denerwowało. W końcu ktoś zaproponował, żeby urządzili polowanie. Oczywiście, nie było to legalne, ale nie zastanawiali się nad tym, nawet Edmund. Wszyscy zapalili się do wyprawy, nagle stali się młodszy, silniejsi; Piotr sądził, że w każdym z nich obudziła się ta sama nadzieja – a może jednak? Kiedy będą sami, oddaleni od cywilizacji, może nieświadomie przekroczą jakąś granicę, tak jak za pierwszym razem? Nie zorientowałyby się od razu; szliby przez las, z każdą chwilą coraz bardziej przekonani, że to już nie jest Brytania, ani Europa, a w końcu – Piotr bezwiednie uśmiechnął się pod nosem – spotkałby jakiegoś fauna albo zagadałaby do nich wiewiórka, a oni powiedzieliby, że to królowie powrócili. Wtedy wreszcie byłoby znowu w domu.

Powiał chłodniejszy wiatr, wywiewając z ciała Piotra resztki ciepła i przyjemne marzenia. Staruszek poczuł się nagle bardzo zmęczony.

Cóż, wtedy mieli jeszcze nadzieję na powrót, bez mała trzydzieści lat temu. Który to był? Pięćdziesiąty pierwszy? Wyjechali pociągiem z miasta, wiele mil dalej, bo przecież w okolicach Londynu od dawna nie ma żadnych prawdziwych lasów – musieli jechać na północ przez cały dzień, zostawiając za sobą pociętą drogami, szarą Anglię. Za Manchesterem wypożyczyli samochód i asfaltową drogą dotarli do parku Kielder. Zostawili samochód pod lasem, resztę drogi przebyli piechotą. Chcieli jak najszybciej zostawić za sobą uczęszczaną, wypiełgnowaną część lasu, dotrzeć do prawdziwej natury.

Dobrze im się chodziło po bezdrożach, jeszcze pierwszego dnia odkryli tropy sarny – podążali nimi do nocy. Po ciemku rozbili namiot i rozpalili ogień. W jego chybottliwym świetle opowiadali, jak się potoczyło ich życie, gdy się rozstali. Zuzanna o swoim narzeczonym, Edmund o gazecie, w której pracował, on sam o życiu nauczyciela w College'u. A później, kiedy dopadło ich wszystkich zmęczenie i rozmarzenie, mimo wcześniej złożonej sobie obietnicy – zaczęli wspominać. Smoki i olbrzymy, wielką bitwę nad Beruną, Ryczypiska, Tumnu-sa i Kaspiana. No i Jego. Wielkiego Lwa.

Poszli spać, przepelnieni nadzieją, że obudzą się w Narnii.



Wstał o brzasku, kiedy jeszcze w lesie było szaro, wypadł z namiotu, spodziewając się, co zobaczy. Ale od poprzedniego dnia nic się nie zmieniło. Pochwyił spojrzenie Łucji, siedzącej przy dawno wygasłym ognisku. Słabo pokręciła głową.

Sarnę dopadli jeszcze tego samego dnia przed południem. Bezgłośnie się porozumiewając, zajęli pozycje do strzału; zwierzę stało spokojnie, skubiąc bukowe listki i niczego nie przeczuwając. Piotr pierwszy wypuścił strzałę, dając znak reszcie – jak za starych lat. Cichy brzęk, szmer przecinanych liści i wreszcie odgłos grotu, zagłębiającego się z płaskiem w miękkie ciało. Wskoczyli z zarośli, podbiegając do leżącego na ziemi płowego ciała. Strzała Zuzanny trafiła prosto w serce – jak zawsze; on – kilka cali w bok od strzały siostry, Edmund w zad. Tylko Łucja w ostatniej chwili się zawahała – jej strzała zniknęła gdzieś w gęstwinie.

I nic. Nie poczuli zmiany, ciągle to był leśno-wodny park Kielder w Walii. Żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. Nie pamiętali, jak oprawia się zwierzęta, zresztą i tak nie mieliby co zrobić z mięsem. Ciągnęli sarnę kilkanaście łokci dalej, ale to także było bez sensu. Co powiedzieliby leśniczemu? Zostawili podziurawione truchło wilkom, z poczuciem całkowitej porażki. Wieczorem pokłócili się, jak jeszcze nigdy wcześniej.

„...zwyczajnie okrutne, zabiliśmy ją po prostu dla zabawy! To żałosne! Królowie...”, „Nie jesteśmy żadnymi cholernymi królami! Pora przyjąć to do wiadomości!”, „Pamiętasz, co powiedział profesor Digory? Kto raz...”, „...został królem Narnii, ten na zawsze nim pozostaje” – sz yderczo dokończyła za Edmunda Zuzanna. „My nigdy nimi nawet nie byliśmy! Przecież to idiotyczne! Byliśmy mali, przestraszeni, w wielkim domu tego starca i przyśniła nam się jakaś tam Narnia! Potem wymyśliliśmy ją sobie z nudów, w pociągu! To była dobra zabawa, ale już nie jesteśmy dziećmi! Nie ma czegoś takiego! Piotrze, powiedz jej...”

Stał wtedy, zaciskając pięści aż do bólu, uparcie milcząc, powstrzymując się od krzyku. Długo nie mógł Zuzannie wybaczyć tych słów; teraz, po latach, rozumiał, że nie umiała inaczej sobie z tym poradzić. Od czasu pamiętnego polowania Narnia ostatecznie stała się dla niej fikcją, irytującym kłamstwem. Pewnie tak było jej łatwiej: zapomnieć o Ker-Parawelu, dawnych miłościach i przygodach. Miała teraz rodzinę, trójkę dzieci, dom, jakiś czas temu po raz drugi wyszła za mąż. Może była szczęśliwa – Piotr nie umiał powiedzieć. Bywały dni, kiedy jej zazdrościł. O ileż byłoby mu łatwiej zapomnieć...

Tak... polowanie wiele zmieniło. Ale on sam nie potrafił się poddać. Ile to już było razy, od samego początku, ile prób, by wrócić? Nie liczył, lata zatarły część starań. Ale jak nie próbować?

Kiedy wypadli z szafy, rozemocjonowani i szczęśliwi, byli tak pewni swojego powrotu, który zresztą nastąpił, ale już na krótko, i tylko jeden raz. Oczy Piotra zwiłgotniały na wspomnienie potężnych gór na granicy z Archenlandią i widoków roztaczających się ze szczytów – na bezkresną morderczą pustynię na południu i na zielone łąki północy, zamieszkałe przez dzikich, niepokornych pasterzy. A ogromne, nieokiełznane stopy Etismooru: tak czyste, nieskażone dymem fabryk, spaliniami, niezniszczone wycinką drzew i kopalniami, niezaśmiecone. Spędzili na nich całe miesiące, we czwórkę. Raz zabrał tam też Evalian. Evalian... Nigdy więcej nie spotkał już tak wspaniałej kobiety. Tak bardzo chciałby mieć ją teraz u swojego boku, zestarzeć się z nią. Nawet już nie pamiętał dokładnie rysów jej twarzy. Ostatnio widzieli się sześćdziesiąt lat temu, jak nie więcej. Często myślał, jak potoczyły się jej losy.

Każde z nich zostawiło po drugiej stronie coś cennego. Przez długi czas byli dla siebie jedynym wsparciem.

Na początku, jeszcze u profesora Diggory'ego, nie rozmawiali o niczym innym – jak wróć, kiedy i z jakiego powodu, jak będzie wszystko wyglądało, za ten miesiąc czy dwa. Ale czas płynął, minęło pół roku, później kolejne i nic się nie działo, a oni powoli zaczęli wątpić, czy to wszystko było prawdą. „Jeżeli jeszcze raz tam wrócimy, to znaczy, że to wszystko było prawdą” – powiedziała kiedyś ugodowo Zuzanna, wyrażając myśl całej czwórki.

Wrócili, na kilka miesięcy – według tamtego czasu. Znów poczuli się królami, znowu obcowali z centaurami i faunami, w wielkiej bitwie pobili Telmarów, a później nadszedł czas rozstania. Nie wracali do Anglii przypadkiem, to było pożegnanie i już wtedy Piotr wiedział, że nie będzie drogi z powrotem, ale to wszystko wtedy wydawało się mniej przynębiające. Wtedy jeszcze czuł na sobie ciężar zbroi, a w uszach dźwięczał ryk Lwa. Powrót do szkoły był dla Piotra wręcz przyjemny, a życie ze świadomością, że jest kimś więcej, niż tylko nastolatkiem, dodawała mu odwagi.

Ale potem przyszła rutyna. Wszystko wydawało mu się przeraźliwie nudne, nijakie. Trudno było się przestawić z bycia królem na rolę uczniaka; drażniły go głupawe zaczepki, chichotliwe dziewczyny z żeńskiej szkoły naprzeciwko. Nie miał przyjaciół. Edmund mówił, żeby przynajmniej spróbował ich wziąć za dobrą monetę. Tyle że jak miał





ich zrozumieć, skoro oni przeżywali życie po raz pierwszy, a on po raz drugi, w innym świecie? Jedyną osobą, która go naprawdę rozumiała, pozostawał jego brat, ale już niedługo.

Po wakacjach Edmund wrócił zmieniony, inny. Nigdy nie powiedział, co tak naprawdę się stało. „Na początku nie chciał mnie ranić. Później nie miał okazji” – zasepił się Piotr. Zresztą to nieistotne, przecież tylko jedno mogło się wydarzyć: był tam znowu, po raz trzeci. Bez niego.

Później nie dogadywali się już tak dobrze, tak jakby ta przygoda zamknęła w życiu Edmunda jakiś rozdział, ciągle otwarty u Piotra. Nie chodziło o to, że Piotr mu zazdrościł, wcale nie, po prostu nie rozumiał, dlaczego on nie dostał tej szansy. Nadal nie potrafił tego pojąć. To poczucie niesprawiedliwości postawiło między nimi granicę, której nie udało im się sforsować do końca szkoły. Później los rzucił ich w inne miejsca i – poza kilkoma wyjątkami – już się nie widzieli. Edek zginął, Boże ile już lat temu? Piętnaście? Szesnaście? Więcej, a przecież był jeszcze taki młody... Gruzlicca. Zabrała nie tylko polityka robiącego błyskotliwą karierę i dziennikarza, ale przede wszystkim jedynego przyjaciela Piotra. Zawsze niezłomny, optymistyczny, akceptujący rzeczywistość taką, jaką była. „Narnia była i minęła, i chociaż to boli, to trzeba żyć dalej”. Jak łatwo mu to przychodziło!

Poszli do różnych college'ów, mimo że obaj studiowali przedmioty humanistyczne. Po ukończeniu szkoły Piotr uczył przez kilka lat w tej samej placówce, ale to nie było dla niego. Zarobki nie były złe, uczniowie znośni, miał czas dla siebie; mimo to dość szybko zrezygnował z tej pracy. Jakiś czas szwendał się ulicach, chwytając każdą robotę – strażnik muzeum, mechanik, kilka miesięcy pracował nawet jako robotnik, przy budowie biurowca w centrum. Czasem sam odchodził, częściej go zwalniali.

Po pięćdziesiątym pierwszym wyjechał z Anglii. Wiązało się z nią zbyt wiele przykrych wspomnień, jak powiedział rodzeństwu. Zaokrętownął się na niewielki pasażerski parowiec „Lilla Star”, kursujący między Londynem i Nowym Jorkiem, czasem zahaczając o Lizbonę czy inne portowe miasto Europy.

Nie miał żadnych kwalifikacji, więc pracował w kotłowni, przerzucając węgiel z hałdy po prawej stronie do wielkiego pieca po lewej, aż do zawrotów głowy. Kiedy wychodził na pokład, umorusany od stóp do głów, czuł na sobie pogardliwe spojrzenia pasażerów – „Lilla Star” była dość prestiżowa. Czasem opierał się o reling, wyzywająco, butnie i przypatrywał się kobietom w obcisłych strojach kąpielowych, umię-



śnionym i opalonym mężczyznom, o dłoniach nieznaną pracę i uniożonym lokajom w garniturach. Gardził nimi, fałszywymi bankierami i handlowcami, jako król. Oni gardzili nim, niewykształconym robotnikiem spod pokładu, jako ludzie sukcesu i pieniądza. Często upływały im w ten sposób włokące się godziny rejsu.

Dopiero po roku Piotr uświadomił sobie, że w jednym mieli rację – to nie było zajęcie godne króla: król nie pracuje po dziesięć godzin dziennie, w ciemności i pocie czoła, nie chodzi przez cały czas głodny, zadając się z jakimiś portowymi szumowinami. Król dba o swoich poddanych, broni ich i prowadzi kraj ku dobrobytowi. Pewnego razu, kiedy cumowali w Nowym Jorku, nie wrócił na pokład. Znalazł się sam, w nieznanym, wielkim mieście, bez grosza, podjąwszy najlepszą decyzję swojego życia – odsunął od siebie zagrożenie utraty korony. Pomyślnie przeszedł badania na Ellis Island i stał się pełnoprawnym imigrantem w Stanach Zjednoczonych. Nikogo nie interesowała jego przeszłość i to, co dawniej robił – po raz pierwszy.

Po kilku miesiącach nędzy, zatrudnił się jako strażnik w więzieniu o zaostrożonym rygorze: dzięki pracy na statku był umięśniony i silny jak mało kto, potrzebowali takich ludzi. Przez jakiś czas czuł się dobrze – wypełniał swój obowiązek, przynajmniej w jakimś sensie. Pilnował największych zwyrodnialców, gwałcicieli i morderców. Przez kilka miesięcy mieli w celi śmierci siłacza, wielkiego na dwa metry, głupiego, jak mało kto. Czekał na krzesło za morderstwo małego synka swojego brata. W sądzie powiedział, że złościł go swoimi krzykami. Zasłużył na śmierć. Bywali inni: ludzie przebiegli, inteligentni, przywodzący Piotrowi na myśl dawnych wrogów czy niektórych sojuszników. Stev Hoffman na przykład, przemytnik. Wymykał się policji przez całe dwa lata, zanim go dopadli, a i tak na koniec zginęło jeszcze dwóch, zanim go złapali. W więzieniu tak się urządził, że po tygodniu miał trzech osiłków na każde zawołanie i codziennie papierosy. Był taki podobny do Haara Kolira, karła, który okradł królewski skarbiec. Piotr rozpoznawał w więźniach przestępców stamtąd – wszędzie zdarzali się ludzie jednakowo podli.

Nie przypominało to jego życia z dawnych lat, ale stanowiło jakąś jego namiastkę. Kiedy Piotr wspominał – lata w Ameryce wydawały mu się najlepszym okresem w jego życiu, tutaj. Dostał obywatelstwo, kupił mieszkanie. W tym czasie miał kilka kobiet, kolegów, z którymi mógł pójść na piwo. Czasem jeździł na kilkudniowe, samotne wycieczki po zachodnich pustkowiach. Takie życie było znośne; tylko czasem przeszywała go rozpaczliwa tęsknota za utraconym światem, której nie



umiał w żaden sposób z siebie wyrzucić – ani za pomocą klubów ze striptizem, ani ciężkiej pracy.

Z czasem nostalgia przychodziła coraz częściej, razem z poczuciem bezsensu. Tutaj był sam, jeden spośród trzech miliardów takich samych ludzi na ziemi. To, co robił, nie miało żadnego znaczenia. Nikt by nie zauważył, że zginął, nikt by się nie przejął, nikt by nie zapamiętał, że był ktoś taki jak Piotr Pavensie.

Nadszedł 1957, wojna. Piotr zaciągnął się, sam nie do końca pewny dlaczego. Zabijanie nigdy mu nie spowszedniało; przez cały czas pobytu w Narnii było dla niego czymś okropnym, trudnym obowiązkiem. Nocami prześladowały go twarze zabitych. Czemu chciał do tego wrócić? Podświadomie sądził, że nawet najstraszniejsze uczucia stamtąd byłyby darem – utrwalaczem, który pozwoliłby zatrzymać upływ czasu, zamienić wspomnienia w rzeczywistość. Ludzie wszędzie umierają tak samo. Był gotów zabić dla odrobiny wspomnień – czy to nie czyniło go potworem, jednym z tych, których pilnował? Piotr wstydził się tego, znajomym mówił, że jest to jego obowiązek względem kraju, że nie ma nic do stracenia. Znał jednak prawdę, mimo to nie zrezygnował.

Tak, był wtedy naprawdę zdesperowany, przeczuwając, że to nie zadziała. To nie była sprawiedliwa walka o wolność, a on nie walczył u boku przyjaciół, tylko razem z ograniczonymi, głupimi ludźmi, nierozumiejącymi go za grosz.

Wojna była dla niego jak sen, jeden z tych, po których bał się potem znowu zasnąć. Z każdym dniem coraz gorszym snem. Do dzisiaj nie potrafił o tym opowiadać, chociaż minęło już tyle lat. Na początku wszystko odbywało się pod przykrywką humanitaryzmu, obozy dla jeńców, działania z uwzględnianiem dobra cywilów... Im dalej posuwali się na północ, tym większe straty ponosili, za dnia walcząc z regularną armią, w nocy atakowani przez partyzantów: wietnamskie dżungle świetnie nadawały się na zasadzki.

Błoto, ciężłe błoto i niekończący się deszcz podczas pory monsunowej; zdrady, pułapki, masowe mordy, egzekucje więźniów, i brak postępów – utrzymywali się tylko dzięki kolejnym rekrutom, napływającym na śmierć szerokim strumieniem. To nie była wojna, do której przywykł, szlachetna, ludzka. To była rzeź, w żaden sposób nieprzypominająca tamtego.

Postawili go raz przed sądem polowym za niesubordynację i skazali na śmierć przez rozstrzelanie, kiedy odmówił otworzenia ognia do uciekających z płonącej wioski cywilów, pomiędzy którymi kryli się

partyzanci. Od wykonania wyroku dzieliły go godziny, kiedy oddział został zaskoczony, otoczony i rozbity, być może przez tych samych ludzi, którym ocalał wtedy życie.

Podczas czasu spędzonego w Wietnamie zgubił gdzieś wszystko, co dawniej pchało go do przodu – nadzieję czy wdzięczność. Przeżył tam całe lata, o których wolałby dzisiaj nie pamiętać, tylko po to, żeby lec z przestrzelonym płucem na polu pod miastem Hue podczas ofensywy wroga. Odratowali go i wysłali z powrotem do Ameryki, jako niezdolnego do uczestniczenia w dalszych działaniach, z jakimś tam medalem za bohaterstwo.

I to już koniec jego snów o Narnii. W końcu zrozumiał, że to, co się wydarzyło lata temu, kiedy był jeszcze chłopakiem, było naprawdę ostateczne i że już tam nie wróci, nigdy; że wszystkie próby i poszukiwania były daremne.

Jaki był wtedy wściekły! Na Edmunda, że umarł, na Zuzannę, że zapomniała, na Łucję, że umiała z tym żyć i na siebie, że on nie umiał. A przede wszystkim na Aslana, że go okłamał. Okłamał i zostawił samego! Pozwolił mu zasmakować prawdziwego życia, a potem uwięził tutaj, w tym szarym i okrutnym świecie! Powiedział mu na odchodnym, że tutaj też jest, tylko pod innym imieniem i że muszą go znaleźć, a Piotr naiwnie mu uwierzył! Całe życie spędził na szukaniu czegoś, co nigdy nie istniało. Wyzywał go i przeklinał, nienawidząc z całego serca, tej złośliwej i okrutnej pokraki, która zniszczyła mu życie. Och, jak go wtedy nienawidził!

Nikt nie chciał przyjąć do pracy inwalidy po pięćdziesiątce z nerwami w strzępach, który skończył jedynie marny college. Dawni koledzy nie kwapili się, by go odwiedzać w jego brudnym, małym mieszkaniu, a jedyne kobiety, z którymi utrzymywał kontakty, były dziwkami – starymi i tanimi, które nie mogły już przebierać w klientach. Nienawidził tego. Pewnie sięgnąłby po jakieś narkotyki, ale z renty ledwo starczało mu, żeby nie umrzeć z głodu. Musiał się zadowolić najtańszym, obrzydliwym piwem, smakującym jak psie szczyny.

Wolałby zginać w Wietnamie albo zapaść się na śmierć, ale życie kurczowo się go trzymało. Ukraść portfel jakiejś kobiecie i za zdobyte pieniądze kupić tani rewolwer, chcąc wszystko zakończyć, ale nie starczyło mu odwagi, by pociągnąć za spust. Jemu! Piotrowi, któremu nadali kiedyś przydomek „Odważny”! Miotając się z wściekłości, władował cały magazynek w rozklekotaną szafę z ubraniami, rozwalił ją kopniakami i szczątki wyrzucił za okno. Nie pomogło.

Kilka tygodni później znalazła go Łucja.



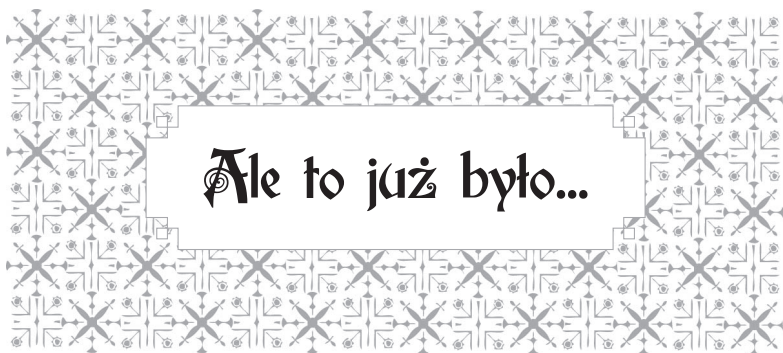
Piotr westchnął i rozejrzał się po placu, otaczającym fontannę Artemis. Zmierzchało, słońce zniknęło za dachami domów, park powoli się wyludniał, tylko z oddali dobiegał zgiełk Speakers Corner. To, że tutaj teraz siedział, było wyłącznie zasługą Łucji.

Długo do niego mówiła, podczas gdy on uparcie ją ignorował, gapiąc się w zacieki na ścianie poza nią, śmierzdzący i na kacu. Twierdziła, że Narnia jest też tutaj, nie mniej piękna. I że wtedy zobaczyli jej najlepszą stronę, a on szukał w najmroczniejszych zakątkach świata. Powiedziała, że zostali obdarowani, ale że to był dopiero początek przygody. Może i miała rację; zawsze patrzyła na wszystko inaczej, była najbliższej Aslana, najlepiej go rozumiała, mimo że to nie był wcale oswojony lew. Dla niej było to spotkanie z Bogiem.

Załatwiła Piotrowi podróż statkiem do Anglii, opłaciła za niego mieszkanie za centrum Londynu i chociaż to było kilka ładnych lat temu, przynajmniej raz w tygodniu odwiedzała go ze swoimi wnucami. Wtedy na chwilę Piotr zapominał o przeszłości i cieszył się razem z nimi. Pozostałe dni w tygodniu spędzał sam, siedząc w fotelu bujanym, ustawionym naprzeciwko dużej rzeźbionej szafy, albo tutaj, przyglądając się nagiej Artemis, gotowej do strzału. Raz w tygodniu chodził do kościoła.

Miał już swoje lata, a przeszłość odcisnęła na nim swoje piętno. Nie było w nim już wiele życia, a jedyne, co mu zostało, to wspomnienie. Nie miał łatwego życia, ale teraz nie czuł już żalu do nikogo i – mimo że nie rozumiał ciągle wielu rzeczy – przestał się buntować i domagać wyjaśnień. Została tylko nostalgia, z którą przestał już walczyć.

Jak dobrze byłoby spojrzeć na wszystko jeszcze ten jeden, ostatni raz. Jeszcze raz być młodym, jeszcze raz poczuć się władcą Narnii. Uśmiechnął się smutno, smakując słowa, które ciągle nie utraciły mocy: Król Piotr Wielki...



## Ale to już było...

Alicja Sein-Anand

### 1.

**M**ężczyzna wygląda na siedemdziesiąt kilka lat. Jest wysoki, chudy i bardzo pomarszczony. Opiera się o ladę, a potem wdycha, gdy Ewa podaje mu książkę.

– Nie – mówi i kręci głową, jakby odganiał się od komarów. Ma szorstki, nieprzyjemny głos. – To nie jest na sprzedaż.

Ewa uśmiecha się. Niepewnie, ostrożnie, bo antykwariusz zawsze wzbudza w niej niepokój.

– Jak to nie? – Dziewczyna wskazuje palcem okładkę; starą, zniszczoną, podartą w co najmniej trzech miejscach. – Tutaj jest cena.

Mężczyzna znów wdycha – tym razem głośniej i bardziej ostentacyjnie.

– To nie jest książka dla ciebie.

Zwraca się do niej jak do krnąbrnego dziecka, jak zawsze, odkąd Ewa nauczyła się czytać.

Białe włosy opadają na twarz, gdy antykwariusz odkłada pamiętnik na stos tomów piętrzący się przy wejściu. Odwraca wzrok i Ewa już wie, że skończył z nią rozmawiać.

Pomieszczenie jest ciemne, zagracone, duszne – i Ewa zastanawia się, czemu jeszcze tu stoi. Chce pożegnać się i wyjść, ale chce też kupić książkę. Chce ją kupić zwłaszcza teraz, gdy antykwariusz nie ma zamiaru jej sprzedać. Z doświadczenia wie, że gdy starszy odmawia, zwykle ma ku temu powody.

Ewa chce poznać te powody. A potem chce kupić książkę.



– Jak to nie? – powtarza uparcie, jak dziecko, gdy mężczyzna opiera się o ścianę za ladą i splata ręce na piersiach. W takich chwilach jest łudząco podobny do swego brata, nieżyjącego już dziadka Ewy. – Cemu nie?

Staruszek nie odpowiada, a Ewa marszczy nos. Kurz drażni słuzówkę i Ewa ma ochotę trzeć oczy. Nie trze jednak, zamiast tego spogląda na stojącego przy ścianie stryjecznego dziadka, wzdycha głośno i zapina płaszcz. Już nie chce kupić książki aż tak bardzo.

Rozumie bowiem, że gdy krewny na coś się nie zgadza, można z nim negocjować. Ale gdy zaczyna milczeć – to znak, że cokolwiek by się działo, i tak nie zmieni zdania. Nauczyła się tego, gdy miała dwanaście lat i przez kilka miesięcy mieszkała z nim i dziadkami w małym dwupokojowym mieszkaniu. Stryj milczał wtedy niemal cały czas.

– Wychodzę – rzuca w końcu, a antykwariusz od niechcenia porusza dłonią.

Ewa otwiera drzwi. Pluszowy świstak przy wejściu wydaje z siebie okropny odgłos.

Dziewczyna chce przekroczyć próg, ale w ostatniej chwili neruchomieje. Orientuje się, że pamiętnik wraz z innymi książkami przygotowanymi do schowania znajduje się niecały metr od niej. Ponownie marszczy nos. A potem, dziwiąc się samej sobie, pospiesznie wyciąga rękę.

Gdy w końcu opuszcza sklep, uświadamia sobie, że po raz pierwszy w życiu dokonała kradzieży. Nie czuje się jednak źle. Pamiętnik ukryty w kieszeni płaszcza przyjemnie obija się o udo.

## 2.

Ewa już po kilku stronach orientuje się, że pamiętnik należał do młodego polskiego partyzanta stacjonującego w Puszczy Nalibockiej na Kresach Wschodnich w czasie drugiej wojny światowej. Wie, że partyzant miał dwóch braci i dwie siostry. Dowiaduje się również, że fascynowała go przyroda.

Nie rozumie, czemu stryjek nie chciał sprzedać jej tego pamiętnika.

Czyta uważnie, powoli, starając się wczuć w sytuację niespełna dwudziestoletniego chłopca.

Prześlizguje wzrokiem po informacjach na temat żołnierzy niemieckich stacjonujących w miejscowości Iwieniec. Mruży oczy przy opisach radzieckich partyzantów chroniących się w puszczy wraz z partyzantami polskimi. Śledzi wzmianki o podpaleniach i bunkrze znajdującym się blisko drogi wlotowej z Kamienia – rodzinnego miasteczka autora – do Iwieńca.

Czuje, jak przebiegają ją dreszcze, gdy poznaje historię małego Staszka, rozstrzelanego latem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku za współpracę z polskimi partyzantami. Staszka, który został przyłapany na tym, że przemycił paczkę z ulotkami przywiązaną do uda.

Potem poznaje dzieje członków rodziny partyzanta i historie żołnierzy-dezertersów, wśród których znalazł się także autor pamiętnika. Czyta o jego ucieczce z transportu na Syberię. W końcu dowiaduje się o jego powojennych losach.

Kończy lekturę po trzeciej w nocy, po czym kładzie się do łóżka w ubraniu, zbyt zmęczona, by się rozebrać. Nie gasi światła. Zamyka oczy.

Zasypiając, zastanawia się, dlaczego stryj tak bardzo bronił się sprzed sprzedaniem jej tej książki.

### 3.

Ewa budzi się w nieswoim mieszkaniu.

Właściwie nie od początku wie, że nie wie, gdzie jest. Tuż po przebudzeniu niespiesznie się przeciąga, przeciera twarz, mruży oczy, ponieważ drażni je nieprzyjemne, jasne światło. Dopiero potem rozgląda się i zauważa, że znajduje się w zupełnie obcym pomieszczeniu. Nie poznaje bielonych ścian, twardego materaca i drewnianego krzesła, stanowiącego jedyne – prócz łóżka – wyposażenie pokoju.

Czuje dezorientację i strach.

Usiłuje przypomnieć sobie, skąd mogła się tu wziąć, ale gdy chce usiąść na łóżku i rozejrzeć się jeszcze raz, do pomieszczenia wchodzi pulchna dziewczyna.

– Obudziła się! – woła i patrzy na Ewę równie niepewnie, jak Ewa patrzy na nią. Ma jasny, gruby warkocz i zaróżowione policzki.

Tuż za nią, w drzwiach pomieszczenia, pojawia się wysoki, umorusany chłopak.

– Kim jesteście? – pyta Ewa.

Czuje, że trzęsą jej się dłonie, choć bardzo się stara zachować spokój. Zastanawia się, czy została porwana. Spuszcza nogi na podłogę i siada na twardym posłaniu, tak by w każdej chwili móc zerwać się do ucieczki.

– A ty? – odpowiada pytaniem chłopak, drapiąc się po chudym karku.

Ma rude włosy i mniej pyzate policzki, ale poza tymi szczegółami wygląda jak lustrzane odbicie towarzyszącej mu dziewczyny. Oboje nie są ładni, ale mają w sobie coś, co wzbudza zaufanie. Ewa to widzi, jednocześnie nadal nie wie, skąd się tu wzięła. Nie może im ufać. To byłoby naiwne i głupie.







– Ja? Mam na imię Ewa. – Nie jest pewna, czy powinna się przedstawiać, więc na wszelki wypadek nie podaje nazwiska. – Powiesz mi, jak się tu znalazłam?

Tym razem zwraca się bezpośrednio do nieznanego chłopaka. Gdzieś czytała, że gdy kieruje się pytanie lub prośbę do konkretnej osoby, łatwiej jest uzyskać odpowiedź.

Chłopak marszczy czoło.

– To ty nie pamiętasz, co stało się?

Ewa kręci głową, nie zwracając uwagi na dziwną wymowę i składnię rozmówcy.

Chłopak i dziewczyna wymieniają spojrzenia.

– Józek znalazł cię w lesie – mówi w końcu blondynka i oddala się od drzwi, by usiąść na brzegu wąskiego łóżka. Ewa odruchowo przesuwa się bliżej ściany. Nie dlatego, że obecność młodej kobiety jej przeszkadza, ale dlatego, że czuje, iż tak właśnie powinna zrobić. – Przyprowadził cię tu, żebyś przypadkiem nie natknęła się na Sowietów. Mogliby myśleć, że szpiegujesz dla Niemców.

– Nie pamiętasz, jak my w lesie spotkali się? – upewnia się Józek.

Ewa unosi brwi. Jak przez mgłę pamięta dotyk szorstkiej kory, lekki wiatr i grudki ziemi między palcami. Do tej pory myślała, że to fragmenty dzisiejszego snu. Jakoś trudno jej uwierzyć, że była to jawa.

Przygryza wargi, analizując słowa nastolatki, najwyraźniej siostry Józefa.

Sowietów? Dla Niemców? Co?

– Sowietów? – próbuje, wciąż mając nadzieję, że jakoś to sobie poukłada.

– No, partyzantów. Sowieckich partyzantów.

– Ale... – Ewa waha się – skąd mieliby się tu wziąć partyzanci? I Niemcy?

Blondynka patrzy na nią z wyraźną troską i Ewa czuje, że rodzeństwo nie próbuje kłamać. Ma niejasne wrażenie, że coś jej umyka. Partyzanci, Niemcy, las...

Pewna myśl wpada jej do głowy, lecz jest zbyt absurdalna, by brać ją pod uwagę. W końcu to niemożliwe. Tyle że Ewa zwykle wybiera najbardziej niewiarygodne scenariusze.

Dlatego teraz nie myśli o rekonstrukcjach historycznych, głupim żarcie, śnie czy halucynacjach. Myśli o tym, co widziała na filmach. O tym, o czym czytała w książkach. Co nie zmienia faktu, że to niemożliwe.

To tylko wpływ pamiętnika – stwierdza. – To przez niego partyzanci i las kojarzą mi się tak jednoznacznie.

Musi się jednak upewnić.

– Który mamy rok?

Domyśla się, że zaraz pożałuje tego pytania, gdy rodzeństwo wybuchnie śmiechem, rozbawione jej wiarą w podróż w czasie. Przecież nie można podróżować w czasie – myśli. Nie można, prawda?

A jednak Józek i jego siostra wcale się nie śmieją, tylko ponownie na siebie zerkają.

Po krótkim milczeniu dziewczyna odpowiada, że tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi.

#### 4.

Janka, siostra Józka, nie jest ładna.

Ewa zauważa to po raz drugi, gdy siedzą przy wejściu do szopy i usiłują rozmawiać. Józek żuje źdźbło trawy i pozwala, by słońce opalało mu twarz. Janka siedzi w cieniu, bawi się końcem warkocza i nieświadomie dotyka stopą łydki Ewy. Jej palce przypominają maleńkie serdelki i gdyby nie to, że wyjątkowo do niej pasują, wyglądałyby dziwnie i śmiesznie.

Janka naprawdę nie jest ładna – myśli znowu Ewa, a ta myśl wydaje jej się tak zaskakująca, że dziewczyna przygryza wargi. Bo przecież, chociaż Janka nie jest ładna, ma w sobie coś, co sprawia, że Ewa nie ma ochoty odrywać od niej wzroku. I gdy tak siedzi i patrzy na jej pulchne palce dotykające jasnych włosów, uświadamia sobie, że to coś jest zdecydowanie bardziej interesujące niż bycie po prostu ładnym.

– Nie wierzycie mi, prawda? – pyta nagle Ewa i pyta już po raz któryś, odkąd siedzą tak przed szopą i usiłują wymyślić, jak właściwie Ewa się tu znalazła. – Nie wierzycie, że przybyłam z przeszłości?

Janka znów patrzy na nią z tą troską, która sprawia, że Ewa czuje się tak, jakby robiła coś złego.

– Ja bym chciała ci wierzyć – mówi, a potem odsuwa stopę od łydki dziewczyny i obejmuje kolana ramionami. – Ale to takie dziwne.

Ewa wie, że Janka ma rację. To faktycznie źle brzmi. Ale jak inaczej wytłumaczyć fakt, że wczoraj był rok dwa tysiące dwunasty, a dziś jest tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi?

– Ty mogła w głowę uderzyć się – wyrokuje Józek, odrzucając od siebie sfatygowane źdźbło i zrywając sobie następne. – Jak ja cię znalazł, ty była trochę nieprzytomna. Ty mogła uderzyć się.

Ewa wie, że wcale się nie uderzyła. A przynajmniej – że to, iż wierzy w podróż w czasie, nie jest wynikiem tego uderzenia. Wie, bo ma na sobie jasne jeansy i bluzkę ze sklepu, który na pewno jeszcze nie istnieje.





60

Alicja  
Sein-Anand

– Może powinniśmy pójść tam, gdzie Józek cię znalazł? Może w Iwieńcu coś sobie przypominisz?

Pomysł Janki wydaje się sensowny; tyle tylko, że Ewa naprawdę nie sądzi, że musi sobie coś przypominać. Pamięta, co robiła poprzedniej nocy. Pamięta, że czytała pamiętnik. I pamięta, że kładła się spać w swoim własnym, domowym, osobistym łóżku.

A potem pojawiła się w lesie. I nie mogła pamiętać jak, bo pojawiła się w jakiś niepojęty, magiczny sposób.

Rozumie jednak, że zarówno Janka, jak i nieco chłodny Józek naprawdę nie chcą jej krzywdy. Podnosi się więc z trawy i otrzępuje spodnie.

– Dobra – mówi i ma nadzieję, że rodzeństwo doceni jej dobre chęci. – Jeśli to może pomóc, to chodźmy do tego Iwieńca.

## 5.

Józek znalazł Ewę na skraju Puszczy Nalibockiej, kilkaset metrów od drogi wlotowej z Kamienia do Iwieńca.

Teraz wciska się między gałęzie i odgarnia włosy z czoła. Nie wie, co powinien myśleć. Nie wie też, w co powinien wierzyć. Robi więc to, co robił przez ostatnie kilka lat i na czym, przynajmniej do tej pory, zawsze wychodził dobrze. Słucha Janki.

A Janka – ta sama Janka, która nigdy go nie zawodzi – mówi, że należy tu być. Dlatego Józek jest i choć czuje się głupio, wspierając rozwój szaleństwa tej obcej dziewczyny, zaciska zęby i wskazuje dłonią najbliższą okolicę.

– Ja cię zobaczył gdzieś tu – mówi i kreśli w powietrzu niewidoczny półokrąg. – Ty opierała się o drzewo i patrzyła tam.

Unosi drugą rękę i kieruje palec w stronę Iwieńca, niewidocznego spomiędzy gęstych gałęzi.

Ewa podchodzi do pnia, dotyka szorstkiej kory, a potem energicznie potrząsa głową.

– To przecież las – oznajmia i, o dziwo, nie brzmi przy tym tak, jakby tłumaczyła coś oczywistego. – Wszystkie drzewa są takie same. Nie wiem, czy pamiętam akurat to.

Józek wzrusza ramionami, trochę ze zniecierpliwienia, a trochę z dojmującej bezradności.

Poza tym dochodzi do wniosku, że dla niego drzewa nie są takie same. Dla niego inaczej wygląda świerk, inaczej sosna, jeszcze inaczej olsza, dąb czy brzoza. Ale dla Ewy wszystko jest takie mdłe i nieinteresujące – myśli.

– Musiałś tu być, skoro Józek cię widział – odzywa się w końcu Janka. Mruży niebieskie oczy i rozgląda się w skupieniu. - Nie wiemy tylko, gdzie byłaś wcześniej.

Ewa też wzrusza ramionami, tak samo jak Józek. Ma jednak wyrzuty sumienia, gdy widzi zawiedzioną minę Janki. Wie przecież, że dziewczyna chce pomóc. Mimo to, w swoim nieco dziecinnym podejściu do świata, Ewa nie umie zmusić się, by tę pomoc odpowiednio przyjąć. Tak się bowiem składa, że Ewa w ogóle nie umie przyjmować pomocy.

– Możemy jeszcze tam przejść się, bliżej miasta – proponuje Józek, a robi to tylko dlatego, że szkoda mu zmartwionej siostry. Ewa kiwa głową i Józek domyśla się, że kieruje nią ta sama motywacja. Nie potrafi jednak pozbyć się lekkiej uszczypliwości, więc nieprzyjemnym głosem dodaje: – Może być coś w końcu przypomnisz sobie.

Idą parę chwil, a potem wychodzą z lasu i maszerują przez kolejne kilka minut. Przeprowadzają się przez pole, które oddziela drogę od puszczy. Józek milczy, a Ewa opowiada Jance o życiu w dwudziestym pierwszym wieku.

Janka słucha uważnie i przy tym słuchaniu ma wrażenie, że Ewa nie może kłamać.

Nie bujałyby o takich rzeczach – myśli Janka, wyobrażając sobie małe, pozbawione kabli urządzenia, w których można pomieścić całe mnóstwo piosenek i filmów. Nie oszukiwałaby w tak przekonujący sposób.

W końcu cała trójka staje naprzeciw bunkra, z otworów którego wystają karabiny maszynowe. Kilkadziesiąt metrów dalej, już za puszcza, znajduje się główna droga. Przy niej, przy samym wejściu do miasta, spaceruje dwóch Niemców.

– Kontrolują przechodniów i pojazdy – wyjaśnia Janka, patrząc na żołnierzy. – Czasem rozstrzelają kogoś dla postrachu i ogłaszają, że wykryli uzbrojonego partyzanta.

Przechodzą między pniami drzew i wychodzą na drogę, nie za blisko miasta, by nie mieć do czynienia z Niemcami. Ewa rozgląda się i – zgodnie ze swymi podejrzeniami – nie dostrzega tu niczego znajomego. Miasto jest jej zupełnie obce, tak samo jak puszcza, las i Kamień, w którym mieszkają Józek i Janka. Wszystko to kojarzy jej się tylko i wyłącznie z pamiętnikiem.

W tym momencie przychodzi jej do głowy, że skoro znalazła się tak blisko Iwieńca, to może właśnie w Iwieńcu ktoś wie coś na ten temat.

– Chyba jednak powinnam podejść bliżej – mówi i robi krok w przód.





A potem, zanim Józкови lub Jance udaje się ją zatrzymać, rusza prosto w stronę żołnierzy.

## 6.

Józek dogania Ewę i chwytą ją za ramię.

– Gdzie ty idziesz? – warczy, gdy dziewczyna zatrzymuje się i spogląda mu w twarz. – Tobie tam nie wolno zbliżyć się. Masz tylko rozejrzeć się.

Ewa strąca rękę chłopaka, a Janka przygryza wargę i z niepokojem zerka na Józka.

– Jesteś pewien, że nie możemy podejść? – pyta. Tym razem nie mówi bratu, co powinien robić. Rozumie, że w tej sytuacji to on lepiej wie, co jest, a co nie jest bezpieczne. – Skoro Ewa uważa, że to by pomogło...

Nie dokańcza, bo orientuje się, że Józek na pewno nie zmieni zdania.

– Nie – odpowiada, a jego głos brzmi chłodno i nieprzyjemnie. – Przecież jak zacznie gadać o podróżach w czasie, to my też kłopoty będziemy mieć.

Chłopak czuje się głupio za każdym razem, gdy mówi o Ewie. Idiotycznie natomiast czuje się wtedy, gdy wspomina o tych jej domniemanych podróżach.

– Może nie – odzywa się Ewa. – Może powiedzą mi coś na ten temat.

Dziewczyna zdaje się być całkowicie opanowana i spokojna. Nie boi się, ale też, według Józka, nie myśli racjonalnie. Jest szalona – stwierdza Józek w duchu i aż gotuje się wewnątrz. To wszystko to jakies szaleństwo!

– Przecież to głupota!

Chłopak nie wytrzymuje i unosi głos, a Janka nerwowo przestępuje z nogi na nogę. Nie lubi, gdy ktoś krzyczy w jej obecności.

Ewa zaś nie daje za wygraną.

– Może wcale nie. Skoro znalazłam się koło Iwieńca, to Iwieniec musi mieć z tym jakiś związek.

Józek ma ochotę załamać ręce, ale zamiast tego wybuchą złością, jak zawsze, gdy czuje się aż tak bezradny.

– A nie myślisz, że ty zwykła wariatka? Nie ma żadnych podróży w czasie!

Józek wie, że przesadził, gdy kątem oka zauważył, że żołnierze zaczynają im się przyglądać. Jeden, starszy, mówi coś do drugiego. Poprawiają broń, robią krok w ich kierunku. Na razie tylko krok.

Janka orientuje się, że Józek krzyczy zdecydowanie głośno.

– Przez ciebie my zaraz w tarapaty wpadniemy – mówi Józek do Ewy.

W tej samej chwili do Iwieńca zbliża się chłopiec z koszykiem peł-

nym jajek. Niepewnie podchodzi do Niemców, by poddać się kontroli. Mężczyźni jednak wciąż patrzą na drogę, na której przed chwilą trwała głośna wymiana zdań.

Młodszy żołnierz tylko zerka na koszyk i od niechcienia macha ręką. Drugi nawet nie obraca głowy. Dziecko przechodzi obok nich, a potem rusza wzdłuż pobliskich budynków.

– Chodźmy stąd – syczy Józek, a jego policzki stają się coraz bardziej czerwone. Chwyta Jankę na rękę, potem odwraca się do Ewy. – Wracamy, już!

Dziewczyna w końcu kapituluje. RzUCA ostatnie spojrzenie na niemieckich żołnierzy i przekonuje samą siebie, że od nich faktycznie nie dowie się niczego istotnego.

– Niech ci będzie – zgadza się. Brzmi, jakby zupełnie nie zdawała sobie sprawy z potencjalnego niebezpieczeństwa. – Chodźmy.

Powoli oddalają się od miasteczka, a żołnierze, już mniej spięci i podejrzliwi, w końcu odrywają od nich wzrok. Robią to jednak zbyt późno, by zauważyć, że chłopiec, który niesie przez Iwieniec koszyk jajek, ma lekką wypukłość na udzie.

## 5.

Droga z Iwieńca do Kamienia zdaje się być o wiele krótsza niż ta z Kamienia do Iwieńca.

Józek idzie przodem, kilka metrów przed dziewczętami. Wydaje się być zły, ale tak naprawdę jest tylko nerwowy, bo wciąż nie wierzy w podróż w czasie. Nie może też zrozumieć, czemu wierzy w nią jego siostra.

To bzdura – myśli, zaciskając dłonie tak, że knykcie robią się zupełnie białe. Bzdura i stek kłamstw. Tyle tylko, że świadomość kłamstwa nie sprawia, iż Józek rozumie więcej. Nie potrafi wytłumaczyć przyczyn i okoliczności nagłego pojawienia się Ewy – i to powoduje ogromną frustrację.

Ewa i Janka idą za nim. Powoli zbliża się wieczór i słońce nie grzeje już tak mocno. Robi się ciemniej, więc młode kobiety nie widzą się wyraźnie. Janka nie wie, że na twarzy Ewy od czasu do czasu można dostrzec lekki strach. Ewa zaś nie podejrzewa, że Janka przejmuje się tym wszystkim bardziej niż ona.

Dziewczyna może się tego domyślić dopiero wówczas, gdy Janka chwyta ją za rękę i ścisną mocno, krzepiąco. Ma nadzieję, że choć trochę uda jej się wynagrodzić towarzysze fakt, iż nie dość, że musiała znosić oskarżenia Józka, to jeszcze nie poznała żadnych odpowiedzi.



63

Alto  
już było...





– Wiesz, zawsze chciałam mieć rodzeństwo – mówi nagle Ewa, a Janka, zaskoczona, odrywa wzrok od swoich butów. Przez chwilę spogląda w stronę idącego przodem chłopaka, ale potem już tylko udaje, że patrzy na rudą czuprynę. Tak naprawdę obserwuje loki, które spływają na ramiona Ewy – tej dziwnej, nieprzewidywalnej Ewy, która zdaje się zupełnie inaczej patrzeć na świat. Tej Ewy, która po znalezieniu się w zupełnie obcej rzeczywistości i po ostrej wymianie zdań z Józkiem myśli o tym, że chciałaby mieć siostrę lub brata.

Janka zaciska wargi, zastanawiając się, czy jeden dzień wystarczy, by poznać drugą osobę. Potem wzrusza ramionami. Uznaje, że w tym przypadku wystarczy.

– Ja zawsze chciałam mieć przyjaciółkę – rzuca, niby od niechcenia. – Myślę, że ty i ja mogłybyśmy się kiedyś zaprzyjaźnić.

Ewa nie odpowiada, ale Janka czuje, że dziewczyna mocniej ściska jej dłoń.

#### 4.

Gdy Staszek wraca z Iwieńca i mija niemieckich żołnierzy, nie czuje strachu. Już nie. Idzie pewnym krokiem, spokojnie, tym razem bez ulotek przywiązanych do prawego uda. Myśli o tym, że nigdy więcej nie zaangażuje się w taką pomoc partyzantom. Nie po tym, jak tak bardzo się bał.

Pamięta, jak trzęsły mu się dłonie i jak cały drżał, gdy żołnierz rzucił na niego okiem. Wie, że musiał wyglądać podejrzanie. Błady, z poczuciem winy na twarzy, ledwo łapiący powietrze. Po prostu: podejrzany.

To nic, że dzieci sprawdzają mniej i łatwiej przepuszczają do miasta – myśli, widząc już przed sobą Kamień. Mnie na pewno by sprawdzili. I złapali – dodaje w duchu – gdyby nie kłótnia młodych Rewiaków tuż pod nosem Niemców.

I kiedy tak wkracza do miasteczka i rozmyśla o tym, co się dziś stało – nie wie, że gdyby nie kłótnia Rewiaków z nieznaną mu dziewczyną, faktycznie by go złapali.

Nie wie, że gdyby nie ta kłótnia, zginąłby, rozstrzelany, niecałą godzinę temu.

#### 3.

Gdy wieczorem kończy się kolacja i Ewa chce udać się do swego tymczasowego pokoju, Janka wstaje od stołu razem z nią. Idą tuż obok siebie i Ewa czuje, że dłoń Janki raz po raz delikatnie objima się o jej rękę.



Nie wie, czy dziewczyna robi to nieświadomie czy znów dąży do fizycznego kontaktu. Wie za to, że jest to przyjemne.

Docierają do znajomych drzwi i Ewa odwraca się, by pożegnać się z Janką.

– Jesteś zmęczona? – pyta blondynka, a Ewa unosi brwi i postanawia skłamać, bo przecież nie jest zmęczona aż tak bardzo.

– Nie – mówi więc, a potem wchodzi do pokoju i siada na brzegu łóżka. Twarde posłanie jest chłodne i nieprzyjemnie drapie skórę. Ewa zsuwa buty i podciąga stopy pod siebie. – Porozmawiamy jeszcze?

Janka kiwa głową i wchodzi, zamykając za sobą drzwi. Siada na drewnianym krześle w prawym rogu pokoju. Pulchnymi palcami chwyta warkocz i wprawnie zsuwa z włosów wstążkę. Jasne kosmyki rozsypują się na ramionach.

– Myślisz, że jeszcze wrócisz do siebie? – Janka ma nieco niepewną minę i Ewa wie, że rozmowa o podróży w czasie jest dla dziewczyny trochę krępująca. – Myślisz, że znikniesz nagle, kiedy staniesz w lesie dokładnie w miejscu, w którym się wcześniej pojawiłaś?

Ewa wzdycha, a potem wzrusza ramionami. Nie wie, co się teraz stanie. Nie wie, czy wróci do siebie. Wie tyle, ile Janka. Rozumie jednak, że dziewczyna chce wierzyć, iż Ewa ma to wszystko pod kontrolą.

– Wydaje mi się, że wystarczy, że zasnę. Poprzednio zasnęłam i obudziłam się tu. Może teraz zasnę i obudzę się u siebie.

Janka przygryza pełną wargę i spuszcza wzrok. Wygląda, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć. Przez chwilę bawi się włosami, okręca je wokół palców. Przez jej twarz przebiega pewien cień i Ewie wydaje się, że wie, co zajmuje teraz myśli dziewczyny.

W końcu blondynka decyduje się powiedzieć to na głos.

– Jeżeli wrócisz do siebie, więcej się nie spotkamy.

Ewa wypuszcza powietrze, a Janka podnosi wzrok. Potem wstaje i niepewnie rusza w stronę łóżka. Odrzuca włosy do tyłu i wyciąga rękę.

Ewa chwyta wilgotne palce w swoją dłoń i przesuwa się, by zrobić Jance miejsce obok siebie.

– Jeśli zostanę tutaj, więcej nie spotkam moich bliskich.

Przez dłuższą chwilę obie milczą i Ewa ma wrażenie, że zrobiła coś nie tak. Palce Janki wysuwają się z jej dłoni i lądują na szorstkim przescieradle. Niebieskie oczy znikają, przysłonięte płową grzywką.

– Jeśli zostaniesz, możesz na nich poczekać.

Ewa potrzebuje kilka sekund, by zorientować się, co Janka ma na myśli. Czuje się trochę nieswojo, gdy uświadamia sobie, że jej rodzice





jeszcze się nie urodzili. Dopiero teraz po raz pierwszy wyraźnie dociera do niej, że musi jak najszybciej wrócić do swoich czasów.

Ogarnia ją nagły, niespodziewany lęk. A co, jeśli naprawdę nie będzie mogła wrócić?

Nie zastanawia się jednak nad tym dłużej, bo w tym momencie Janka przybliżyła się i Ewa czuje na swoich wargach jej spierzchnięte wargi.

Pocałunek jest nieśmiały i niepewny, nawet nieco niezdarny.

– Co ty robisz? – pyta Ewa, odsuwając się tylko na moment, by spojrzeć w tę zaróżowioną twarz i błyszczące jasne oczy.

– Żegnam się – odpowiada Janka. – Wierzę ci, że wystarczy, że zaśniesz.

Kiedy Janka wychodzi, a Ewa wsuwa się pod kołdrę, wie, że naprawdę chce wrócić do domu. Chce zasnąć tu i obudzić się tam, we własnym łóżku. Niezależnie od powodu, dla którego tu jest, chce po prostu odzyskać swoje życie.

Tak, zdecydowanie chce. Nawet mimo Janki i jej nieśmiałego, niezdarnego pocałunku.

## 2.

Gdy Ewa budzi się w swoim gdyńskim mieszkaniu, przez chwilę, tak samo jak poprzedniego dnia, nie ma pojęcia, gdzie jest. Zamiast spodziewanych białych ścian i krzesła widzi drewnianą szafę i portret prababki. Zza okna dochodzą do niej odgłosy ulicy, a w nogach kłębi się czarny kot. Ewa przeciera twarz, jak zwykle, a potem jak zwykle się przeciąga i zerka na ekran telefonu.

Godzina: ósma dwadzieścia dwie. Dzień: czwarty marca, dwa tysiące dwunasty rok. Opada z powrotem na poduszkę i przez kilkanaście sekund oddycha głęboko, usiłując zebrać myśli.

To był tylko sen, stwierdza, i tak naprawdę nie wie, czy czuje tylko ulgę czy też pewnego rodzaju żal. Przecież, jeśli to sen, Janka nigdy nie istniała, a ona sama nigdy nie podróżowała w czasie. Natomiast – jeśli to prawda...

Cóż, jeśli to prawda, można śmiało przypuszczać, że zarówno Janka, jak i Józek albo już nie żyją, albo są tego nieuchronnie bliscy.

Ale to przecież sen.

W każdym razie – niezależnie od tego, czy to sen, czy nie – nie ma to żadnego wpływu na teraźniejszość. Bo nie ma, prawda?

Ewa to wie i nie potrafi zdecydować, czy jest z tego powodu szczęśliwa.

## 1.

Antykwariusz milczy, gdy Ewa wchodzi do sklepu i odzywa się po raz pierwszy. Milczy także wtedy, gdy dziewczyna odzywa się drugi raz. Milczy nawet wówczas, gdy Ewa wyjmuje z kieszeni płaszcz stary pamiętnik i kładzie go na ladzie wraz z pudełkiem czekoladek.

Milczy, bo jest zły.

Ewa wie, że stryj długo chowa urazę, więc nawet nie próbuje go ponaglać. Zamiast tego odzywa się trzeci raz. Przeprasza. Nie dziwi się, gdy nie słyszy odpowiedzi.

Powoli przekracza próg, a świstak, jak zwykle, wydaje z siebie ten okropny dźwięk, który od dziecka uznawała za najgorszy i najbardziej nieprzyjemny dźwięk świata. RzUCA ostatnie spojrzenie na książki i zamyka drzwi.

Wtedy właśnie przychodzi jej do głowy, że mogłaby to opisać – mogłaby utrwalić Jankę, podróż, Józka i sen.

Zastanawia się nad tym przez chwilę, ale potem wzrusza ramionami i odrzuca ten pomysł.

Wie, że to wszystko – podróże w czasie, zagubione dziewczyny, kobiety podobne do Janki, nieufni chłopcy tacy jak Józek – to wszystko, co wydarzyło się lub przyśniło jej poprzedniej nocy, wcale nie jest takie nowe i oryginalne. Nie, zdecydowanie nie jest.


Rusza wzdłuż wąskiego chodnika i oddala się od antykwariatu, w którym starszy mężczyzna ujmuje wyświechtaną książkę w suche dłonie i starannie chowa ją pod ladą.

Tak właściwie – myśli Ewa, mijając kobietę o oczach łudzaco podobnych do oczu jasnówłosej pulchnej Janki – to wszystko gdzieś już wcześniej było.



# Błysk istnienia

Wojciech Wróbel

 budziła się z bólem głowy. Wciąż na wpół śniąc – próbowała przypomnieć sobie, gdzie właściwie się znajduje. W końcu zorientowała się, że to, na czym leży, jest miękkim mchem, przestrzeń wokół porastają drzewa, a ona nazywa się Enid. Mimo bólu w czaszce podniosła się i rozejrzała wokół. Oczywiście była w lesie. Ostatnim, co pamiętała, był las... Wciąż jednak nie wiedziała, jak się tu znalazła. Czubki drzew wbijały się w niebo, gdzieś tam śpiewał słowik. Wstała i, powstrzymując mdłości, rozejrzała się wokół.

Wszędzie na miękkim mchu między drzewami leżały ludzkie ciała. Naszpikowane strzałami, posiekane mieczami i poprzebijane przez włócznie. Prerażona postąpiła kilka kroków do tyłu, nadeptując na kolejne zwłoki. Mężczyzna nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, ubrany w grube futro, spoglądał na nią oczami pełnymi przerażenia. Bogowie! Czy to ona go zabiła? Uklękła przy nim, odwinęła futra. Cała kolczuga pod spodem lepiała się od krwi. Enid odsunęła się. Kolejni byli zapewne tak samo martwi. Ich twarze wpatrujące się w błękit... Trzęsąc się i rozcierając skronie, wyszła z kręgu ciał. Teraz dopiero zauważyła, że ziemia na całej polanie była mocno ubita, jakby stało tam coś ogromnego.

Gardło miała suche jak wiór, musiała się czegoś napić, ale nie chciała przeszukiwać tych ludzi. Kimkolwiek byli. Bogowie, jak mogła nic nie pamiętać? Przypominała sobie, że biegła przez las. Była sama? Ci mężczyźni biegli z nią, czy po nią? Spojrzała jeszcze raz na ciała. Nie wyglądali jak ludzie, których zwykle widywała. Mieli krótkie włosy i brody, zamiast futer – koszule. Jeden z nich na piersi miał wymalowany jakiś znak. Wyglądali obco, ale poza tym ich wygląd nic jej nie mówił. Skąd mogli pochodzić? Z innej krainy? Ale właściwie skąd ona

pochodziła? Odwróciła się od polany usłanej trupami, odetchnęła chwilę, po czym popędziła przed siebie. Biegła tak długo, aż – powodowana mdłościami – przewróciła się na mokry mech. Oddychając ciężko położyła dłoń na piersi.

I wtedy właśnie coś się zmieniło.

W miejscu, w którym zawsze bezpiecznie wisiał jej amulet, teraz była jedynie naga skóra. Enid nerwowo pomacała się po szyi. Może po prostu się przesunął, utknął we włosach... Nie było go. Amulet, który miał chronić ją przed dziećmi Morrigan i bestiami lasu, przepadł. Nie pamiętała, co się wydarzyło, a teraz jeszcze to. Bogowie ją przeklęli. Kiedy spojrzała za siebie, ciągle była w stanie zobaczyć wieniec zwłok daleko, wśród drzew. Musiała się czegoś napić, zjeść cokolwiek, poszukać jakiegoś schronienia, żeby przeczekać to wszystko. A przede wszystkim przeczekać ten przeklęty ból głowy.

Podczołgała się pod najbliższe drzewo, wciąż z trudem łapiąc oddech. Musiała za wszelką cenę znaleźć coś, aby zwilżyć wargi. Może powinna była przeszukać trupy tamtych mężczyzn na polanie. Świętość zmarłych przestawała mieć teraz znaczenie. Kimkolwiek byli, ich duchy jej wybaczą, nie potrzebowały w końcu wody w podróży na drugą stronę. Powoli, podpierając się o drzewo, zaczęła wstawać, kiedy nagle coś na ziemi przykuło jej uwagę. Mech był mokry.

Rzuciła się na ziemię i zaczęła łapczywie zlizywać wodę z liści i poszycia. Musiało padać, kiedy leżała na tamtej polanie, wśród martwych. Nie zważała na kawałki małych roślin, ani na owady, które wpadały jej do ust. To było tylko kilka kropel, ale smakowały jak napój bogów. Teraz jeszcze potrzebowała jakiegoś pożywienia, choćby odrobinę. Od jak dawna nie miała nic w ustach? Gdzieś w pobliżu musiały być jagody albo grzyby. Teraz wiedziała, że przeżyje. Musiała przeżyć. Bogowie zesłali deszcz, kiedy leżała na tamtej polanie, a poza tym była w lesie, to jej żywioł. Wiedziała jak rozpalić ogień, złapać królika i gdzie uciec przed niedźwiedziem. W końcu już nie pierwszy raz znalazła się w takiej sytuacji.

Ψ

Obudził się z bólem głowy. Wciąż na wpół śniąc próbował przypomnieć sobie, gdzie właściwie się znajduje. W końcu zorientował się, że pomieszczenie, w którym przebywa, jest jedną z kajut „Awangardy” – królewskiego okrętu bojowego – a on nazywa się William Wynter. Nazywa się William Wynter i jest na wojnie. Podniósł się z koi, wciąż półprzytomny. Spał, chociaż obowiązki wzywały. Był admirałem Jej Królewskiej Mości i miał bronić granic jej królestwa przed najeźdźca-





mi, a zamiast tego spokojnie spał. Niegdyś w żadnym wypadku nie pozwoliby sobie na takie lenistwo. Narzucił na siebie mundur, po czym wyszedł z kajuty kapitańskiej. Masując skronie rozejrzył się po zatłoczonym pokładzie, odnalazł w końcu starego bosmana.

– Witaj Harry, jak tam pogoda? – zagadnął swobodnym tonem, mimo że ból głowy wcale nie ustępował.

– Niezła, kapitanie, całkiem niezła, ale wiatru wciąż nie ma – odparł Harry Stone spluwając za burtę.

Kapitan Wynter oparł się o reling i spojrzął na wysokie zabudowania otaczające kanał, w którym znajdowała się „Awangarda”. W całym doku, po obu brzegach uganiali się ludzie. Przelądowywali wozy, nosili skrzynie, sprzeczali się ze sobą, podnosili drewniane maszty za pomocą ogromnego żurawia. Cały Londyn. Zawsze hałaśliwy i śmierzdzący, pełen gąb do wyżywienia i rąk niezbyt chętnych do pracy. Za nimi, w głębi kanału, powstawał kolejny okręt dla Królowej-Dziewicy: bliźniaczo podobna do „Awangardy” „Tęcza”. Mający jakieś sto osiem stóp długości galeon w istocie sprawiał imponujące wrażenie. Jeszcze kilka dni i „Tęcza” zapewne dołączy do swojej siostry w jej misji. Dołączy, jeśli w końcu zawieje wiatr. Na razie nic tego nie zapowiadało. Doki pełne były ludzi pracujących z pośpiechem, lecz na jego statku nie było widać podobnego napięcia. Zarówno marynarze, jak i żołnierze grali w karty lub kości, zmęczonym wzrokiem obserwując wydarzenia za burtą. „Jeśli boże wichry nie przyjdą w ciągu najbliższych dni, jesteśmy zgubieni” – pomyślał William. Żołnierze coraz bardziej wykazywali oznaki zniecierpliwienia i frustracji. Wielu z nich wymykało się do burdeli, niektórzy zaczynali pić, a co najgorsze – wśród załogi narastały spięcia. Czy Bóg nie chciał, aby obronili królestwo przed wrogami? Kapitan musiał jednak mieć wiarę. Kto jeśli nie on? Mimo woli jego dłoń powędrowała do kieszeni munduru.

I wtedy właśnie coś się zmieniło.

Kompas... Musiał gdzieś go zostawić, choć nosił go przy sobie tyle lat. Przez chwilę skołowane myśli Wyntera krążyły wokół tego małego pozłacanego przedmiotu. To był prezent, nie powinien być zgubić prezentu. Otrząsnął się. To nie miało teraz większego znaczenia.

– Harry, przynieś mi mój dziennik. Jest w skrzyni z moimi rzeczami, w kabinie – zakomenderował nie odwracając wzroku od zatłoczonych doków.

– Może jeszcze trochę sadzonych jaj sir? I bekon? Grzanki też się znajdują. I oczywiście flagon, żeby to wszystko popić – Stone uśmiechnął się szeroko.

– Byle szybko, Harry – Will kiwnął głową, wciąż nie odrywając oczu od budzącego się Londynu.

Nie był już najmłodszy, coraz trudniej było mu utrzymywać siebie i załogę w dobrej kondycji. Jednak admirałem był wiele lat, a kapitanem jeszcze dłużej. To, co teraz, kiedy stali w porcie, wydawało mu się wyzwaniem – zamieni się w igraszkę w momencie, gdy tylko wypłyną na pełne morze. Bóg musiał być po ich stronie, a Królowa osobiście pobłogosławiła okręt. Da sobie radę, wiedział o tym. W końcu już nie pierwszy raz znalazł się w takiej sytuacji.

Ψ

Obudził się z bólem głowy. Wciąż na wpół śniąc próbował przypomnieć sobie, gdzie właściwie się znajduje. W końcu zorientował się, że pomieszczenie, w którym przebywa jest jego sypialnią, a on Davidem Blashberry. Biednym Davidem Blashberry. Powoli zsunął się z łóżka, narzucił szlafrok i powłókł do kuchni. Nieprzytomnym wzrokiem rozejrzał się, odnalazł zabrudzony kubek do kawy, podszedł do ekspresu. Chcąc napić się kawy i zmusić swój mózg do szybszego oswojenia się z rzeczywistością, David chwycił za rączkę od ekspresu... A raczej chwyciłby, gdyby nie fakt, że w ekspresie brakowało rączki.

I wtedy właśnie coś się zmieniło.

Rączka zniknęła i ten mały szczegół sprawił, że myśli Davida nie potoczyły się rutynowym torem. Zamrugał kilka razy. Problem był taki, że w ekspresie brakowało rączki, a on chciał napić się kawy. Fakt, że ekspres nie posiadał rączki, a David nie mógł napić się kawy, zdawały się mieć ze sobą coś wspólnego. Spojrzał na swój kubek i podrapał się po nieogolonym policzku. Obejrzał ekspres ze wszystkich stron. Wszystko poza wajchą się zgadzało. „Trudno, dziś nie będzie kawy” – pomyślał i poczłapał do stołu. Najświeższe gazety pochodziły sprzed miesiąca. Zerknął na lodówkę, lecz po chwili dotarło do niego, kiedy ostatnio robił zakupy, toteż zniechęcony opadł na krzesło. Zmarszczył czoło, usiłując przypomnieć sobie, dlaczego właściwie znalazł się w takiej sytuacji. Podszedł do okna, odsłonił żaluzję. Zwykle ruchliwa, pełna ludzi i samochodów Spindrift Avenue, mimo wczesnej pory była prawie zupełnie opustoszała.

Co robił ostatniego wieczoru? Gdzie był? To chyba nie miało większego znaczenia. Odkąd nie posiadał żadnych pieniędzy, jego życie zamieniło się w pasmo powtarzających się czynności. Niełatwo było żyć bez dochodów – szybko zdał sobie z tego sprawę. Bywały momenty, w których dziwnym trafem udawało mu się znaleźć jakąś pracę,





jednak za każdym razem wiedział, że to nie potrwa długo. Wtedy każde pieniądze, które udawało mu się zarobić, traktował z niemalże nabożną czcią. I – o dziwo – było to dla niego coraz mniej bolesne. Przyzwyczał się. Czasem tylko zastanawiał się, dlaczego tak się stało. Czy to przez nią stał się tym, kim był teraz? Czy może jego własna krnąbrność doprowadziła go do gorzkiego upadku? „Ścieżki życia są kręte” – powtarzał sobie w takich chwilach zwątpienia. Musiał przyznać, że podnosiło go to nieco na duchu.

Nie szkodzi. Nie będzie ani kawy, ani porannej gazety, ani jedzenia. Musi to przeżyć. W końcu już nie pierwszy raz znalazł się w takiej sytuacji.

## Ψ

Poszukiwania jedzenia w lesie nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Enid, nieustannie obserwując okolicę, wlokła się ścieżkami wydeptanymi przez zwierzęce racice. Nie minęło jeszcze południe, a ona już umierała z głodu. Próby odnalezienia jagód spęłży na niczym. O polowaniu teraz nawet nie myślała. Nie miała sił, aby wystarczająco długo wytrzymać nieruchomo w bezruchu, czekając, aż zwierzę się zbliży, a co dopiero biec za nim, dopaść je i zabić. Szła więc wciąż przed siebie, przyglądając się z uwagą drzewom, które mijala i z całych sił starając się rozpoznać okolicę. Ten las... znała go, choć teraz wydawał się tak obcy. Napawał ją dziwnym lękiem, tak jakby coś się tu zmieniło, jakby zyskał teraz nowych mieszkańców i nowego władcę, który ustanawiał własne porządki.

Martwych mężczyzn zostawiła na polanie, daleko za sobą, wciąż jednak zdawało się jej, że ją obserwują. Ich szeroko otwarte oczy, wpatrujące się w nią z niemym błaganiem... Tylko o co? O litość? Oni i tak już nie żyli, jakiegokolwiek cierpienia przeżywali, nie była w stanie im pomóc, nie ona. Może tam po drugiej stronie. Druidzi potrafili rozmawiać z bogami, oni wiedzieliby, co zrobić w takiej sytuacji, ale Enid była tylko córką rybaka, potrafiła łowić, polować, znajdować trop zwierzyzny. To, co działo się ze zmarłymi, było dla niej zagadką. O tak, być może gdyby była Druidką, zdołałaby się dowiedzieć, skąd wziął się ten ból głowy i dlaczego nie pamiętała, jak znalazła się na polance. Nie była jednak Druidką, lecz samotną, zbłąkaną dziewczyną. Mimo to wiedziała, że coś tu nie pasuje, to nie była zwykła walka. Enid widziała ich twarze – zostali zamordowani, szybko i bezlitośnie. Ten ktoś lub to coś, co to zrobiło, miało dużo wspólnego z bogami. Wiedziała o tym. Bogowie lasu bywali okrutni, a śmierć, jaką zginęli tamci, była straszna.

Musiała przetrwać, musiała dotrzeć do swojej wioski. I przypomnieć sobie, co się tam zdarzyło. Musiała to wiedzieć. Ból głowy nie pozwalał jej zapomnieć choćby na chwilę o polanie i tych, którzy na niej leżeli. Ktoś musiał wtedy uderzyć ją na tyle mocno, że straciła przytomność i zapomniała to wszystko, co wydarzyło się wcześniej. Enid zatrzymała się na chwilę. Spróbowała zebrać myśli. Czy to mogli być ludzie z innej wioski? Od dziesięcioleci na całym wybrzeżu panował pokój, to akurat pamiętała. Rządził nimi jeden król i byli jednym ludem, zrozumieli to już dawno temu. Od tego czasu walki wybuchały tylko sporadycznie i były to raczej drobne potyczki, wywodzące się jeszcze od sporów sprzed lat. Tego nie mógł zrobić nikt, kogo znała. Poza tym ci mężczyźni nie wyglądali znajomo. A więc ktoś obcy?

Nie tak to sobie wyobrażała. Miała schwytać królika albo kuropatwę, rozpalic ognisko, potem, kiedy nabrałaby sił, biegłaby jak najdalej przed siebie, kierując się słońcem i mchem. W końcu dotarłaby do wybrzeża, znalazła swoją wioskę i tam, kiedy ból głowy by ustał, spokojnie wszystkiego by się dowiedziała. Tymczasem jednak szła, a raczej wlokła się przez las, nie wiedząc, gdzie jest i kto może ją gonić. Pościg. To ją niepokoiło i napawało lękiem. Często oglądała się za siebie, niepewna, co może tam zobaczyć i za każdym razem czuła tę samą ulgę, widząc tylko drzewa. Czy ci, którzy dokonali mordu na polanie, wiedzieli, że ona przeżyła i chcieli ją dopaść? Dlaczego właściwie myślała o „nich”, a nie o jednej osobie? Nie byłaby jednak w stanie uwierzyć, że czegoś takiego mógłby dokonać jeden człowiek. Miała tyle pytań, a wciąż ani jednej odpowiedzi.

Pozostawało jeszcze to, co ona sama robiła wśród nich? Jedyna przeżyła i jedyna była kobietą. Czy to możliwe, żeby oni chcieli jej wtedy pomóc? Nie sądziła, żeby usiłowali...

Nagle zorientowała się, że doszła do sporego stawu schowanego wśród drzew. Na jednej z gałęzi siedział kos i śpiewał cicho. Dziwnie niepasująca do reszty lasu wierzba pochylała się nad wodą, przyglądając się własnemu odbiciu w krystalicznie czystej wodzie. Mech wokół pochylonego drzewa zdawał się jaśniejszy, a mroczne sosny odsuwały się od wyraźnej linii polanki. Wszystko było tu takie... spokojne i bez troskie. Inne niż obcy i wrogi las, przez który biegła od świtu.

Pochyliła się lekko, w każdym momencie gotowa odskoczyć na bok, rzucić się na ziemię albo zrobić jakikolwiek unik. Być może to miejsce wyglądało na spokojne, ale mogło być dużo groźniejsze niż reszta lasu. Coś w wierzbie przykuło uwagę Enid. Powoli podeszła i obejrzała pień. Był srebrzysty, odrobinę połyskujący, miał w sobie coś przyciągającego.





Pogładziła chropowatą powierzchnię. Poczwała lekkie drżenie całego ciała, jakby mrowienie, ale zdecydowanie silniejsze. Odsunęła się od drzewa. W tym momencie wierzba zbliżyła się do niej. Enid widziała wyraźnie, jak pień trzeszcząc pochyla się w jej stronę tak, że witki dotknęły jej twarzy. Zszokowana opadła na kolana, próbując odpełznąć jak najdalej od przerażającego drzewa.

– Nie musisz się bać. Trigg chciał cię tylko dotknąć – usłyszała cichy, delikatny głos, dochodzący gdzieś spomiędzy konarów.

Ze strachu nie mogąc się odezwać, Enid zamknęła oczy i położyła się na mchu. To nie mogło być prawdziwe. Takie rzeczy się nie zdarzały, nie jej. Odruchowo sięgnęła szyi, napotykać jedynie spocone ciało. Była bezbronna.

– Nie bój się, chcemy ci pomóc. Teraz, kiedy nie masz tego strachacza na szyi, możemy to zrobić. Jesteśmy przyjaciółmi. Weź to – ponownie doszedł ją ten szepczący głos, tym razem towarzyszyło mu również zatrważające skrzypienie.

Poczwała, że coś skórzanego dotknęło jej głowy, właściwie ledwie musnęło czoło, ale mimo to cała zeszytniała, a jej skóra pokryła się gęsią skórką. Szelest liści, trochę jakby kroki miękkich stóp, a po chwili cisza. Enid otworzyła oczy. Widziała jedynie zieloną koronę wierzby i przebijające się przez nią fragmenty nieba.

Długo leżała tak, samotna, oddychając powoli, czekając, aż las ponownie zamilknie. Nieustający ból we wnętrzu głowy zastąpił wszelkie jej myśli. W końcu odważyła się podnieść. Na polance panowała zupełna cisza, wokół nic się nie poruszało. Z wysokiej gałęzi słyszała cichy śpiew. Przed szerokim pniem wierzby leżał stos jagód i poziomek. Rozejrzała się uważnie, po czym pochłonęła je łapczywie, napychając usta owocami i chlepcząc wodę ze stawu. Las chciał, aby nigdy nie znalazła drogi wyjścia, ale jej się uda, teraz o tym wiedziała. Czymkolwiek było to stworzenie, które dało jej jedzenie, chyba naprawdę chciało jej pomóc. Dotknęła czoła. Ból głowy nie zniknął, ale teraz coś sobie przypominała.

Wczoraj udała się do wioski po przeciwnej stronie lasu, aby wymienić ryby na sarninę. Kiedy wracała, zobaczyła wśród drzew jakieś sylwetki. Ludzie. Uzbrojeni w topory i włócznie, wyglądali obco, w wysokich hełmach i kolczugach. Słyszała, jak krzyczą coś do niej, a potem ujrzała, że biegną w jej kierunku, niektórzy naciągali łuki. Wtedy zaczęła uciekać. Nie myślała o niczym innym, wyrzuciła sarninę, chciała po prostu ujść pościgowi. Jednak doganiali ją, byli blisko, słyszała już ich śmiech za plecami. Jej zaś zabrakło sił, nie mogła dalej biec. Pamiętała, że przewróciła się o wystający korzeń, leżała bez tchu. Nie miała

wyboru, mogła tylko zdać się na ich łaskę. Otoczyli ją, wysocy, z bronią, w czerwieni, szydząc. Zamknęła oczy, błagając bogów o zmiłowanie. Nagle zapadła dziwna cisza. Enid otworzyła oczy. Na polanie, otoczone wieńcem trupów, stało drzewo. Takie samo jak to, które wyrastało teraz nad nią.

To była wierzba.

Ψ

Poszukiwania kapitańskiego dziennika prowadzone przez bosmana Harry'ego Stone'a nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. W skrzyni, w której – jak sądził William – miał się znajdować, nie było nawet śladu dziennika. Początkowo kapitan nie przejmował się tym zbytnio, jednak kiedy przez dłuższy czas nikt go nie znalazł, nabrał dziwnych podejrzeń. Jego rzeczy zostały dostarczone na pokład w dwóch dużych, hebanowych skrzyniach. Wśród nich znajdował się także dziennik i William był tego pewny, tak samo jak tego, że poprzedniego wieczoru spoglądał na jego skórzaną okładkę. Odpowiedź nasuwała się sama, lecz ciężko było przyjąć to do wiadomości. Dziennik musiał zostać ukradziony. Na dodatek ten przeklęty ból głowy nie chciał ustąpić.

Coś wyraźnie tu nie pasowało. Najpierw kompas, teraz to. Ten pierwszy rzeczywiście posiadał pewną wartość, złodziej pewnie otrzymałby za niego całkiem niezłe pieniądze. Jednak dziennik, poza osobistymi notatkami i typowymi kapitańskimi raportami, nie zawierał niczego cennego. Po co więc ktoś miałby go kraść? Wszędzie po pokładzie krążyli marynarze i wojskowi – jego ludzie, wielu Wynter znał jeszcze z poprzednich rejsów, ale co z pozostałymi? Nie mógł ufać wszystkim, lecz na pewno nie było wśród nich zwykłych złodziei. Do służby na statku zaciągali się różni ludzie, ale to był okręt bojowy, każdego dnia mogli wyruszyć w morze, a tam czekał ich tylko chaos bitwy. Na okręt bojowy zaciągają się jedynie ludzie o męznym sercu, nie zawsze lojalni, ale odważni i waleczni, tymczasem każdy wiedział, że złodzieje najczęściej są tchórzami. Zdecydowanie nie było to więc odpowiednie miejsce dla nich. Kto więc mógłby pokusić się o zabranie jego dziennika i po co w ogóle miałby to robić?

Nie tak to sobie wyobrażał. Tyle lat służył koronie i od dawna nie zdarzyło mu się zacząć misji tak źle. Nie było wiatru, załoga coraz bardziej się rozpraszała, od rana dokuczał mu ten nieznośny ból głowy, zgubił kompas, teraz okazało się, że stracił także dziennik. Kapitan starał się przywrócić swoim myślom zwyczajny tok, ale nie potrafił tego zrobić. Być może mógłby poradzić sobie bez dziennika, musiałby wziąć w za-



75

Błysk  
istnienia





mian jeden z tych kiepskich zeszytów oprawianych w tekturę. Kompas był właściwie tylko pamiątką, symbolem minionych czasów. Załogę ustawił z powrotem w szyku, tak jak zawsze to robił. A wiatr... To pozostawało tylko w rękach Boga. Coś jednak wciąż nie pasowało i wiedział, że nie odzyska spokoju, póki nie dojdzie do tego, czym jest to „coś”.

Poprawił poły munduru, po czym zawołał bosmana stojącego obok masztu i pokrzykującego na żołnierzy. Harry Stone spojrzął w jego stronę, splunął i uśmiechnął się.

– Tak jest, kapitanie?

– Każ Smootherowi przepytac ludzi, czy nie widzieli mojego dziennika. Powiedz Johnsowi i Gilesowi, żeby zrobili to samo.

– Myśli pan admirale, że ktoś mógł go zabrać? – zapytał bosman, przyglądając się swojemu dowódcy.

– Nie wiem, co teraz myślę, Stone – odparł William zaciskając zęby i masując grzbiet nosa. – Ale jestem pewien, że ten dziennik musi się znaleźć.

Odwróciwszy się od bosmana ruszył do kajuty. Kiedy był już w środku, opadł ciężko na krzesło przy stole. Przyjrzał się zgromadzonym na blacie papierom, krzywiąc się z bólu. Kilka map, jakiś list, pióro i kałamarz. Potencjalny złodziej nie zgarnąłby w tym miejscu wielu łupów. Po chwili w głowie Williama pojawiła się jeszcze jedna myśl. Początkowo w ogóle odrzucał taką możliwość, ale teraz zdawało się to coraz bardziej prawdopodobne. To nie złodziej znajdował się na pokładzie jego okrętu, lecz szpieg! Szpieg – nikt inny.

Kapitan od początku to wyczuwał, choć teraz dopiero zdał sobie z tego sprawę. Hiszpanie napuścili na nich najzwyklejszego w świecie szpicla, którego teraz William musiał znaleźć i zlikwidować. Jak najszybciej. Tego, który kręcił się po jego pokładzie, wszystko obserwował, uważnie odnotowywał i podkradał różne przedmioty, aby wyprowadzić go w pole, sprawić wrażenie, że ma do czynienia ze złodziejem. William rozmasował skronie i parsknął z irytacją. Musiał poinformować swoich komandorów i bosmanów, zrobić to szybko i na tyle skutecznie, aby szpieg nie zdążył się zorientować i zbiec. Musiał działać jak admirał, teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Przepytaj całą przeklętą załogę, przeszuka ich rzeczy, jeśli będzie trzeba. Nie było nikogo na całym pokładzie, kto śmiałby mu się przeciwstawić. To był jego okręt. To była „Awangarda”.

Ψ

Poszukiwania na klatce schodowej nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Od jednego z sąsiadów udało mu się zdobyć pół szklanki cukru,

od drugiego odrobinę kawy, ale nikt, absolutnie nikt w całej kamienicy, nie był w stanie pożyczyć mu choćby mililitra mleka. A David Blashberry nie zwykł pijać kawy bez mleka. Odstawił więc szklanę z cukrem i kawę na klejący się blat kuchenny i usiadł z powrotem na krześle. Ten parszwy ból głowy wciąż nie miał zamiaru ustąpić. David przejrzał jeszcze raz gazety z poprzedniego miesiąca, po czym wstał i podszedł do okna. Spindrift Avenue nadal nie chciała ożyć.

Nie tak to sobie wyobrażał. Jakies piętnaście lat temu, kiedy miał jeszcze możliwość wyboru, marzył o dużym domu na skraju lasu, żonie, dzieciach. Może nawet jakimś niezbyt dużym psie. Dawniej spełniała go radość życia, miał wielu przyjaciół, nie przejmował się przeciwnościami losu i jakoś udawało mu się zarabiać pieniądze. Teraz nawet nie zastanawiał się nad tym, dlaczego jego marzenia się nie spełniły. Był tym, kim był – i nie potrafił tego zmienić. Chyba.

Czasem wydawało mu się wręcz, że to o pieniądze właśnie w tym wszystkim chodziło. Ludzie pędzili w tę i z powrotem, zarabiali, tracili, ciągle musieli pracować. Zdaniem Davida nie miało to wiele sensu. Nie był pewien, co chciał robić w życiu, ale wiedział, że nie wiązało się to z ciągłym bieganiem w kółko, stresem – byciem trybikiem w czyjejsz machinie. David chciał być wolny, a teraz jego pragnienie doprowadziło go do tego, że musiał prosić sąsiadów, aby zafundowali mu kubek kawy. To zdecydowanie nie było jego wymarzone życie.

Poza tym była jeszcze ona. Z początku sądził, że zapomni, ale nic takiego się nie stało. Czuł się z nią związany jeszcze mocniej i każdego dnia musiał walczyć, aby oderwać się od myśli prowadzących donikąd. Walka zresztą zaczynała go nużyć. Bywały chwile, gdy spoglądał na Spindrift Avenue i opanowywała go niesamowita ochota, aby sprawdzić, jak jest tam, na twardym chodniku, a schody zdawały się zdecydowanie zbyt długą drogą na dół. W większości przypadków to uczucie szybko przechodziło, lecz czasem wchodził na parapet i przed długi czas spoglądał na pędzące samochody. Potem schodził i wracał do swoich zajęć. Jeśli jeszcze takowe istniały.

Teraz coś na opustoszałej ulicy przykuło jego uwagę. Po pustym chodniku szła młoda para. Oboje mieli może po dwadzieścia parę lat. Trzymali się za ręce, dziewczyna parsknęła śmiechem, chłopak się do niej uśmiechnął. Po chwil ich usta złączyły się w pocałunku.

David patrzył na to w milczeniu, zaciskając wargi w wąską kreskę. Wszystko zmówiło się przeciwko niemu. Jego palce nerwowo stuknęły w parapet. „Są młodzi, piękni, nawet jeśli nie bogaci, to zapewne szczęśliwi ze sobą nawzajem” – pomyślał z goryczą. Nie tak jak on. Ale



właściwie, co z tego? Którego dnia i tak umrą. Poza tym rzeczywistość zawsze okazywała się bardziej ponura niż mogło się wydawać. Dziewczyna była pewnie zaborcza, a facet pił. To wszystko i tak nie miało większego znaczenia. W końcu ich związek, małżeństwo, czy kim tam dla siebie są, rozpadnie się albo zamieni w rutynę i oboje będą nieszczęśliwi. Dokładnie tak jak on. A może wcale nie? Może liczyło się tylko tu i teraz, i to, że szli razem, całowali się, dobrze czuli się ze sobą nawzajem. Wolni...

On nigdy nie był naprawdę wolny. Zawsze zależny od czegoś, kogoś. Genów, pieniędzy, miłości, własnych lęków, od niej, a teraz – od rozpaczy, że ona go opuściła... Zniewolony produkt współczesnej cywilizacji, nigdy nikomu niepotrzebny, niekochany nieudacznik. W życiu zawsze mu nie wychodziło – nie tacy rodzice, koledzy, szkoła, praca. Miał po prostu pecha, ale inni też nie byli wielkimi szczęściarzami i jakoś sobie z tym wszystkim radzili. Dlaczego tylko on nie znał sposobu?

Otworzył okno. Spojrzał w dół, na chodnik, para chichocząc zniknęła za rogiem. Przełknął ślinę. Niezgrabnie wspiął się na parapet, lekki wiatr załopotał połamami szlafroka. David zadygotał. To byłoby takie łatwe. Po prostu skoczyć, lecieć przez kilka długich sekund, a potem spotkać się z ziemią, skończyć z tym jednym wielkim niepowodzeniem. Mieszkał na czwartym piętrze, wiedział, że jeśli nie spadłby na nogi, zginąłby na miejscu. Postąpił krok do przodu. Parapet nagle wydał mu się strasznie stromy. I taki krótki. Jeszcze jeden krok. To wszystko i tak nie miało znaczenia...

Nagle ciszę przerwało donośne brzęczenie. Cały świat chciał mu dokopać, nie pozwalając nawet popełnić samobójstwa! David obejrzał się przez ramię. Znał ten dźwięk, ale tak dawno go nie słyszał. Nie mógł teraz iść odebrać, był już tak blisko! Dźwięk stał się jeszcze bardziej natrętny. David powoli wycofał się z parapetu i zeskoczył na podłogę. Podszedł do stołu, odgarnął stare gazety, telefon był gdzieś pod nimi. Od tygodni nikt nie dzwonił, pewnie jakieś reklamy albo zaproszą go na kolejną nudną imprezę. Właściwie i tak nie miał nic do roboty, a teraz kiedy już się cofnął, nie zdoła wejść tam ponownie, więc... To nie były reklamy, ani nikt, kto chciałby zaprosić go na imprezę.

To była ona.

Ψ

„To była wierzba” - powtórzyła w myślach, stawiając kolejny krok naprzód. Nie chciała o tym myśleć, ale jej umysł ciągle zawracał w tamtą stronę. Wiedziała, że wybrzeże jest już niedaleko. Słyszała odległy



krzyk mew i czasem – choć może tylko jej się zdawało – także cichy szum fal. Ciągle więc szła, naprzód i naprzód, ciągnąc własne ciało niczym ciężki worek. Staw i wierzbę zostawiła daleko za sobą, z całych sił starając się powstrzymać od wspomnień. Wciąż na próżno. Żałowała, że przypomniła sobie to wszystko, wcale nie chciała tego wiedzieć. To drzewo... Nie, nie mogła się nad tym zastanawiać, myślenie o tym stanowiło drogę do szaleństwa. Chciała pamiętać jedynie, że to coś, co zeszło z wierzby, było dobre i chciało jej pomóc. Pomogło jej. Być może stos jagód nie był tym, o czym marzyła w tamtym momencie, ale dał jej siły, aby ruszyć w dalszą drogę. Czy gdyby nie zgubiła amuletu, nie mogłaby otrzymać pomocy od tego czegoś? Nigdy nie słyszała, aby ktokolwiek opowiadał o spotkaniach z czymś takim w lesie. Ludzie mówili o złych duchach, które kradły jedzenie, płoszyły zwierzynę, zacierały ślady za leśnymi wędrowcami, czy zaciągały ludzi w głąb puszczy. Jednak istoty, które by pomagały? Nie, o takich jeszcze nie słyszała.

Zatrzymała się, dotykając miejsca, gdzie powinien być amulet. Była bezbronna, ale także wolna. Chyba zaczynała to rozumieć. „Jesteśmy przyjaciółmi”.

Być może wydawało jej się tylko, że słyszy mewy i fale, chyba prawdę zaczynała wariować. Ile już czasu spędziła w tym lesie? Dzień, czy miesiąc? Kiedy wyruszyła z tamtej polany? Mimo pożywienia, które otrzymała, znowu zaczynała słabnąć. Enid powoli traciła nadzieję. Mur drzew, który ją otaczał, wydawał się niezmienny, nieustępliwy. Nie wiedziała już, co ma robić. Iść w przód, czy może zawrócić? Czekać na ponowną pomoc? Czy raczej na ostateczne wybawienie od wszelkich cierpień? Puszcza potrafiła pomagać, ale także... przeszkadzać. Przekonali się o tym tamci wojownicy. Skąd tak właściwie się wzięli? Teraz mogła być pewna, że nie pochodzili z innej wioski – wrodzy wojownicy w jej krainie. Na samą myśl przechodziły ją ciarki.

Świerki, sosny i buki, które wyrastały wokół niczym złowrogie ostrza, zdawały się zbliżać w jej stronę, zacieśniać krąg, chcąc zdusić ją, zdeptać. Prawie na kolanach, z głową ciężką od bólu, Enid postąpiła kolejny krok. Czuła, jak słone krople spływają po jej policzkach. Ponure konary zasłaniały niebo nad nią i zagradzały drogę powrotną. Mogła iść tylko naprzód. Do serca lasu albo do wybrzeża. W stronę zagłady lub wybawienia. Gdyby tylko wiedziała, że zmierza w dobrą stronę. Na zachód...

Przypominała sobie twarz matki, zawsze radosną i zdecydowaną. Jej ojciec, pogodny, poczciwy i pracowity, z tym swoim uśmiechem pełnym zrozumienia... Jej bracia i siostry, weseli, biegający po wybrzeżu.





Mała Ryen, prosząca o pomoc przy zaplataniu warkoczy, za każdym razem tak samo sobie nie radziła. Cailin, beztroska, błagająca ją wręcz, aby poszła z nią do lasu oglądać sarny. Lynna, Reoilwyn, Leiwyn, Ittar... Pamiętała ich wszystkich, czuła, jak cała skręca się w środku na samą myśl o stracie kogokolwiek. Nie, nie mogła płakać, nie mogła sobie na to pozwolić, nie teraz! A jeśli ich więcej nie zobaczy? Zadrzała na tę myśl. Wtedy gdzieś tam, przed sobą dostrzegła promienie opadającego słońca. Zachód! Niespodziewanie dla samej siebie zerwała się i popędziła przez gąszcz. Przeskakując połamane gałęzie, głązy i strumyki biegła aż do utraty tchu. Słońce było coraz jaśniejsze, coraz bliżej. Las zaczynał rzednąć. Mimo przygniatającego bólu głowy, roześmiała się.

Zatrzymała się nad stromym stokiem, w miejscu, w którym gęsto zalesione wzgórze opadało w stronę wybrzeża. Pod nią, daleko w dole rozciągały się szerokie równiny, skalisty brzeg, dalej szeroka plaża i morze. A na ciemnej, morskiej toni unosiły się setki okrętów. Długie, szerokie łodzie o czerwonych i bordowych żaglach kołysały się wzdłuż całej linii brzegowej. Potężne, nieustępliwe, prawie takie jak las, który ją otaczał. A trochę dalej na południe garść domów przy skałach, niczym przypadkowo rzucone orzechy. Dym z kominów i powoli rozpalające się światła pochodni, odległy płacz dziecka. Była w domu. Cokolwiek tam na nią czekało. „W domu” – powtórzyła w myślach i zbiegła w dół zbocza.

A ból głowy ustał.

Ψ

„To mój okręt” – powtórzył w myślach spoglądając na swoich ludzi. Cała załoga „Awangardy” ustawiła się przed nim, wzdłuż relingu. Stali tak, niektórzy wyprostowani, inni ze spuszczonej głowami, jedni dumni, drudzy zawstydzeni, ale wszyscy z tym samym brakiem zrozumienia na twarzach. William Wynter wiedział jednak, że się nie mylił. Mogli wyglądać jak niewinne baranki, ale wśród nich krył się szpieg. Był tego pewien jak wschodu słońca. Patrzył więc na swoją załogę, gromiąc ich wzrokiem i zastanawiając się, który z nich może być szpiegiem. Preraźliwy ból głowy nie pozwalał skupić myśli. To pewnie z przemęczenia. Skoro jednak kapitan zebrał tu ich wszystkich, zamierzał przeprowadzić przesłuchanie.

– Ty, Jones! Co robiłeś wczoraj rano, kiedy wzywał cię komandor Happleberrry? Z tego co pamiętam, poszedłeś sobie na spacer do miasta. Czego tam szukałeś? – Bosman Harry Stone na wieść o przesłuchaniu zareagował z niemałym entuzjazmem.

– Ja... Byłem, ten tego, no... – Henry Jones wyglądał na speszzonego.  
– Byłem u dziewczynek, sir.

– Do dziewczynek się chodzi, co? – Stone uśmiechnął się ze zrozumieniem i splunął za burtę.

– Korzystaliście z usług nierządnic wbrew rozkazom, Jones?! – ryknął brodaty bosman Gardener opluwając śliną Henrego Jonesa. Kole-dzy przesłuchiwanego zarechotali.

„Nie tak to powinno wyglądać – pomyślał William – zdecydowanie nie tak. Wszyscy powinni być poważni, bosmani zdecydowanie mniej rubaszni, a komandorzy bardziej zdecydowani.” Była to nie tyle kwestia dyscypliny, co charakteru. Jego załoga okazała się nie taka, jaka być powinna i mimo wzmożonej musztry oraz prób „poprawiania charakteru”, wciąż byli tak samo... nieprawidłowi. William powoli tracił nadzieję.

– A więc co takiego robiłeś w towarzystwie ladacznic, Jones?! Może opowiesz nam wszystkim?! – ponownie wydarł się brodaty bosman.

– Na pewno chce pan to usłyszeć, panie Gardner? – Harry Stone spojrzął się na brodacza z lekkim rozbawieniem.

– Oczywiście, że chcę, Stone! A ty może nie?! Nierządnicę słyną ze swoich kolaboranckich zapędów. Wszyscy o tym wiedzą. Tylko czy ty też o tym słyszałeś, Jones?!

Kiedy bosmani przesłuchiwali załogę, komandorzy w milczeniu im się przyglądali. Z tego przynajmniej William był zadowolony. Mimo całej swojej ospałości komandorzy – Greenward i Delanoy – potraktowali go poważnie, pokiwali mądrze głowami, powiedzieli „rozumie-my kapitanie” i od razu byli gotowi wykonać rozkazy.

– Kapitanie, jeśli można, to chciałbym coś powiedzieć... – odezwał się marynarz zwany (nie wiedząc czemu) Lwim Rogiem.

– Nie można! – ryknął bosman Gardner.

Admirał zmierzył Lwiego Roga chłodnym spojrzeniem, po czym uniósł w górę prawą dłoń.

– Niech mówi, Gardner – powiedział.

Bosman, cały spocony i zły, odstąpił krok do tyłu, łypiąc złowrogo na marynarzy.

– Dziękuję, kapitanie – Lwi Róg pochylił się lekko w stronę admira-ła. – A więc chodzi o to, kapitanie, że to nie ma sensu. Henry był wczoraj u dziewczynek, jak już wszyscy wiemy. Lovepinenut też u nich był, kapitanie. Tak samo jak Delaney i ja – unosząc lekko brwi spojrzął na spoconego Gardnera. – Pytanie brzmi, czy chcemy słuchać od nich wszystkich, co takiego tam robili? Bo wie pan, kapitanie – uśmiechnął





się do swoich kompanów – nie wątpię, że to mogą być dosyć interesujące historie.

Pozostali żołnierze i marynarze zaśmiali się.

– Tylko czy chcemy usłyszeć całą n a g ą prawdę?

Teraz cała załoga wybuchła śmiechem. Nawet komandor Happleberry lekko się uśmiechnął. Gardner zaczął drzeć się na Lwiego Roga, aby się zamknął, i wtedy pojawił się sierżant Giles. Stał spokojnie obok kapitana. William zauważył, że trzyma coś w ręku. Wynter ponownie uniósł dłoni.

– Co właściwie chciałeś nam powiedzieć? – zwrócił się do Lwiego Roga.

Marynarz uśmiechnął się.

– Chciałem powiedzieć tylko, że wśród nas nie ma szpiega kapitanie. Jak na rozkaz, Giles wystąpił naprzód.

– Znalazłem to w rzeczach Scotta, kapitanie – sierżant podał Williamowi błyszczący przedmiot. Admirał wziął go do ręki i westchnął ciężko. Trzymał w dłoni swój złoty kompas.

– Po co ci to było, szeregowy? – zapytał ostro, kierując wzrok w stronę Scotta Hollingsa.

– Nie wiem, skąd to się wzięło, kapitanie – odparł pobladły żołnierz.

– A więc szpiegostwo, Hollings?! – ryknął Gardner.

William Wynter miał już wydać odpowiednie rozkazy, kiedy nagle poczuł coś dziwnego. Coś, czego nie czuł od tak dawna. Orzeźwiający powiew. Wiatr. Z początku lekki, po chwili silniejszy. Z północy. Chorańgiewka na szczycie masztu załopotowała gwałtownie. Spojrzał po zgromadzonych. Wszyscy to poczuli. Powoli ich twarze rozjaśniały lekkie uśmiechy. Nawet Scott Hollings się rozpromienił. Bóg ich wsparł. W końcu nastąpił przełom. William krzyknął na swoją załogę, aby rozwinęli żagiel, do cholery. Zagonił ich do lin i naciągów. Ogarnęła go radość. W jednym momencie widział wokół samych szpiegów, a teraz... Teraz byli po prostu jego załogą. Obok pojawił się komandor Greenward.

– Jesteśmy gotowi, kapitanie. Jakie są rozkazy? Co z Hollingsem?

William Wynter, mimo przygniatającego łupania w głowie, roześmiał się. Do diabła z Hollingsem. Nie miało to teraz znaczenia. Po prostu musieli wypłynąć. Wypłynąć z portu. Cokolwiek czekało na nich dalej.

– Odpływamy – powiedział.

A ból głowy ustał.

Na wyświetlaczu pojawił się komunikat: „1 nieodebrane połączenie”.

To była ona. Po tak długim czasie w końcu zadzwoniła. Kiedy uznał, że to już nigdy się nie zdarzy, zadzwoniła. Mimo bólu, który rozsadał mu czaszkę, uśmiechnął się. Pamiętała o nim, wciąż go kochała i chciała do niego wrócić. Teraz, kiedy przeszedł przez piekło. Zadzwoniła i czegoś od niego chciała. Nie, to nie było coś, na pewno pragnęła powiedzieć mu, że go kocha i od kiedy się rozstali, nie myśli o niczym innym, tylko o tym, aby móc znów go zobaczyć. Zadzwoni jeszcze raz i poprosi o wybaczenie, poprosi go, aby zapomniiał o tym, że go zostawiła. A on jej wybaczy, o tak, po stokroć jej wybaczy. Potem ona do niego przyjedzie albo on do niej... Nieważne. Kiedy znowu się zobaczy, po tak długim czasie, rzucą się sobie w ramiona i będą całować się tak długo, och, tak długo, a potem...

Nie. Ona tylko do niego zadzwoniła, nie zrobiła nic więcej poza dzwonieniem. Skąd mógł wiedzieć, czego od niego chciała? Minęło zbyt wiele czasu, aby jej uczucie mogło pozostać żywe. Ona zawsze żyła chwilą, jeśli coś było poza jej zasięgiem, zapominała o tym, chowała do szuflady i nigdy więcej na to nie patrzyła. Chyba, że było jej potrzebne. Dlatego do niego zadzwoniła? Potrzebowała go do czegoś? Nie mógł tak myśleć, musiał zachować nadzieję, choć powoli, lecz nieuchronnie ją tracił. To prawda, że znał kilku ludzi, a z jej temperamentem i rodzajem kłopotów, w które się pakowała, wciąż mógł być przydatny.

Jego rozmyślania przerwała kolejna wibracja telefonu. Wstrzymując oddech spojrzął na wyświetlacz: „Odebrano 1 wiadomość”.

Oddychając ciężko, z sercem łomoczącym w piersi odczytał: „Hej, spotkajmy się w Jolly's Café. Musimy pogadać”. Cała ona. Zawsze bezpośrednia, zawsze uderza szybko i od razu przechodzi do rzeczy, z tym swoim ironicznym uśmiechem. Zadrżał na tę myśl. Minęło tyle czasu. O czym „musiała pogadać”? Co było tak ważne, że chciała się z nim spotkać? Choć, kiedy się zastanowił, uznał, że nie musiała mieć żadnego ważnego powodu. Czasem robiła rzeczy tak po prostu, ponieważ taką miała zachciankę. Akurat w tym momencie poczuła potrzebę spotkania z nim i omówienia jakiejś sprawy, więc napisała do niego. To było proste. Choć bardziej dla niej niż dla niego. Co miał zrobić?

Rozejrzał się po zapuszczonym wnętrzu swojego niewielkiego mieszkania. Nie sprzątał tu od dobrych kilku miesięcy, więc pomieszczenie sprawiało wrażenie, jakby ktoś hodował tu jakiś nowy rodzaj organizmów. David ukrył twarz w dłoniach i zapłakał. Nic nie wygła-



dało tak, jak powinno, dręczył go ten przeklęty ból głowy, przed chwilą znowu chciał popełnić samobójstwo, a teraz ona do niego napisała. Powinien żyć inaczej. Chciał krzyczeć, wrzeszczeć, powiedzieć jej, że to ona to spowodowała, że to była jej wina, że oboje mogliby być szczęśliwi, gdyby ona go nie zostawiła. Kochał ją, o Jezu, jak on ją kochał! Teraz mocniej niż kiedykolwiek. Pragnął jedynie być przy niej, całować ją, kochać. Nie rozumiał, dlaczego ona nie chciała tego samego, żyli razem przez tyle lat, wierzył, że to nigdy się nie zmieni, a ona go zostawiła. Powiedziała, że potrzebuje czasu, że musi coś zmienić w swoim życiu, że ich relacja nie wygląda już tak, jak kiedyś, choć Davidowi właśnie wtedy wydawali się najszczęśliwsi ludźmi na całej ziemi. I tak po prostu go zostawiła. Nie powinna była tego robić.

Otarł lzy i, mimo przygniatającego łupania w środku głowy, roześmiał się. Nie wiedział czemu, ale to wszystko okazało się nagle bardzo zabawne, tak cholernie zabawne. Śmiał się głośno i długo, aż w końcu zabrakło mu sił. Na kolanach podszedł do okna, podpierając się o parapet podciągnął się do góry i wyrzwał na zewnątrz. Spindrift Avenue powoli zapełniały pierwsze samochody. Zobaczył kilkoro nastolatków i jakiegoś starszego mężczyznę z psem. Nie wiedząc dlaczego – David zaczął płakać, jednocześnie śmiejąc się jak małe dziecko. Ściągnął z siebie szlafrok, zwinął w kłęb i wyrzucił na ożywającą Spindrift Avenue. Szlafrok poszybował nad spokojną ulicą niczym dziwny, kolorowy ptak. Unoszony przez poranny wiatr, powoli opadał na chodnik.

David stał tak przez chwilę z oczami piekącymi od łez i tym okropnym bólem głowy, który nie pozwalał mu normalnie myśleć. Wszystko wydawało mu się śmieszne, jak dowcip, który odczytał na własny sposób i teraz śmiał się najgłośniej ze wszystkich. Popędził do sypialni. Rzucił się do szafy, ze stert rzeczy wygrzebał swoje najlepsze ubrania. Odrzucając na bok brudną piżamę, wciągnął na nogi nieznoszone jeszcze dzinsy, ubrał ulubiony t-shirt, po czym wybiegł na korytarz.

Nie zwracając uwagi na nieustanny ból, śpiesząc się, jakby od tego zależało jego życie, włożył buty. Szybko wstał i omiół wzrokiem pomieszczenie. Nie rozumiejąc już nic, wyszedł na klatkę schodową.

Zbiegł po schodach starej kamienicy. Przez niewielkie okno w drzwiach widział pędzące przez Spindrift Avenue samochody. Nie miało znaczenia, czego ona od niego chciała. Po prostu musiał wyjść. Wyjść na zewnątrz. Nacisnął klamkę.

A ból głowy ustał.



# Ideal

Miła Popowska

**Z**aczyna się zmierzchać, kiedy mijam bramę Parku Oliwskiego. Przechodzi obok mnie spacerująca para, mężczyzna kłania się uprzejmie i uchyla czarny cylinder.

– Guten Abend – słyszę lekko zachrypnięty głos. Odpowiadam tak samo i mijamy się. Ruszam dalej w zielen lipową alejką, czując, jak po moich plecach powoli pnie się światło księżyca. Śpiew ptaków został zastąpiony przez zawodzące miauczenie bezpańskich kotów, żar dnia powoli ostyga. Dostrzegam w oddali na ławeczce przygarbioną postać. Podchodzę bliżej i widzę ubranego w szary frak staruszka z siwą brodą i zmarszczkami jak pajęczyna rozchodzącymi się po twarzy. Szyję ma wciśniętą w ramiona, kościste dłonie wspiera na główce szykowej laski i patrzy przed siebie. Dosiadam się, ale nie reaguje. Wtedy podążam wzrokiem za jego spojrzeniem i widzę Ją. Stoi nieruchomo, kilka metrów od nas, jakby nieobecna.

– Kto to? – pytam, czyniąc wielkie wysiłki, aby mój głos nie zabrzmiał nachalnie. Oplaca się. Wysuszona twarz starca odwraca się w moją stronę i uśmiecha życzliwie.

– Ona? – Dłonie zaskakująco sprawnie unoszą laskę, żeby wytknąć jej czubkiem stojącą nieopodal kobietę.

Ma na sobie długą do ziemi, fioletową suknię, mocno ściśniętą w talii, szerokie, bufiaste rękawy ozdobione falbankami i wdzięczną kapotkę przyozdobioną białymi kwiatami. Twarz nieznamomej jest owalna, skóra porcelanowa, lekko zaróżowiona na policzkach. Brązowe włosy nikną pod kapeluszem. Stoi dumnie i nie rusza się.

– To Ideal – mówi staruszek.





Siedzę chwilę w ciszy, nie wiedząc, co myśleć. Zaraz jednak przychodzi mi do głowy, że chciałabym o tym napisać artykuł. To skrzywienie zawodowe. Czekamy tak przez pewien czas milcząc. Zdążyło się już ściemnić, drzewa rosnące wzdłuż alejki znikają mi z oczu, wszystko zaczyna wydawać się posrebrzane w blasku księżyca. Ideał stoi nadal, także posrebrzony. Czymkolwiek jest, ma w sobie coś niezwykłego, sprawia, że chcę wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Stoi jednak za daleko. W końcu przerywam ciszę.

– Czy mogę ją wziąć? – spoglądam pytająco na staruszkę. Ten patrzy na mnie zdezorientowany.

– Jak to wziąć? – pyta niespokojnie, robi się czujny, zaciska kościste palce na lasce.

– Tak tylko na trochę – zapewniam od razu. – To jak, mogłabym?

Cisza. Z nerwów zaczynam odgarniać z czoła kosmyki jasnych jak siano włosów. W oddali słychać pohukiwanie sowy, srebro wylewane przez księżyc cicho szumi w liściach drzew.

Mężczyzna kiwa głową.

– Dziękuję – uśmiecham się z wdzięcznością. Zrobiło się chłodno i zaczynam marznąć. Wstaję szybko z miejsca, po czym podchodzę do Ideału.

– Możemy iść?

Skinęła głowę lekko, jak prawdziwa dama i, kiedy ruszam alejką, sunie obok mnie, stąpając cicho w niewidocznych spod sukni trzewiczkach. W ciemnościach jej skóra wydaje się całkowicie biała. Ideał uśmiecha się nostalgicznie. Nagle dobiega mnie z tyłu wołanie, odwracam się zaskoczona. Staruszek stoi, wsparty na lasce i krzyczy coś wymachując dłonią.

– Dziecko! Powiedz mi jeszcze, jak ty masz na imię! – Z trudem rozróżniam jego słowa. Dawno już przestałam być dzieckiem, ale człowiek w jego wieku ma prawo nazywać tak każdego.

– Natasza! – odkrzykuję i macham mu na pożegnanie. Ideał wzdryga się lekko, wrzasnęłam tuż obok jej ucha.

Ruszamy dalej. Niebo jest pochmurne – boję się, że zacznie padać, dlatego łapię krążącą samotnie po bruku dorożkę. Woźnica jest zaspany, jednak rozbudza się, gdy tylko dostrzeżę Ideał. Jadę uliczką, wsłuchana w stukot kopyt gniadego konia i wdycham głęboko chłodne powietrze wraz z zapachem zbliżającego się deszczu.

Od tej pory jest ze mną cały czas, włączę się z nią po ulicach niemieckiego Gdańska lub piję herbatę u sąsiadki z naprzeciwnika. Szybko przekonuję się, że to, co mówił staruszek, to nie jest żart. Kobieta rze-

czywiście jest ideałem. Zawsze ma ten sam, nienaganny uśmiech i postawę baletnicy, zmieniają się w niej jedynie szczegóły: kiedy wstępujemy do sklepu pani Bener, suknia Ideału zmienia kolor na różowy i zwiększa się ilość falbanek. Natomiast przy niewielkim ogródku państwa Motockich kapelusz znika Jej z głowy, ukazując idealnie upięte włosy, rękawy zwężają się, a materiał staje się bardziej lejący. Lubię patrzeć na te drobne zmiany, Ideał staje się wtedy czymś odrobinę bardziej osobistym, widać, że należy do naszego świata i naszego czasu, że jest idealna tu i teraz, i dla nas. Zaczynam sporządzać notatki, po latach pracy w zawodzie dziennikarza w ten sposób łatwiej mi się myśli. Zbieram fakty, obserwuję i zapisuję wszystko starannie w grubych, ciężkich notesach. Ona przeważnie stoi i patrzy gdzieś daleko, jakby czekała na coś ważnego. Sprawia wrażenie dalekiej, nieosiągalnej, trudno mi uwierzyć, że jesteśmy razem, w jednym pokoju. Zresztą kto wie, może wcale nie jesteśmy. Nie mam pojęcia, jakimi zasadami rządzą się ideały.

Mijają lata. Z wolna, nieśmiało na ulicę wypełzają pierwsze samochody, płużąc stare już, skrzypiące dorożki i nadchodzi coś zupełnie innego. II wojna światowa wdziera się w serca mieszkańców. Całe miasto tonie w jej konsekwencjach, niespokojne i niepewnie przyszłości. Ludzie wpadają na siebie nawzajem, młóć rękoma i nogami na ośle, starają się choć na chwilę wypłynąć na powierzchnię i zaczerpnąć troszeczkę nadziei. Inni błędzą po dnie, przy krawężnikach lub chwytają się ruin po kamienicach albo zniechęceni pozwalają się nieść z prądem wsłuchani w ciche, powtarzające się w kółko szept o tym, kto i kiedy umarł. Na pytanie „dlaczego?” nie ma odpowiedzi. Wojna zalała wszystko, moje mieszkanie także, dlatego pływam razem z innymi, a ze mną Ideał.

Czasem przystaję i patrzę, jak się zmienia. Włosy Jej jaśnieją, robią się krótsze i nie ukrywa ich już pod kapeluszem. Suknię zastępuje sukienka, lżejsza i skrócona. Ideał gubi także swoją kruchość porcelanowej laleczki, zamiast tego zaciska usta i pięść, a w jej oczach widać wolę walki. Dużo ludzi zatrzymuje się przy nas, Ideał jest pewnego rodzaju odskocznią, pomaga im wytrzymać pod wodą jeszcze trochę dłużej. Mnie zastanawia, jak Ona się czuje, kiedy nasze pragnienia Ją zmieniają. Wydaje mi się przez to bezbronna bardziej niż dziecko, zupełnie uzależniona do nas i od rzeczywistości. Robi mi się na chwilę smutno, ale zaraz napotykam wzrok tych wypełnionych determinacją oczu, osadzonych w twarzy bez skazy i smutek mija. To przecież Ideał.





W końcu fale wojny opadają, możemy już normalnie chodzić, ale na ulicach miasta leżą teraz komunistyczne ścieki. Wszyscy jednak zaciskamy zęby i brniemy przez nie w swoje codzienne życie. Ja czasami podglądam na Ideał, jak siedzi nieruchomo na kanapie i ciągle wraca do mnie obraz tamtego staruszka. Ciekawa jestem, czy by Ją teraz poznał. Nie roztrząsam jednak tego tematu, skupiam się na teraźniejszości i próbuję napisać coś do gazety. Idzie mi opornie, nie mam dużego wyboru co do tematu. Są rzeczy, o których trzeba pisać i takie, o których nie można. Siedzę przy biurku i patrzę na maszynę do pisania z czystą nadal kartką. Słowa zupełnie nie kleją mi się do palców, szybko rezygnuję. Postanawiam przeczekać kilka lat przy tym biurku, patrząc przez okno na Gdańsk. Czuję spokój, kiedy mogę tak siedzieć niepytana o nic i przyglądać się liściom drzew, które żółkną i opadają po to, żeby zaraz wyrosły nowe. Tak w kółko. Czasem czuję Jej wzrok na plecach, a z nim lekkie ciarki. Kim jest? Czym jest? Nie chcę zadawać tego pytania, podoba mi się, kiedy tak trwa u mojego boku, tajemnicza i niewytłumaczalna. Boję się to zniszczyć. Po pewnym czasie telewizja przestaje być czarno-biała i Ideał też robi się bardziej kolorowy. Włosy ma już całkiem jasne, kręcą się naokoło głowy. Usta maluje na czerwono, niebieskie oczy poprawia czarnymi obwódkami, a sukienka z wyciętym dekoltem sięga Jej do kolan. Podoba mi się nadal, choć straciła coś ważnego. Jest teraz nam bliższa, ale i mniej niezwykła, jakby Jej stopy dotknęły ziemi po długich latach szybowania. Tego jednak chcą od Niej ludzie, potrzebują czegoś dla siebie, wsparcia i zrozumienia. Ideał spełnia więc ich oczekiwania, dużo tańczy i jest o wiele bardziej niezależna niż kiedyś. Zaczynamy w ciepłe dni przechadzać się ulicami. Każdy lubi przystawać, żeby na Nią popatrzeć. Ja też lubię. Marnuję kilka kolejnych lat na takie przystawanie i patrzanie: dla mnie i dla Niej nie dzieje się dużo. Za to świat szaleje, a Polska razem z nim. W końcu nastaje dobra pogoda, ścieki spływają do kraterów i słońce osusza ulice.

Kiedy pierwsze promienie tego słońca zaglądają do mojego domu, wszystko wygląda trochę inaczej. Zeszyty z notatkami o Niej leżą upchnięte pod łóżkiem w mojej sypialni. W niewielkim salonie naprzeciw starej kanapy stoi nowszy telewizor. Po drugiej stronie, w kącie chowa się biurko, dalej, pod ścianą majestatycznie wypoczywa fotel w towarzystwie jakiejś na wpół uschniętej roślinki. Właśnie zabieram ze stołu dyktafon i wrzucam go do torby. Jestem już spóźniona do pracy, dlatego w pośpiechu zakładam spodnie, białą koszulę i buty na niskim obcasie. Upinam jasne włosy w mój ulubiony kok, zatrzymując się na

chwilę przed lustrem. Przy oczach dostrzegam pierwsze, maleńkie zmarszczki. Wzdycham tylko, chwytam torebkę i wychodzę na dwór. Idę szybkim krokiem, obcasy stukają o chodnik. Po chwili orientuję się, że rytmiczne echo jest czymś zakłócone, odwracam się i widzę Ideał. Jestem zaskoczona, ponieważ wcześniej nie nosiła obcasów. Porusza się jednak na nich wdzięcznie, bez problemu. Zauważam także, że się przebrała. Jej sukienka jest teraz bardziej dopasowana i zdobi ją kwiecisty wzór. Ruszamy dalej razem, ja i mój cichy cień. Na ulice wypływają samochody w większych ilościach, budynki rosną, a ludzie robią się bardziej kolorowi. Miasto zaczyna na nowo żyć, wydając coraz głośniejsze dźwięki. Z lekką nostalgią wspominam czasy, kiedy słychać było wszędzie jedynie parskanie koni, to już jednak nie wróci. Nie mieszkam daleko od pracy. Jeszcze kilka przecznic i dochodzimy wreszcie do właściwej ulicy. Ruszam w górę, po klatce schodowej szarej, pięciopiętrowej kamienicy i po chwili wchodzę do biura mojej redakcji. Jestem trochę spóźniona, wszędzie słychać już szelest papierów i siorbanie kawy z kubków. Ideał podąża za mną, kiedy zajmuję miejsce przy moim biurku.

Ψ

– Nataszo, masz chwilę? – Podnoszę głowę i widzę stojącego nade mną redaktora naczelnego. Ma okazały brzuszek, krótki, ciemny zarost i niski, przyjazny głos. Pachnie dziwną mieszanką dymu z cygara i wody kolońskiej. Odkładam długopis i kiwam głową.

– Jasne, o co chodzi?

Chwilę milczy, jakby zastanawiając się nad słusznością jakiejś decyzji. Zauważam, że wzrok zawiesił na czymś za moimi plecami. Odwracam się i widzę Ideał. Siedzi na parapecie. No tak, najwyraźniej naczelny zauważył Ją już dawno. Takie sytuacje są bardzo niezręczne. Zdaje się zbyt mało ludzka, żeby ją normalnie przedstawić, ale jest jednocześnie tak namacalna, że nie można Jej zignorować. Reaktor mierzy Ją wzrokiem i marszczy czoło, Ideał patrzy w inną stronę. Staram się znaleźć w głowie jakieś właściwe słowa na taką sytuację, zostaję jednak uprzedzona. Redaktor naczelny „Dziennika Bałtyckiego” nachyla się nad moim biurkiem.

– Chcę, żebyś napisała o Niej artykuł – mówi ścisząc nieco głos i zerka nerwowo na Ideał. Ona jednak zdaje się nic nie słyszeć, wygląda przez okno. Jestem zaskoczona, spodziewałam się pytań i prośb o wyjaśnienia. Tymczasem redaktor wydaje się orientować w sprawie.

– O Ideale? Na pewno? – Przywykłam już do Jej stałej obecności, lubię Ją obserwować, ale traktowanie Jej jako tematu do arty-





kułu wydaje mi się jakieś nieodpowiednie. Redaktor kiwa jednak głową z przekonaniem. Jest dziwnie spięty, widzę jednak, że nie odpuści. Wygląda tak, jakby długo nosił w sobie chęć poproszenia mnie o to.

– Dam ci tyle czasu, ile potrzebujesz – dodaje natychmiast, żeby mnie przekonać. Nie musi tego robić. Mój dziennikarski nos już zwierzył dobry trop i zaczynam czuć się naprawdę podekscytowana tym pomysłem. Chcę zacząć jak najszybciej.

– Zgoda – mówię z uśmiechem i patrzę, jak odchodzi z ulgą. Później spoglądam na Ideą i kiwam na Nią, żeby podeszła. Podchodzi bez oporu. Uśmiechnięta i piękna, jak zawsze.

– Mogę napisać o tobie artykuł? – pytam wprost. Nie odpowiada, ale nie zbija mnie to z tropu. W końcu nigdy się nie odzywa, nie spodziewałam się niczego innego. Chciałam jednak zrobić to profesjonalnie, dla własnego spokoju. Zostawiam ją w spokoju i sięgam po kubek. Jest pusty. Wstaję i idę do kuchni. Spotykam tam Mariusza, który odpowiada za dział ekonomiczny. Zaczynam robić kawę, jednocześnie spoglądając na niego.

– Jak wygląda ideał? – rzucam znienacka. Nie marnuję czasu, pomysł naprawdę przypadł mi do gustu, więc każda okazja na zdobycie informacji jest dobra. Mężczyzna chwilę się zastanawia.

– Myślę, że telewizja pokazuje nam ideały – stwierdza w końcu. Jego herbata jest gotowa, dlatego kiwa mi głową i wraca do pracy.

Wzdycham. Nie do końca wiem, jak rozumieć jego słowa. Podsuwają mi jednak pewien pomysł. Wracam do biurka szybkim krokiem i przyciągam do siebie telefon. Chwilę wertuję książkę telefoniczną, zerkam jednocześnie na parapet. Ideał znów na nim siedzi. W końcu wybieram numer.

– Halo, tu centrala – w słuchawce odzywa się dystyngowany, kobiecy głos.

– Dzień dobry. Proszę mnie połączyć z dyrektorem telewizji.  
Milczenie.

– Z dyrektorem jakiej telewizji? – W głosie słychać wahanie.

– Ogólnej. Z dyrektorem telewizji na całym świecie.

Chwila ciszy. Z słuchawki dobiegają przyciszone dźwięki.

– Już łączę – mówi w końcu głos.

Znów chwila ciszy. Później buczenie w słuchawce. Czekam.

– Halo? – Tym razem mówi męski, lekko zachrypnięty głos.

– Halo? Czy rozmawiam z dyrektorem telewizji?

– Tak. Kto mówi?

– Natasza Torecka, „Dziennik Bałtycki” – mówię szybko. Z tego wszystkiego zapomniałam się przedstawić! – A z dyrektorem jakiej telewizji rozmawiam?

– Ogólnej. Na całym świecie.

– Doskonale. – Sięgam po zeszyt i coś do pisania.

– Czym mogę służyć? – głos znów się odzywa.

– Chcę się dowiedzieć jak wygląda ideał w telewizji – mówię nie tracąc czasu.

Osoba po drugiej stronie nie opowiada. Przez chwilę mam obawy, że się rozłączy. Czekam jednak cierpliwie z długopisem w dłoni, zawieszonym nad kartką.

– Jest wysoki – pada w końcu z słuchawki – i ładny. Musi być ładny. I szczupły oczywiście. I musi mieć ładny głos, przyjemny dla ucha.

Notuję wszystko, co mówi, w pośpiechu, stawiając nierówne litery.

– To wszystko? – pytam dla pewności.

– Chyba tak.

– Dziękuję panu bardzo.

– Nie trzeba. Do widzenia.

Słysząc buczenie, rozłączył się. Odkładam słuchawkę, biorę do ręki kubek z kawą i patrzę na zapisane słowa. Teraz mam jakieś konkrety, ale poziom mojej wiedzy nadal jest żałośnie mały. Podchodzi do mnie Ideał. Jest wyższa i szczuplejsza i mogłabym się założyć, że ma teraz przyjemny, melodyjny głos. Uśmiecham się do siebie, zgarniam torbę ze stołu i ruszam do wyjścia. Czuję podniecenie, jestem na dobrej drodze do tematu roku. Muszę wyjść do ludzi. W końcu to my tworzymy ideały.

– Idę w teren! – rzucam przez ramię, kiedy pędzę korytarzem w stronę wyjścia. Na biurku zostawiłam kubek z nietkniętą kawą. Nagle dobiega mnie z tyłu wołanie, odwracam się zaskoczona. Redaktor stoi między biurkami i krzyczy coś wymachując dłońmi.

– Natasza! Powiedz mi jeszcze jak Ona ma na imię! – Z trudem rozumiem jego słowa, bo właśnie dzwoni czyjś telefon. Otwieram usta i uświadamiam sobie, że nie jestem w stanie mu odpowiedzieć. Kompletnie zbita z tropu patrzę na Nią. Wstyd mi, Ona jednak nic nie mówi.

– Dowiem się! – odkrzykuję i macham mu na pożegnanie. Ideał wzdyga się lekko, wrzasnęłam tuż obok jej ucha.

Opuszczam w końcu budynek i rozglądam się dokoła. Jest ciepły i słoneczny dzień, jednak w godzinach pracy mało kogo można tu zauważyć. Przechodzę przez jezdnię i jestem na niewielkim skwerku z pomnikiem Jana III Sobieskiego. Znajduję wzrokiem kobietę siedzą-

cą na ławce. Brązowe, proste włosy ma precyzyjnie upięte w kitek, siedzi z rękoma na eleganckiej torbie, pasującej do zakieciku i spódnicy. Za nią rośnie klomb róż, całość więc wygląda jak kadr z filmu. Zatrzymuję się przed nią z uśmiechem. Spogląda na mnie podejrzliwie, więc rzucam kilka nazw i pokazuję identyfikator. Ona natychmiast zmienia nastawienie, uśmiecha się zachęcająco. To zabawne, jak bardzo ludzie lubią być w centrum uwagi. Nie pierwszy raz stosuję tę sztuczkę: identyfikator, nazwa gazety, abrakadabra – i wszyscy słuchają uważnie.

M – Czy mogę pani zabrać kilka minut? – pytam i już grzebię w torebce, szukając dyktafonu, bo widzę po jej minie, że zgodzi się z entuzjazmem. I rzeczywiście, zgadza się. Zajmuję miejsce obok niej, na ławce.

– Czy to już nagrywa – patrzy na dyktafon.

– Tak, nagrywa. Dobrze, zacznijmy. Proszę się przedstawić.

– Monika Rokiewicz. Mam powiedzieć, czym się zajmuję?

– Proszę bardzo, jeśli pani chce.

Kobieta zdaje się być onieśmielona przez urządzenie; milknie na chwilę, jakby nie pamiętała, gdzie pracuje. W końcu oznajmia, że działa w nieruchomościach. Zadaję jej jeszcze kilka bezużytecznych pytań, na rozgrzewkę. Kiedy zaczyna mówić swobodniej, przechodzę do rzeczy.

– Proszę opisać, jak wygląda ideał.

Jest zaskoczona, ale nie zbita z tropu. Odgarnia z twarzy kosmyk włosów, który jakimś cudem wydostał się poza kitek.

– Myślę, że powinna być bardzo szczupła – Tu jej przerywam.

– Taka szczupła? – Wskazuję na Ideał, który stoi przed nami. Kobieta chwilę mierzy Ją wzrokiem.

– Trochę chudsza – mówi po namyśle. Ideał niknie w oczach, nie wygląda jednak jeszcze najgorzej. – Jak te dziewczyny w reklamach. Musi mieć długie włosy, najlepiej proste i nie za jasne. No i nie może być taka blada – dodaje kobieta. Mówi teraz patrząc na Ideał, któremu właśnie wydłużają się włosy. Są brązowe i sięgają do łopatek. Szlachetna, porcelanowa skóra zaczyna ciemnieć, aż osiąga ładny odcień beżu.

– Tak, teraz jest dobrze – stwierdza Monika Rokiewicz. Wyłączam dyktafon, żegnamy się i odchodzę. Obok mnie idzie Ideał, stuka wyższymi niż rano obcasami, kołyszę lekko biodrami jak modelka i raz po raz odgarnia na bok długie proste włosy. Przechodzę przez jezdnię i zagłębiam się w miasto. To tu, to tam zatrzymuję kogoś, żeby z nim porozmawiać, podsłuchuję cudze opinie, niekiedy po prostu idę, zbierając w głowie słowa lub czyniąc obserwacje. Ulice są kolorowe i pełne plakatów. Między domami pojawiają się małe kawiarenki, sklepy ze



słodyczami, dalej wyrastają centra handlowe. Czas z cichym szmerem przelewa mi się przez palce. Kiedy ruszam w stronę domu, ulica jest zakorkowana i hałaśliwa. Wszędzie kłębią się samochody i ludzie, wszystko jest większe i wyższe niż dotychczas. Trawniki zaczynają się kurczyć pod naciskiem chodnikowych płyt, wyłaniają się ścieżki rowe-  
rowe. W końcu dochodzę do swojej kamienicy, postarzała się. Idę klatką schodową, wsłuchana w echo kroków, brzęczę kluczami przy drzwiach i wyczerpana wchodzę do własnego mieszkania. Tam, gdzie kiedyś stała maszyna do pisania, leży teraz komputer. Kładę obok niego swoją torbę i zmęczona idę do łazienki. Nim się orientuję – leżę już na łóżku, wdycham chłodne, wieczorne powietrze przez uchylone okno i tylko czekam, aż ciężkie powieki opadną. Ostatnio coraz częściej bywam zmęczona, przypominam sobie zmarszczki, które widziałam w lustrze i nachodzi mnie niepokojąca myśl, że chyba się starzeję. Ideał siedzi w salonie, za ścianą, w dużym, miękkim fotelu. Nie widzę Jej i nie słyszę, jak oddycha, wiem to jednak na pewno. Zасыpiam rozważając, czy Ona kiedykolwiek spała; a jeśli tak – to o czym mogła śnić.

Ψ

Jest jesień. Słyszę ją, jak gwizdże w szparze uchylonego okna lub szeleści liśćmi drzew. Mam na sobie ciepły sweter i uzbrojona w kubek kawy siadam przy biurku. Wprawnym ruchem otwieram laptopa, potem sięgam po komórkę. Mam teraz na niej większość nagrań, dyktafon od dawna już dotrzymuje towarzystwa starym zeszytom pod łóżkiem. Zbieram materiały bez końca, nadal nie mogąc się w nich odnaleźć. Czuję, jakby coś mi umykało, nie widzę żadnego początku dla zleconego artykułu, a nad końcem nie mam siły myśleć. Wyszukuję najnowsze nagranie, jakie zrobiłam – jest to rozmowa z młodym małżeństwem, które zamieszkało nade mną. Puszczam je, czując na plecach wzrok Ideału. Pewnie nawet nie zdaje sobie sprawy, jaką wywiera na mnie presję.

– Chwileczkę, jeszcze tylko.. A nie, już. Proszę mówić.

Stuka odkładany na stół telefon.

– Jeszcze raz, jakie było pytanie?

– O Ideał. Czego jej brakuje?

Chwila ciszy.

– Biżuterii, nie ma nawet przekłutych uszu. I mogłaby się lepiej ubrać.

– Coś bardziej obcisłego.

– Może też krótszego.

Cichy, nerwowy śmiech.



- To wszystko?
- No, ciemniejsze włosy..?
- Tak. I skóra.
- I mogłaby mieć mocniejszy makijaż.
- Taki?
- Jeszcze trochę cienia do powiek. O, teraz dobrze.
- Czy to już wszystko?
- Tak..?
- Tak.
- Dziękuję.

Dźwięk odsuwanej krzesła.

Nagranie kończy się w tym momencie. Właściwie do niczego się nie nadaje, jest chaotyczne i nieprofesjonalne. Odwracam się na krzesło, zadając sobie w myślach pytanie, co właściwie wyrabiam. Miałam niedawno tyle entuzjazmu do pracy, teraz z trudem przedzieram się przez zebrane już materiały. O nowych nie ma mowy. Patrę na Ideał, siedzi na fotelu, jak zawsze. Wszystko się zgadza, ma teraz przekłute uszy, z których zwieszają się błyszczące kolczyki. Jest opalona i ma czarne włosy, oczy otacza gruba warstwa makijażu. Chude ciało ozdabia mocno dopasowana, czarna sukienka bez ramiączek, ukazująca ładny dekolt. Patrę na to wszystko bez przekonania. Może źle do tego podchodzę? Może nie powinnam pytać jednostek, ale ogółu? Włączam przeglądarkę internetową i zagłębam się w labirynt opinii i uwag. Wszystko jednak pasuje do tego, czego się już dowiedziałam.

- Świat tak cię właśnie widzi - mruczę do Ideału. Sama nie wiem, kiedy zaczęłam z Nią rozmawiać. - No, może powinnaś mieć jeszcze większe cycki - rzucam do Niej przez ramię, kiedy na ekranie wyskakuje mi reklama jakiegoś napoju. Na pierwszym planie widać dziewczynę bardzo podobną do Ideału. Próbuję ją wyłączyć, ale zaraz pojawia się następna. Zamykam laptopa zirytowana i podnoszę się z krzesła. Ideał też się podnosi. To, że ma nagle duży biust, zupełnie mnie nie zaskakuje. Wzdycham ciężko.

- Chodź, muszę coś zjeść - zwracam się do Niej i znikam na chwilę w sypialni, żeby się przebrać. Wracam w standardowym zestawie: dzinsy i koszula. Zakładam beżowy płaszcz, czerwony szalik, zarzucam na ramię torbę i wychodzę, zamykając za nami drzwi. Na zewnątrz jak zwykle słychać szum silników i czuć nieprzyjemny zapach spalin. Uciekamy więc w boczne uliczki, zmierzając w stronę Starego Miasta. Już widzę przyjemną, niedużą restaurację po drugiej stronie ulicy, kiedy słyszę czyjś pewny siebie głos.

– Hej? To Ideał?

Odwracam się zaskoczona, wcześniej nic takiego mi się nie zdarzyło. Przed sobą widzę trzy nastolatki. Każda ma na sobie ciasne dżinsy, mocny makijaż, farbowane włosy. Ta, która mnie zaczęła, mierzy teraz wzrokiem Ideał, dwie pozostałe stukają w dotykowe ekrany swoich telefonów.

– Tak... – mówię wolno, nie wiedząc, o co dziewczynie właściwie chodzi. Ta żuje chwilę gumę, po czym w końcu się odzywa.

– Trochę słabo – stwierdza unosząc lekko brwi do góry. Jedna z jej koleżanek podnosi wzrok znad telefonu i przytakuje. Nie wiem, co o tym sądzić. Jestem od nich przynajmniej piętnaście lat starsza, ale ich zachowanie prawie mnie onieśmiela.

– A czego jej brakuje? – pytam w końcu. Wygląda na to, że blondynka na takie pytanie właśnie czekała. Uśmiecha się, ale nie jest to miły uśmiech. Choć podejrzewam, że ona nie ma o tym pojęcia. Poprawiam torbę na ramieniu i staram się nie pokazywać, jak bardzo chcę zakończyć tę rozmowę. Burczy mi w brzuchu.

– Powinna pomalować paznokcie i trochę je zapuścić. Przydałoby się jej też trochę solarium, lepsze ciuchy, coś z większym dekoltem. No i ja bym ubrała wyższe obcasy.

– A może długa sukienka? Kapelusz i jasna cera.. – sama nie wiem, dlaczego podejmuję się tak rozpaczliwej próby ratowania Ideału. Słowa wypadają mi z ust bez mojej woli. Dziewczyna parska krótkim śmiechem.

– Żartujesz? To już było i bardzo dobrze, że wyszło z mody. Co za frajerka by się tak ubrała?

Słucham tego w milczeniu i kiwam głową ze zrozumieniem, choć tak naprawdę nie rozumiem. Dochodzi do mnie, że rzeczywiście robię się już stara, nowe pokolenie, o którym tak dużo się mówi, różni się od tego, co znam w każdym aspekcie. Ponownie burczy mi w brzuchu, więc zostawiam nastolatki z ich komórkami i przechodzę przez przejście dla pieszych. Popycham przeszkłone drzwi, wchodzimy do restauracji. Jest prawie pusta, w powietrzu unosi się zapach zupy warzywnej. Ściany są ciemnoszare, wewnątrz urządzono prosto, ale z wdziękiem. W kątach stoją doniczki z roślinami. Wybieram dwuosobowy stolik przy jednej z takich roślin i zajmuję miejsce. Naprzeciw mnie siada Ideał. Skórę ma nienaturalnie opaloną, makijaż mocny do przesady. Paznokcie, najwyraźniej sztucznie wydłużone, pokrywa czerwony lakier. Zwiększony tak niedawno biust eksponuje jeszcze większy dekolt w jeszcze bardziej obcisłej sukience. Zerkam pod stół i bez zdziwienia

dostrzegam wysokie szpilki. Ideał siedzi przede mną, mruga raz po raz długimi rzęsami, w milczeniu żuje nowo nabytą gumę. Głowę ma lekko zadartą, jakby zawsze miała rację. Choć nic nie mówi, mam wrażenie, że jest głośna i przygotowana na zaczepkę. Patrzę w Jej oczy. Znow się zmieniły. Jest teraz w nich dziwna pustka, jakby już zupełnie nic nie czuła. Czuję się oszukana – ta dziewczyna, z którą przez ostatnie kilka lat zaczęłam rozmawiać, do której przywykłam i którą polubiłam, zdaje się znikać w zabójczym tempie. Nie mam pojęcia, co z Nią teraz zrobić, staram się o tym wszystkim po prostu nie myśleć. Zmęczona zdejmuję płaszcz i szalik, i zagłębiam się w kartę dań.

W restauracji spędzamy prawie godzinę, wpierw nie mogę się zdecydować, co chcę zjeść, później trzeba standardowo czekać na potrawę. Kiedy w końcu przynoszą moją zupę, umieram z głodu. Ideał nic nie je, nigdy tego nie robiła. Zakłada nogę na nogę i zaczyna bawić się kosmykami ciemnych włosów. Robi mi się Jej żal. W końcu możemy się zbierać, płacę rachunek i wychodzimy na zewnątrz. Na dworze jest jeszcze chłodniej niż było rano, ponure chmury wczolgały się na niebo nad nami, wieje silny wiatr i przynosi ze sobą zapach deszczu. Ruszamy szybkim krokiem. Wtedy orientuję się, że nie wzięłam szalika. Przeklinam swoją nieuwagę.

– Poczekaj tu – zwracam się do Ideału i ruszam z powrotem do restauracji.

Szalika już nie ma, muszę więc złapać kelnerkę i wyjaśnić z nią sprawę. Chwilę zajmuje, zanim wygrzebuje go z kosza rzeczy znalezionych. Wracam na ulicę i rozglądam się za Ideałem. Nie ma Jej. Czuję, jakby jakaś olbrzymia ręka ścisnęła całe moje ciało. Rozglądam się w panice, ale nigdzie Jej nie widzę!

– Przepraszam! – dosłownie rzucam się na przechodnia. – Nie widział pan tutaj takiej wysokiej, ciemnowłosej dziewczyny. Nie miała żadnej kurtki.

Opisuję Ją pobieżnie. Mężczyzna chwilę się zastanawia.

– Ach, Ona! – w końcu wyławia Jej obraz z pamięci. – Tak, była tu przed chwilą. Ktoś Ją zabrał.

– Jak to „zabrał”? – wykrzykuję z niedowierzaniem do przerażonego teraz mężczyzny.

Wiatr szarpie nas za włosy, a ja szarpnię swoje myśli, chcąc zrozumieć, jak to możliwe. Ukradli Ją. Ukradli mój Ideał. Nie, chwileczkę. To nawet nie był m ó j Ideał. To był ideał ogółu, który już mi się nawet nie podobał. Ideał współczesnego świata. Przywiązałam się jednak do Niej, w dodatku była tylko pożyczona. Czuję się za Nią odpowiedzial-

na. Klnę i biegnę w stronę, którą wskazuje mi zdeorientowany moim wybuchem mężczyzna. Chcę krzyknąć, wołać Ją i dzwonić na policję, chcę żeby wszyscy Jej szukali i żeby do mnie wróciła. Ze wstydem jednak muszę przyznać, że nie wiem nawet, jak się nazywa. Wypadam na skrzyżowanie, ale Jej nie widać. Ruszam w lewo, do kolejnego skrzyżowania. Znow nic, znow w lewo. Zdaję sobie sprawę, że jestem na zapleczu restauracji, jeszcze trochę, a zrobiłabym kółko. Omijam wstawiony pomiędzy ściany sąsiednich budynków śmietnik, broniący wstępu na zaplecze i brnę w zapach smażonego tłuszczu i stukot mytych talerzy. Mam naiwną nadzieję, że może Ją tu znajdę, może się pomyliła i poszła mnie szukać. Bzdura. Nikogo tu nie ma, gromadzą się za to bezdomne dachowce, najwyraźniej dokarmiane resztkami o tej porze. Wzdrygam się na widok kotów; nie dość, że ich nie lubię, to jeszcze mam uczulenie. Kiedy jeden zaczyna podchodzić do moich nóg, klaszczę głośno, żeby go spłoszyć.

– Sio – prychnam. Panika minęła, teraz zostało mi tylko uczucie wielkiego smutku i rozdrażnienie. Opuszczam zaplecze jeszcze bardziej przybita. Jakby dla przypiecztowania mojej rozpaczyny zaczyna kropić.

Kiedy docieram do domu, już leje. Jestem przemoczona, zmarznięta i nieszczęśliwa. Zdaję sobie sprawę, że pierwszy raz od dziesiątek lat jestem sama. Sama wspinam się po schodach, sama suszę ubrania i robię herbatę, w końcu sama kładę się do łóżka. Za ścianą, w pokoju obok, na fotelu powinien siedzieć Ideał. Nie widzę Jej i nie słyszę, ale powinna tam być. Zrywam się gwałtownie z łóżka i wpadam do salonu, sprawdzam. Przez ułamek sekundy nachodzi mnie nadzieja, że to wszystko nie było prawdą. Jednak fotel jest pusty, Ideału nie ma, muszę się z tym pogodzić. Wracam do łóżka. Dopiero teraz czuję, jak bardzo się do niej przywiązałam. Przegapiłam moment, w którym z ciekawostki i tematu do artykułu stała się kimś mi bliskim, wsparciem i towarzyszem jednostronnej rozmowy. Zасыpiam z piekącym bólem w klatce piersiowej i straszną myślą, że być może nigdy Jej nie znajdę. Teraz pewnie wygląda już inaczej.

Mija tydzień. Dni zrobiły się paskudne, więc jeżdżę do pracy samochodem. Głównie po to, żeby siedzieć na krześle i patrzeć przez okno. Jestem beużyteczna. O dziwo, nikt się nie czepia, być może czegoś się domyślają, a może nie mają pojęcia, że nic ostatnio nie napisałam. W końcu godzę się z myślą, że to koniec i na to chyba czekał świat. Zawsze dopiero po zaniechaniu szukania znajdujemy swoją zgubę. Tak też było ze mną i Ideałem. Musiałam oddać pranie do pralni, wracam więc inną drogą niż zazwyczaj.





Jest ciemno, jesienne dni są krótkie, a ja zasiedziałam się dzisiaj w pracy. Zbyt dużo czasu zajęło mi nicnierobienie. Wiem, że na głównej drodze są jakieś roboty i przejezdny jest tylko jeden pas, skręcam więc w boczne uliczki. Słyszę muzykę, kiedy przejeżdżam obok klubu, skręcam i widzę Ją. Wiem że to ona, choć Jej nie poznaję. Stoi oparta o zimny mur, kawałek dalej palą jacyś chłopcy. Zjeżdżam na chodnik i wysiadam, czuję jak serce mi przyspiesza z radości, nie wiem jednak, czy się uśmiechać. Oto w końcu Ją znalazłam, kiedy straciłam nadzieję, Jej stan jest jednak opłakany. Podchodzę do Niej i uderza mnie zapach papierosów i alkoholu. Oczy ma zamglone, nie wiem, czy w ogóle wie, co się dookoła Niej dzieje. Jest na najwyższych szpilkach, jakie w życiu widziałam, jej sukienka zaczyna się za nisko i kończy za wysoko. Wygląda jak szkielet, na który naciągnięto sztucznie opaloną skórę, nadal ma błyszczące kolczyki, ciemne włosy i wysmarowane kosmetykami oczy. Uśmiecha się do mnie nieprzytomnie czerwonymi od szminki ustami.

– Chodź – mówię cicho i wskazuję Jej mój samochód.

Nie protestuje. Patrzę, jak idzie i łyzy napływają mi do oczu. Patykowate nogi chyboczą się na za wysokich obcasach, z trudem wsiada do auta. Otrząsam się, zaciskam zęby i także wsiadam. Chcę Ją zabrać jak najszybciej do domu. Kiedy dojeżdżam na miejsce Ideał już śpi na tylnym siedzeniu. Otwieram drzwi i decyduję się ją wnieść. Waży tyle co sarta kości, nie powinno to więc być nic trudnego. Schyliłam się nad nią i wsuwam ręce pod Jej ciało. Wzdrygam się mimowolnie, kiedy czuję ciepło skóry. To pierwszy raz, kiedy Jej dotykam, aż do teraz nie byłam pewna, czy nie jest hologramem, który rozwieje się pod moimi palcami albo czy nie będzie zimna jak lód. Jestem zszokowana tym, jak bardzo przypomina człowieka. Biorę Ją na ręce i nogą zatrzaskuję drzwi od samochodu. Jest tak, jak myślałam, nie waży więcej niż czterdzieści kilogramów.

Kiedy docieramy do mojego mieszkania, kładę Ją na kanapie i chwilę obserwuję. Zwinięta w kłębek wygląda jak stos patyków. Siadam na fotelu i myślę. Do światła słabej lampy pod sufitem dołącza blask księżyca, który wśliznął się właśnie przez okno. Przypomina mi się ta posrebrzana postać, która zobaczyłam dawno temu w parku. Była dostojna i piękna – była Ideałem. Teraz leży przede mną coś zupełnie innego. Marna podróbka tamtej doskonałości. Smutno mi, że tak skończyła; wiem jednak, że to nie jej wina. Jej zadaniem było spełniać wymagania terażniejszości i chyba Jej się udało. Przypominam sobie dziewczyny, które zaczęły mnie przed restauracją. Zupełnie nie mogłam ich zro-

zumieć, a one pewnie nie rozumiały mnie. O tak, starzeję się. Wstaję i idę się położyć z podjętą właśnie decyzją. Trzeba oddać Ideał. Już czas.

Ψ

Dzień zapowiada się ładnie, po raz pierwszy od pewnego czasu świeci słońce. Kiedy jestem już gotowa, wkraczam do salonu. Czuję się, jakbym szła na egzamin, mam ściśnięty żołądek i trzęsą mi się ręce. Nie mam pojęcia, kiedy zacisnęłam powieki, w każdym razie otwieram teraz oczy i patrzę na kanapę. Ideał siedzi nieruchomo, w ciszy, tak jak zawsze. Nie zmieniła się od wczoraj, jest już za to przytomna. Teraz zauważam to, co wczoraj przegapiłam – Jej oczy. Są tak samo ciemne, jak kiedyś, wyrażają jednak zupełnie coś innego. Ideał patrzy z wyższością, kąpiąco, na ustach ma jakby przyklejony prześmiewczy uśmiešek. Wygląda na wredną i choć milczy, jestem pewna, że dużo przeklina. Z przykrością zdaję sobie sprawę, że siedząca na kanapie dziewczyna ani trochę nie wzbudza mojego szacunku. Tylko mi Jej żal, ale pod naporem lodowatego spojrzenia Jej oczu nawet to współczucie ginie gdzieś głęboko we mnie.

– Chodź – mówię do Niej i uśmiecham się smutno (do siebie).

Zakładam płaszcz i wypuszczam Ją pierwszą, dygocąc z zimna na sam widok jej skąpego ubrania. Jedziemy samochodem, ale parkuję kawałek dalej. Chcę się przejść, przygotować na spotkanie i wyzbyć dziwnych dreszczy, które przebiegają po moim ciele. Ideał idzie przede mną. Ciemna skóra zlewa się z ciemnymi włosami, dziewczyna na wysokich obcasach rusza się jakoś dziwnie, coś mi nie pasuje. Po chwili orientuję się, że idzie na czworakach. Doganiam ją zdziwiona, kucam obok i kładę rękę na jej plecach. Są miękkie, pokryte ciemnym futrem. Słyszę warczenie, Ideał kłapie zębami, więc odsuwam się zaskoczona. Zaczyna warczeć także na przechodniów, Jej ogon rusza się kilka razy nerwowo na boki, pazury, jeszcze chwilę temu czerwone, przejeżdżają po płycie chodnikowej. Biorę ją na smycz i resztę drogi idzie przy mojej nodze. Przyglądam się uważnie temu czarnemu, dużemu kundlowi i jedyne, co w nim rozpoznaję, to ciemne oczy. Łypią na mnie groźnie. Mijamy bramę parku oliwskiego razem, ja i Ideał. Wysoka blondynka i suka na smyczy. Wydaje mi się, że to było nieuniknione. Od lat nikt nie szukał damy, świat chciał mieć dziewczynę, która wygląda jak dziwka, później chciał, żeby tak się zachowywała, aż w końcu, zanim ktokolwiek się zorientował, Ideałem stała się suka. Idę lipową alejką – przypominając sobie, jak prowadziłam tędy kobietę w długiej sukni.





100

Miła  
Popowska

Wydaje się, że było to tak niedawno. Wzdycham. Idę jeszcze kawałek i w końcu dostrzegam przygarbioną postać siedzącą na ławeczce, tę samą co przed dziesiątkami lat. Podchodzę wolno, staram się odwlec ten moment jak najbardziej. Nie mam odwagi stanąć przed starszym, strasznie mi wstyd. W końcu jednak dochodzę do ławki i siadam obok niego. Nie zmienił się dużo, nadal ma na sobie szary frak, choć teraz widać już na nim przetarcia, zaś laska, na której trzyma dłoń, ma wytartą główkę. Odwraca się w moją stronę i zauważam, że przybyło mu kilka nowych zmarszczek, a broda się przerzedziła.

– Przyszedł – mówi ciepłym, spokojnym głosem i uśmiecha się tak życzliwie, jak tylko starsi ludzie potrafią. – Gdzie Ona jest?

W jego oczach widzę błysk podniecenia, na chwilę dostrzegam w jego twarzy twarz dziecka, które z niecierpliwością czeka na swój prezent. Czuję, jak czerwienieję ze wstydu, pociągam za smycz i pies podchodzi kilka kroków bliżej. Nie jestem w stanie wydobyć żadnego dźwięku z zaciśniętego gardła. Staruszek zdaje się jednak wyczytywać prawdę w moich oczach. Chwyta się jednak kurczowo nadziei, że coś źle zrozumiał. Siedzimy chwilę w ciszy, ukradkiem obserwuję, jak chude palce jego suchej dłoni zaciskają się mocno na lasce.

– Co to? – pyta spokojnie. Głos mu lekko drży z wysiłku, jaki wkłada, aby zamaskować prawdziwe emocje. Nasze spojrzenia spoczywają na psie, który spuszcza głowę. Jej też chyba jest głupio.

– To Ona – mówię w końcu cicho. Chcę powiedzieć, jak strasznie mi przykro, jednak wszystkie potrzebne słowa utykają mi gdzieś na poziomie żołądka. – To Ideał.

Staruszek przygląda się uważnie psu, w końcu wyciąga rękę i delikatnie go dotyka. Ideał nie warczy, siedzi spokojnie i pozwala się głaskać.

– Co Jej się stało? – w jego głosie niespodziewanie słyszę spokój. Wygląda, jakby już pogodził się z sytuacją. Starsi ludzie są zaskakująco odporni. Ja niestety jeszcze nie.

– Jest suką – głos mi się rwie, nie mam już siły. Czuję się okropnie. – To nie ja, to świat. Wszyscy chcieli czegoś nowego, wszystko się zmieniało; nawet nie wiem, kiedy. Ona po prostu... Po prostu taką ją chcieli. Przepraszam.

Wyrzucam z siebie słowa szybko i nerwowo. W końcu milknę i spuszczam głowę. Staruszek za to znów uśmiecha się życzliwie, suka siedzi teraz obok niego i trzyma pysk na jego kolanach. Stara, wysuszone ręką głaszczę ją miarowo.

– Nie szkodzi – słyszę nagle. Podnoszę głowę i widzę, jak patrzy w miejsce, gdzie stał Ideał, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. – Poczekam tu na nią.

Nie rozumiem. Spoglądam to na Ideał, to na miejsce, gdzie stał kilkadziesiąt lat temu.

– Myślisz, że kiedyś wróci? – pytam wolno. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak siedząca tu suka staje się nagle na powrót piękną w sukni. Staruszek jednak jest pewien swego. Odwraca twarz w moją stronę, dalej głaszcząc psa.

– Ludzie są do siebie bardzo podobni, czas jest nieograniczony, a świat wcale nie taki duży. To, co raz się zdarzyło, musi się kiedyś powtórzyć – mówi wolno, z lekkim uśmiechem.

– Więc uważasz, że to, co kiedyś już było, wydarzy się jeszcze raz? – pytam, choć już czuję, że on wie, co mówi i ma rację. Jest teraz w nim coś niesamowitego, przypomina mi mędrca – i kto wie, czy nim nie jest. Słyszając moje pytanie kiwa lekko głową.

– Innym ludziom w innym czasie. Na pewno.

Ψ

Zaczyna zmierzchać, kiedy mijam bramę Parku Oliwskiego. Odwracam się jeszcze na chwilę i patrzę na drobną postać siedzącą w oddali na ławce, z psem u boku.

Ψ

Nigdy go już więcej nie spotkałam. Nie napisałam też artykułu o Ideale, przede wszystkim dlatego, że nic o nim nie wiem. Po dziesiątkach wspólnie przeżytych lat nie znam nawet Jej imienia. Czasem jednak widzę Ją, jak patrzy na mnie z ekranu telewizora lub z wielkiej reklamy na budynku. Przypominam sobie wtedy, jak siedziała u mnie w salonie, na fotelu i czuję nieprzyjemne ukłucie w okolicach klatki piersiowej. Jestem też przekonana, tak jak staruszek, że kiedyś wróci do swojej poprzedniej postaci, znów będzie miała jasną skórę i piękny uśmiech. Żyję dalej, piszę nadal do gazet, obserwuję, jak świat płynie przez lata i, pamiętając słowa staruszka, staram się nie robić głupot – bo wiem, że przez to kiedyś komuś znów się one przytrafią.



# Studium w bieli

— sztafeta literacka —

## Zasady sztafety literackiej

- ◇ Autorzy tworzyli opowiadanie kryminalne w odcinkach.
- ◇ Kolejne odcinki miały rozgrywać się w świecie stworzonym przez pierwszego autora i uzupełnionym przez autorów odcinków poprzedzających. Należało zachować charakter postaci oraz związki przyczynowo-skutkowe pomiędzy wydarzeniami, a także dbać o szczegóły, które zostały już określone.
- ◇ Każdy autor mógł wnieść do opowiadania nowe szczegóły – pod warunkiem, aby były sprzeczne z już określonymi.
- ◇ Autor odcinka proponował trzy możliwości dalszego rozwoju akcji – grupa decydowała przez głosowanie, którą możliwość wybiera.
- ◇ Osoby głosujące mogły podać jeden element świata przedstawionego, który chciały umieścić w następnym odcinku opowiadania. Z podanych elementów autor kolejnego odcinka wybierał trzy celem użycia w tekście. Mogły one pełnić istotną rolę lub pozostać „ozdobnikiem”.



## Adrian Kazanowski

**B**ył to dość chłodny, majowy wieczór, a dzwony z wieżyczki pobliskiego kościoła oznajmiały właśnie godzinę 21. Przechodzący chodnikiem ludzie rozbryzgiwali butami kałuże. Kulawy owczarek kościelnego gonił kota dachowca wzdłuż niezbyt uczęszczanej o tej porze drogi. Przy ulicy stały domy jednorodzinne, swobodnie rozrzucone, każdy innej wielkości i w innym kolorze. Od hałasu ulicy chroniły je ogromne świerki, posadzone w równych odległościach od siebie.

W ogrodzie jednego z takich domów, na tarasie, w wygodnym bujanym fotelu, siedziała czterdziestokilkuletnia śniada brunetka. Gdy tylko wróciła do domu, przygotowała sobie lampę, książkę i parę przekąsek. Zapowiadał się miły wieczór, chociaż samotny, ale tym się nie przejmowała. Gdy wszystko, co potrzeba, było na miejscu, kobieta, by odpocząć od miejskiego zgiełku, otuliła się szczelnie kocem i, nasłuchując cykania świerszczy ukrytych w trawie, zatraciła się w lekturze „Studium w szkarłacie” Arthura Conan Doyle’a. Przyciągnęła do siebie lampkę i poprawiła okulary. Po chwili nieświadomie, może by pozbyć się uczucia samotności, zaczęła czytać na głos.

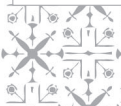
– „Stałem sobie w barze «Criterion», gdy nagle ktoś klepnął mnie po ramieniu. Odwróciłem się i zobaczyłem młodego Stamforda, mego asystenta w szpitalu św. Bartłomieja w Londynie. Dla człowieka samotnego widok znajomej twarzy w dżungli Londynu jest niemałą radością.” – przerwała, by napić się soku i przewrócić kartkę.

Poprawiła się w fotelu, odgarnęła włosy za ucho i wróciła do lektury. Gdy pojawiło się nazwisko Holmesa – nieświadomie się uśmiechnęła. Lubiła jego styl bycia i poglądy. Właśnie dlatego po raz kolejny zabierała się do tej książki. Nie zdążyła jednak dokończyć nawet następnego zdania, gdy usłyszała z wnętrza domu telefon. Włożyła spókojnie, ale bardzo niechętnie, zakładkę i zrzuciła pled na podłogę.



103

Studium  
w białym



Z książką w ręku weszła do pokoju w poszukiwaniu dzwoniącej komórki.

Znalazła ją w kieszeni rzuconej niedbale na biurko kurtki przeciwdeszczowej. Spojrzała na wyświetlacz, ale podany numer nic jej nie mówił. Chcąc jednak szybko wrócić do lektury, odebrała i przyłożyła telefon do ucha.

– Witam, czy pani Beata Kowalczyk? – spytał męski, pogodny głos, zanim jeszcze zdążyła powiedzieć „Halo”.

– Tak, zgadza się – odparła szybko. – W czym mogę panu pomóc?

– Przepraszam za porę, ale mam pilną sprawę... Można wiedzieć, czy dalej mieszka pani w Warszawie?

Beata znacznie uniosła brwi, zdziwiona pytaniem mężczyzny. Nie kazała jednak zbyt długo czekać na odpowiedź.

– Tak, nic się nie zmieniło... A przepraszam, ale nie dosłyszałam pańskiego nazwiska...

– Bo ja wcale go nie podałem, proszę mi wybaczyć... Mówi inspektor Jacek Wiśniewski, z Komendy Głównej.

Brunetka mimowolnie wypuściła z ręki tomik, który odbił się z głośnym stuknięciem od paneli podłogowych. Oniemiała ze zdziwienia: co o tej porze może chcieć od niej policja? Starła się przypomnieć sobie, czy pamięta kogoś o takim nazwisku. Podczas swojej kilkuletniej pracy w policji poznała co najmniej dwóch Wiśniewskich, jednak żaden z nich nie był inspektorem. Natomiast z Komendą Główną nie miała nigdy do czynienia. Niepokojące myśli przeszkadzały Beacie w skupieniu. Postanowiła jednak nie brnąć dalej w domysły, tym bardziej że po drugiej stronie usłyszała już ponaglające:

– Jest tam pani?

– Tak, przepraszam... – powiedziała, nieco pewniejszym głosem. – Coś się stało? W jakiej sprawie pan dzwoni?

– Chciałem zapytać: czy dalej mieszka pani w domu po swoich rodzicach na Mokotowie? – spytał z dostrzegalną nutką zadowolenia w głosie.

– Zgadza się... Mieszkam. Skąd pan to wszystko wie? – zapytała zniecierpliwiona.

– Spokojnie, proszę pani... Jestem przecież z policji, trochę wiemy o starych kolegach z pracy. Wszystko pani wyjaśnię, tylko proszę otworzyć furtkę do ogrodu – odparł spokojnie i szybko się rozłączył.

Beata oniemiała, zaskoczona jego bezczelnością, nie zdążyła nawet wcisnąć czerwonej słuchawki, gdy w przedpokoju zadzwonił domofon. Zanim jednak podeszła do drzwi, by odebrać, podniosła książkę, zdję-

ła okulary i zamknęła drzwi na taras. Dopiero gdy osiągnęła względny porządek, poszła otworzyć drzwi policjantowi.

„A co jeśli to nie jest prawdziwy policjant?” – przeszło jej przez myśl w połowie drogi do domofonu. – „Przyszedł sam i podał pospolite nazwisko...”. Obróciła się na pięcie i wróciła do swojego biurka. Poprawiła leżącą tam kurtkę, ale tylko trochę, tak by mogła swobodnie otworzyć szufladę. Wyciągnęła z kieszeni spodni pęk kluczy, wybrała jeden i przekręciła go w zamku, który lekko przeskoczył. Otworzyła szufladę najszerzej i najszybciej jak mogła. Spod warstwy dokumentów i kopert wyjęła krótki rewolwer. Sprawdziła bębenek. Był pełen. Schowała broń w głębokiej kieszeni swetra, po czym powtarzając w myślach slogan „przezorny zawsze ubezpieczony” pobiegła otworzyć.

Ψ

Do przedpokoju Beaty wszedł mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni. Szczupła, pociągła twarz już od kilku dni nie widziała maszynki do golenia. Kręcone włosy dawno nie widziały grzebienia. Brak obrączki na rękę. Zwyczaj, mieszkający samotnie kawaler. Była praca nauczyła Beatę spostrzegawczości i szybkiego wyciągania wniosków.

Musiła uważać, by przy zamykaniu drzwi nie przytrzasnąć jego długiego, ortalionowego płaszcza. W oddechu wyczuła, że dopiero przed chwilą skończył palić papierosa. Nie wpuściła go do pokoju, dopóki nie przyjrzała się jego legitymacji. Wszystkie pieczętki i hologramy wyglądały na autentyczne, więc w końcu pozwoliła mu wejść. Z lekkim sercem zdjęła dłoń z rewolweru ukrytego pod fałdami swetra, po czym poprawiła kieszeń, by nieznajomy niczego nie zauważył.

Ale policjant sprawiał wrażenie, jakby przestał zwracać na nią uwagę. Od chwili wejścia do domu nie powiedział ani słowa. Na prośbę Beaty o pokazanie legitymacji milcząc podał odznakę. Kiedy tylko wszedł dalej, rozejrzał się po salonie, nie przejmował się jednak tym, by wytrzeć buty w przedpokoju. Beata nic nie powiedziała, z trudem zachowując spokój przyglądała się, jak na podłodze pojawiają się małe ślady błota i wody, podczas gdy nieznajomy oglądał zdjęcia na ścianach. Miała więc możliwość niepostrzeżenie odłożyć broń do wciąż otwartej szuflady.

Dopiero gdy wróciła od biurka, policjant obrócił się w jej kierunku. Uśmiechnął się szelmowsko i zapytał, przecierając jednocześnie dłonią krótki zarost.

– Mogę wiedzieć, czemu opuściła pani służbę?

Beata, nadal nie potrafiąc odnaleźć się w sytuacji, spojrzała na niego z nieukrywaniem zdziwieniem.



– Czy to jest powód tej wizyty? Czy to jest ta pilna sprawa, jak pan to określił?

Policjant bezceremonialnie zrobił kilka kroków dzielących go od kanapy i usiadł na niej nie pytając gospodyni o pozwolenie.

– Przepraszam – powiedział bez żadnej oznaki skruchy. – Nie, to nie to. To pytanie zadałem ze zwykłej ciekawości. Może pani odpowiedzieć albo nie.

Beata spojrzała na niego, jakby chciała powiedzieć coś w stylu „ciekawość to pierwszy stopień do piekła”, ale zdała sobie sprawę, że to niczego nie załatwi. Jednak to, że bez wyraźnego powodu osoba nieznamoma nachodzi ją w domu, aż prosiło się o jakąś złośliwość.

– Twierdził pan, że na Komendzie wiecie dużo rzeczy o kolegach po fachu, skąd więc to pytanie?

– O tym akta nie mówią... – odparł szybko, a kąciki jego warg lekko się podniosły. – Ale ludzie z wydziału zabójstw tak łatwo nie odchodzą.

– Jeśli musi pan wiedzieć – mówiła w drodze do przeciwległej kanapy – to z powodów zdrowotnych.

– Jakiś... wypadek podczas służby?

– Coś takiego... Postrzał w kolano. – powiedziała i poklepała się otwartą dłonią po lewej nodze – Rehabilitacja, według lekarzy, miała się ciągnąć latami. Mogłabym pracować co prawda za biurkiem, ale wie pan, to nie to... A „góra” łaskawie stwierdziła, że woli mi płacić emeryturę, niż czekać w nieskończoność na efekty leczenia.

Mężczyzna pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Oczekiwał pan ciekawszej historii? – spytała z nieukrywanym rozbawieniem.

Nie odpowiedział. Wyciągnął tylko paczkę papierosów i spojrzał pytająco w kierunku Beaty. Kiwnęła mu na zgodę. Wyciągnął jednego i spytał czy ona też ma ochotę.

– Nie, dziękuję. – odpowiedziała podsuwając mu popielniczkę. – Możemy przejść do konkretów? Co pana do mnie sprowadza?

Spojrzał na nią z zaciekawieniem, jakby starał się znaleźć jakiś przebłysk niepokojących myśli. Jakby była czemuś winna.

– Kiedy pani pracowała u nas w firmie... Poznała pani może komisarza Micińskiego z czwartego komisariatu?

– Tomka? – spytała, ale w odpowiedzi dostała tylko chłodne spojrzenie. – Tak, siedzieliśmy biurko w biurko... Ale ostatni raz widziałam go, jak byłem w szpitalu; będzie już ze trzy lata, jak nie mamy kontaktu... Czemu pan o niego pyta?



Wiśniewski nie odpowiedział, wciąż trzymając w ręku papierosa. Zaciągnął się parę razy, cały czas uważnie się jej przyglądając.

– Odpowie pan? – spytała zniecierpliwiona.

Inspektor wrzucił niedopałek do popielniczki, wyciągnął z płaszcza notatnik, wyprostował się na kanapie i odpowiedział pytaniem na pytanie.

– A może mi pani powiedzieć w takim razie, czemu chciał się z panią spotkać w ten piątek w „Enigmie”?

Beata zmarszczyła czoło, nie spuszczała jednak wzroku z policjanta. To wszystko brzmiało jak jakiś kiepski dowcip. Wstała i spojrzała na gościa z góry.

– Ze mną? Coś się chyba panu pomyliło... Nie miałam z nim kontaktu, podobno wyprowadził się dwa lata temu do Gdańska. Nie mam ani jego adresu, ani telefonu. – Przerwała w oczekiwaniu na wyjaśnienie. Nie otrzymała ich. – Odezwie się pan w końcu i mi to wszystko wytłumaczy? Nie przychodzi się do domu samotnej kobiety o 22, więc przynajmniej domagam się wyjaśnień! Jeśli nie powie pan, o co chodzi, jak Boga kocham, zawołam policję!

Wiśniewski dopiero w tym momencie spojrzał w jej kierunku, poprzednio sprawdzając coś w notatniku. A to spojrzenie nie było zbyt miłe.

– Ależ droga pani... - zaczął – to ja jestem z policji. I nie niepokoiłbym pani o tej porze, gdyby nie to, że... Jakby to powiedzieć... Pan komisarz Tomasz Miciński został znaleziony martwy w Parku Oliwskim. Tak, zgadza się, w Gdańsku.

Beata pobladła i bezwiednie opadła na kanapę.

– Ale... Czemu pan... mi to mówi?

Inspektor wstał, schował notatki do kieszeni.

– W kieszeni miał kalendarz z zapisanym pani numerem i wpisanym spotkaniem. Został znaleziony także bilet na pociąg do Warszawy na czwartek wieczór. Przyszedłem dać pani to – powiedział, kładąc na stole przed Beatą wezwanie na komendę. – Proszę także do wyjaśnienia sprawy nie opuszczać kraju, chyba że za zgodą sądu. Dziękuję i do widzenia. Sam zatrzasnę za sobą drzwi.

Doszedł do końca przedpokoju, gdy zatrzymał go głos Beaty.

– Przepraszam... Czy wiadomo, nad czym ostatnio pracował?

– Podobno narkotyki... Nic więcej nie mogę powiedzieć dla dobra śledztwa. Żegnaj panią.





## Michalina Biedrzycka

Beata dziwiło, że przedział był zupełnie pusty. Kończyła się majówka, dlatego w jej wyobrażeniu wszelkie środki komunikacji powinny przeżywać obłężenie. Przyjęła jednak nieco dziwną sytuację z ulgą – nikt nie lubi nachalnych towarzyszy podróży. Martwiło ją jednak, że nie było z nią nikogo, kto mógłby popilnować bagaży; w pośpiechu nie zdołała zrobić sobie niczego do jedzenia i miała nadzieję, że będzie mogła sobie kupić coś w Warsie, a nie miała ochoty przedzierać się przez kilka wagonów, ciągnąc za sobą torbę.

Opadła ciężko na wytarte siedzenie i schowała twarz w dłoniach.

”Czyste szaleństwo” – pomyślała, uśmiechając się sama do siebie. Dawno nie zrobiła niczego tak szalonego. Ku jej zdziwieniu, jakaś jej część tęskniła za tym – za ryzykiem, stawianiem wszystkiego na jedną kartę. Beata potarła nieco obolałe kolano. Mięśnie miała rozgrzane, a oddech nierówny, czuła przyjemny ból zmęczenia.

Wyjrzała przez okno. Pociąg opuszczał Warszawę. Budynki były coraz rzadsze, nocne niebo ciemne, pozbawione łuny bijącej od miasta oraz smogu. Widać było nawet kilka gwiazd. Oparła głowę o bordowy zagłówek i głęboko wciągała powietrze – czekając, aż rytm wdechów i wydechów się wyrówna, a płuca przestaną piec przy każdym oddechu. Gdyby miała coś do picia, zaspokoiłaby pragnienie, ale nie zdążyła spakować nawet butelki z wodą.

Położyła ciężką sportową torbę na kolanach i zajrzała do środka. Nie było w niej picia, ani jedzenia – były inne rzeczy, równie ważne, a jej zdaniem nawet ważniejsze. Ludzie często mówili, że Beata ma dziwny system wartości. Nie zdołała zapakować prowiantu, a jednak udało jej się zapakować „Studium w szkarłacie” i „Przygody Sherlocka Holmesa” Sir Arthura Conan Doyle’a oraz „Tajemniczą historię w Styles” Agathy Christie. Głód ciała pozostał, ale przynajmniej będzie miała czym zaspokoić głód duszy.

Pod książkami leżało trochę przypadkowych, zwiniętych w kłębek ubrań, a pomiędzy nimi schowany był rewolwer i kilka paczek naboii. Westchnęła z niezadowoleniem, zauważywszy, że nie wzięła żadnych kosmetyków. To nie był jednak żaden wielki problem – w Gdańsku w końcu też są sklepy.

Kamień spadł jej z serca, gdy znalazła w torbie najważniejszą rzecz – swój Dziennik. W starej książeczce o pożółkłych kartkach były opisane wszystkie chwile dla niej ważne, a to oznaczało, że były one w większości związane z pracą. Od zawsze marzyła o pracy w policji, i dawało jej to mnóstwo satysfakcji do czasu, aż... Na niemiłe wspomnienie poczuła klucie w kolanie.

Nie pisała nic w Dzienniku od czasu odejścia z "firmy". Teraz jednak znowu była na tropie. Kiedyś Dziennik był jej całym życiem, teraz – nieco zapomniany – był jak stary przyjaciel, którego nie widziała od dawna. Otworzyła go i przerzuciła kilka kartek. Początkowe zapiski dotyczyły dzieciństwa, małych dochodzeń, które prowadziła na swoim osiedlu i uważała za bardzo poważne. Te notatki czytane z perspektywy dorosłego sprowadzały na jej usta uśmiech. Doszła wreszcie do tekstu, pochodzącego już z czasów pracy w policji, którego szukała.

*„13 czerwca 2006 r., wieczór*

*...W związku ze sprawą porywacza o pseudonimie „Nemo” zmuszeni byliśmy (to znaczy ja i Tomek) pojechać nad morze – do Gdańska. Szukaliśmy poszlak w klubie, o którym wspominała jedna z odnalezionych – Agata M. – niczego jednak się nie dowiedzieliśmy. Wolałabym szukać w innych klubach, może byśmy się czegoś dowiedzieli, Tomek jednak twierdził, że możemy trochę odpocząć. Przez cały dzień zwiedzaliśmy Gdańsk – nie byłam tu od czasu wycieczki szkolnej w podstawówce (patrz s. 43 – poszukiwania skradzionej spinki) i miło mi było zobaczyć znowu to piękne miasto. Potem byliśmy w Parku Oliwskim. Po wizycie w muzeum etnograficznym siedzieliśmy pod palmiarnią i jedliśmy lody, kiedy Tomek nagle oznajmił, że chciałby się kiedyś ze mną umówić poza pracą. Nie bardzo go zrozumiałam, ale w końcu powiedział mi wprost, że mu się podobam. Odmówiłam mu, bo przecież nie powinniśmy mieć żadnej relacji o charakterze romantycznym, skoro oboje pracujemy w wydziale zabójstw. Byłoby to niemądre i narażałoby nas i resztę zespołu na niebezpieczeństwo w czasie akcji...”*

Na kartkę spadła ciężka, słona łza i kilka liter się rozmyło. Przerzuciła kilka kolejnych kartek do przodu.



*„23 sierpnia 2007 r., po południu*

*...Kiedy pojmałiśmy zabójcę, którym okazał się Stefan Cz., Tomek przekazał nam dobrą nowinę. Żeni się z Martą z administracji. Wszyscy są zaproszeni na ślub, który odbędzie się...”*

Wpisy dotyczyły głównie pracy, ale zdarzało się, że zawierały też inne informacje. O Tomku pisała w Dzienniku niezbyt wiele. Po tym ciepłym popołudniu w Parku Oliwskim Tomek nie wspominał ani słowem o sprawie, a potem był w wyglądającym na szczęśliwy związku z Martą, ale krążyły plotki, że dalej coś czuł do Beaty.

Beata była z natury samotniczką i introwertyczką, a Tomek był otwarty i towarzyski. Pomimo to dobrze się dogadywali, ale dla Beaty nie zdołał stać się kimś więcej niż kolegą z pracy. Smutno było jej na myśl, że nie żyje. Zнали się wiele lat i całkiem dobrze. Zaczęła żałować, że nie utrzymywała z nim kontaktu po odejściu.

Wyjęła z wewnętrznej kieszeni czarnej skórzanej kurtki czerwone wieczne pióro i zaczęła pisać.

*„6 maja 2013 r., prawie północ*

*Minęły ponad trzy lata od ostatniego wpisu. W tym czasie niewiele działo się w moim życiu. Nawet w najbliższej okolicy nie zdarzyło się nic wartego zapisania w Dzienniku Dochodzeń, aż do dzisiaj. Otóż w godzinach wieczornych, gdy oddawałam się lekturze, mój spokój zakłócił inspektor Jacek Wiśniewski z Komendy Głównej, mniej więcej trzydziestoletni, kawaler. Człowiek ten poinformował mnie o odnalezieniu ciała mego przyjaciela Tomka Micińskiego w Gdańsku, w Parku Oliwskim. Informacja ta zasmuciła mnie, gdyż Tomek był moim przyjacielem. Znalaziono przy nim kalendarz, w którym zapisany był mój numer telefonu oraz wpis dotyczący spotkania za mną w ten piątek w „Enigmie”, a także bilet na pociąg do Warszawy na czwartek wieczór. O spotkaniu nic nie wiedziałam, w ogóle nie miałam kontaktu z Tomkiem od czasu mojego odejścia z pracy. Wiadomo mi jedynie, że jakieś dwa lata temu wyprowadził się do Gdańska. Dostałam wezwanie na komendę na piątek, ale raczej się tam nie pojawię, ponieważ wstąpiłam na drogę dochodzenia na własną rękę. Gdy tylko inspektor opuścił mój dom, sprawdziłam najbliższe połączenie do Gdańska i nie mając zbyt wiele czasu na spakowanie się ruszyłam na dworzec. Jadę teraz do Gdańska, spodziewany czas przyjazdu to godzina 5:26.”*

Skończyła pisać i odłożyła Dziennik do torby. „Czeka mnie ciężki dzień” – pomyślała. Położywszy się wzdłuż siedziska, oparła głowę na torbie. Rewolwer ją uwierał, przełożyła go więc do kieszeni w granatowym płaszczku; poczuła, że ciężą jej powieki. Usypiana stukotem kół na szynach i odległymi odgłosami rozmów w innych przedziałach, poddała się i pozwoliła swojemu umysłowi odpocząć.

Ψ

Obudził ją dźwięk otwieranych drzwi przedziału. Nieco zaspana, spojrzała na szpakowatego mężczyznę w czarnym kapeluszu.

– Dzień dobry – powiedział głębokim, niskim głosem. – Nie chciałem pani budzić.

– Nie szkodzi – zapewniła go i usiadła.

Zrobiło się chłodno. Taki był urok pociągów – zawsze było za ciepło lub za zimno. Mężczyzna, który siedział sztywno wyprostowany naprzeciwko niej, ubrany był w długi, sięgający za kolana, skórzany płaszcz. I dalej miał na głowie kapelusz.

Zdjęła swoje okrycie z haczyka, narzuciła je na ramiona. Towarzysz podróży siedział bez ruchu i świdrował ją wzrokiem. Zaniepokojona, sprawdziła, czy wszystkie guziki bluzki są zapięte. Może ma rozmazany makijaż?

Spojrzała na elegancki zegarek na delikatnej, srebrnej bransolecie – prezent pożegnalny od zespołu dochodzeniowego. Była godzina druga trzydzieści cztery. Żołądek przypomniiał Beacie burczeniem, że nie miała nic w ustach od kilku godzin. Miała też ochotę zapalić. Przy oknie widziała naklejkę „zakaz palenia”. Westchnęła i wyjęła z kieszeni spodni pastylki miętowe z nikotyną, łudzac się, że w ten sposób zaspokoii obydwie potrzeby.

Ssała powoli tabletkę. Czowała na sobie wzrok tajemniczego mężczyzny.

– Czy popilnowałby pan kilka minut mojego bagażu? – spytała po chwili niezręcznej ciszy. Postanowiła przejść się i rozprostować nogi. Może zdołałaby kupić coś do jedzenia.

– Ależ nie ma problemu – odpowiedział.

Wyszła na korytarz. Zastanowiła się, czy zdążyłaby znaleźć wagon dla palących i zapalić. Oprócz niej na korytarzu stała jedynie kobieta opierająca się na kuli, rozmawiająca przez telefon. Miała sięgające do ramion rude włosy, ubrana była w czarny sweter i spódniczkę w tym samym kolorze, spod której wystawał sięgający aż do kostki gips. Beata, chociaż wcale nie zamierzała, podsłuchiwała jej rozmowę.



111

Stadium  
w bieli



– Andrzej był już w mieszkaniu. Mówi, że od kilku dni nikogo tam nie było, ale wyglądało na opuszczone w pośpiechu. Ponoć na blacie leżał lekko nadpleśniały już bochenek chleba z dwoma odciętymi kromkami. O-on – jej głos się załamał – n-nie zostawiłby tak tego. P-przecież go znasz.

Beata przyglądała się nieznajomej. Kiedy kobieta, zapewniwszy rozmówcę, że właśnie jedzie i za kilka godzin będzie na miejscu, rozłączyła się i odwróciła w jej stronę, ona była prawie pewna.

– Marta? – spytała. Twarz dawnej koleżanki z pracy wyglądała, jakby kobieta, odkąd ostatni raz się widziały, postarzała się o co najmniej dziesięć lat. Jej duże, brązowe oczy, obecnie zaczerwienione i opuchnięte, otaczała gęsta siateczka zmarszczek.

– Beata? – powiedziała z niedowierzaniem. – Co tu robisz?

– Słyszałam o Tomku...

– Wyjechałam na kilka dni... Z-zapewniał, że wszystko będzie d-dobrze, ż-że ma wszystko pod kontrolą, a j-ja m-mu uwierzyłam, b-byłam taka głupia.

Beata, działając instynktownie, podeszła do kobiety i położyła jej dłoń na ramieniu. Przyjrzała się jej nodze.

– Drobnym wypadkiem przy pracy – tajemniczo stwierdziła Marta, widząc jej ciekawość.

– Jesteś sama? – spytała Beata. Marta pokiwała głową przytakująco.

– Może przysiądziesz się do mnie w takim razie? Mój przedział jest prawie pusty.

Wdowa wydawała się zadowolona z takiego obrotu sprawy. Obydwie poszły więc do przedziału Marty, w którym drzemało pięcioro nastoletnich harcerzy. Lawirując pomiędzy ich dużymi plecakami rozrzuconymi na całej, niewielkiej zresztą, powierzchni podłogi, kobiety zebrały rzeczy Marty.

Wtedy Beata usłyszała trzask zasuwających się drzwi. Miała nagłe przeczucie. Nie mówiąc nic Marcie, wybiegła na korytarz i pognąła w stronę swojego przedziału.

Dziwnego mężczyzny nie było. Jej ubrania leżały rozrzucone na podłodze i kanapie, a para zielonych rajstop, które chyba trafiły do torby zupełnym przypadkiem, zwisała smętnie z półki na walizkę. Ku ubolewaniu Beaty książki też zostały wyrzucone z torby, leżały grzbietami do góry na podłodze. Brakowało Dziennika.

Beata przekłęła głośno. Wyjrzała na korytarz. Mężczyzna musiał być w pociągu. Ekspres nie zatrzymywał się zbyt często. Włożyła rękę do kieszeni i zacisnęła palce na rękojeści rewolweru. To ją nieco uspokoiło.

– Co się stało? - Marta przyciągnęła z trudem swoje bagaże i z przerażeniem patrzyła na rozrzucone rzeczy Beaty.

– Zostałam okradziona...

Beata poczuła dziwną pustkę. W Dzienniku opisała całą swoją karierę z ogromną dokładnością i regularnością. Włożyła w to całe swoje serce. Dzieło jej życia przepadło.

Nie do końca. Była jeszcze szansa.

– Wybacz, ale muszę kogoś znaleźć – powiedziała Marcie, zebrała ubrania, rzuciła je zwinięte w kłęb na siedzenie. Schyliła się, podniosła turlające się po ziemi pióro i dała je do ręki nieco oszołomionej Marcie, po czym wyszła.

Ruszyła w pogoń.







## Agata Kawka

**B**iegła, zaciskając kurczowo palce na rewolwerze. W nawale myśli przetaczających się właśnie przez jej głowę powracał co chwila obraz mężczyzny, który prawdopodobnie ją okradł – skórzany płaszcz, czarny kapelusz, szpakowate włosy. Postanowiła znaleźć konduktora, nie mogła przecież przeszukiwać po kolei każdego przedziału.

„Nie mógł wyskoczyć z jadącego pociągu, musi tu być” – myślała, przemierzając kolejne metry. – „Ukradł Dziennik, ma coś wspólnego ze sprawą Tomka...”

Narastała w niej wściekłość, nie tylko z powodu kradzieży tak cennych dla niej zapisków, ale i dlatego, że cała lekkość i świeżość umysłu, z jakimi zwykła działać, gdzieś zniknęły. Wtem Beata z impetem wpadła na mężczyznę wychodzącego z przedziału.

– Ała, proszę uważać ! – warknął wściekle.

Kobieta spojrzała na niego i odetchnęła, widząc mundur konduktora.

– Dzień dob... Dobry wieczór. Przed chwilą mnie okradziono, a złodziej prawdopodobnie znajduje się jeszcze w pociągu.

– Jak to się stało ? – zapytał nieco burkliwie kanar. Był koło pięćdziesiątki, średniego wzrostu, ze sporym piwnym brzuchem, miał przeredzone nad czołem, brązowe włosy i małe, przekrwione oczka.

– Do mojego przedziału wsiadł mężczyzna, poprosiłam go o opiekę nad bagażem i poszłam po coś do jedzenia – wyrzuciła z siebie na jednym oddechu. – Wróciłam, zobaczyłam moje rzeczy porozrzucane... Zginął tylko mój dziennik, mam tam zapisane ważne informacje...

– Aż takie ważne ? – mruknął konduktor. Nie wyglądał na zainteresowanego sprawą.

– Jestem policjantką w stanie spoczynku! – Beata ledwo powstrzymała się od krzyku.

– Jak zwykle, kiedy baba jedzie sama... Nie dopilnowała, a teraz tragedia...

– Proszę zacząć działać! – wrzasnęła, nie dbając już o to, że może obudzić innych pasażerów... – I nie życzę sobie takich komentarzy!

– A co ja mam niby zrobić? – burknął grubas.

– Nie zna pan procedur?! – zapytała kobieta po krótkiej chwili, gdy już otrząsnęła się z szoku.

– A co ja mogę, pani? Musimy iść z tym do kierownika pociągu. No, chodźmy.

## Ψ

Chwilę potem Beata stała przed kierownikiem pociągu – wysokim, szczupłym mężczyzną, który przypominał jej Clarka Gable'a z „Przełminęło z wiatrem”. Znajdowała się w służbowym przedziale. Zdziwiły ją nowe meble, ogromna plazma na ścianie oraz piękne bukiety żonkili w kilku wazonach. Na jednym z wyściełanych foteli spała młoda blondynka, przykryta kraciastym kocem; przy niskim, kawowym stoliku siedział rudy, wąsaty karzeł w konduktorskim mundurze, trzymając w dłoniach tablet; na kanapie naprzeciwko niego dwóch rosyłych blondynów grało w karty.

– Więc zginął pani tylko dziennik, prawda? Bardzo mi przykro, ale nie mogę zatrzymać teraz pociągu ani nie zatrzymać go na stacjach.

– Jak to? – zapytała krótko i treściwie, wzrokiem dając kierownikowi do zrozumienia, że jej zdaniem oszalał.

– Takie są przepisy. Oczywiście zaraz wyślę moich ludzi, żeby sprawdzili przedziały, szukając kogoś o podanym przez panią rysopisie...

– Ale... jak to ?

– Jeśli zginął jedynie pani pamiętnik... niska szkodliwość czynu.

– Panie... – tu urwała, usiłując sobie przypomnieć jego nazwisko. Oczywiście, przedstawiał się jej, gdy weszła, ale nie przywiązała do tego większej wagi.

– Mikołajczak. Jan Mikołajczak – odpowiedział mężczyzna po chwili ciszy, zakłóconej tylko przez stłumiony stukot kół na szynach.

– Panie Mikołajczak, są tam zapisane naprawdę ważne informacje – nazwiska, daty, adresy... Gdyby dostał się w niepowołane ręce... Muszę odzyskać mój Dziennik.

– Jest pani w stanie spoczynku, prawda?

– Czy to ma znaczenie? – wrzasnęła Beata, nie poznając samej siebie. Rzadko podnosiła głos, jednak w ciągu ostatniej doby zdarzało się



to jej nader często. – Marnujemy czas, złodziej ma coraz większą szansę uciec!

Przypominający słynnego aktora pracownik kolei, obudziwszy jasnowłosą dziewczynę, przekazał podwładnym instrukcje dotyczące przeszukiwania przedziałów.

– Jarek, idź z Florianem na sam tył. – Jeden z blondynów skinął na rudego karła i wyszli. – Marek, ty z Iwoną przeszukaj wagony sypialne.

– Drugi blondyn oraz dziewczyna opuścili pomieszczenie. – Panie Zygfrydzie, niech pan idzie do wagonu restauracyjnego, a ja zajmę się środkiem pociągu.

– Idę z panem – oświadczyła Beata. Nie ufała żadnemu z tych ludzi, odnosiła wrażenie, iż starają się nie dopuścić, by złodziej został schwytany. Kierownik pociągu zmierzył ją wzrokiem.

– Dobrze. Proszę bardzo.

Pozwoliła mu iść przodem, znów zacisnęła palce na rewolwerze. Mikołajczak zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi do jakiegoś przedziału, spojrzął na nią i z impetem je otworzył. W środku drzemały trzy starsze panie.

– Idziemy dalej.

Wejście Beaty z Mikołajczakiem do następnego przedziału przerwało jego pasażerom burzliwą rozmowę. Była to grupka mężczyzn w różnym wieku, ubranych w eleganckie garnitury; aż podskoczyli, gdy otworzyły się drzwi. Na półkach spoczywały drogie walizki, jedna z nich stała otwarta na podłodze, zawierała mnóstwo książek, papierów, teczek i tym podobnych.

– Czego sobie państwo życzą? – zapytał jeden z biznesmenów z silnym rosyjskim akcentem, błyskając złotym zębem. Beata przyjrzała się wszystkim mężczyznom – żaden z nich nie przypominał złodzieja.

– Nie ma go tu – powiedziała do Mikołajczaka.

– Więc może państwo opuszczą nas, mamy sprawę do omówienia – zaproponował posiadacz złotego zęba. – Mamy problem, z powodu głupoty jednej osoby brakuje nam bardzo ważnego dokumentu...

– Iwan, zamknij się! To i tak twoja wina! – krzyknął jeden z pasażerów, gwałtownie wstając i wyrzucając ręce do góry, przez co trzymana przez niego książka poszybowała pięknym łukiem prosto w twarz Beaty. Kobieta na szczęście zdążyła się uchylić.

– Przepraszam najmocniej, nie chciałem... - zaczął facet, jednak ona nie słuchała przeprosin. Podniosła tomik i spojrziała na okładkę: czerwone znaki na czarnym tle układały się w krótkie wyrazy. Nie był to

alfabet łaćiński. Wymyślne zawijasy nie nasuwały jej na myśl żadnego języka. Gdyby musiała strzelać, obstawiałaby hindi. Zaintrygowana, otworzyła książkę. Lekko poźółkłe strony mocno pachniały jakąś korzenną przyprawą, ich treść nadal była dla niej zagadką.

– Co to za język? – zapytała, gdy jeden z mężczyzn szybkim ruchem zabrał ów tajemniczy przedmiot.

– Ach, to! Nieważne – zaśmiał się nieszczerze, chowając książkę za plecami. Pozostali pasażerowie milczeli, patrząc na Beatę ze źle ukrywaną wrogością.

– Dobranoc państwu – rzekł Iwan.

Ψ

– Mówię ci, Marta, tu się dzieje coś bardzo dziwnego – westchnęła Beata, siadając obok znajomej w przedziale. Czuła się potwornie zmęczona, kolano dokuczało jej po nocnej bieganiu, a na dodatek migrena dosłownie rozsadzała czaszkę. Zmusiła kierownika pociągu do sprawdzenia z nią całego ekspresu, a złodziej jakby rozpląnął się w powietrzu. Dałaby wszystko za osiem godzin spokojnego snu, porządne śniadanie i papierosa, na szczęście była już prawie u celu podróży.

– Nic innego nie zabrał, tylko ten dziennik? – upewniła się Marta.

Beata kiwnęła głową. Wszystkie książki, ubrania, a nawet magazynki spoczywały na ziemi w sąsiednim przedziale, zamkniętym do czasu, aż policja zdejmie odciski palców. Przyłapała się na myśli, iż wolałaby paść ofiarą zwykłego kieszonkowca, który zabrałby jej portfel – przynajmniej nie czułaby się jak w jakimś niskobudżetowym kryminale.

– Boję się – wyznała Marta. – Ta sytuacja... i do tego jeszcze ta kradzież...

– Spokojnie – odpowiedziała mechanicznie Beata. – Wszystko się wyjaśni... – dodała niezbyt przekonująco. Sama w to nie wierzyła.

Ekspres zaczął powoli wyhamowywać...





## Mikołaj Głazowski

Poczuła, jak siła hamowania ją przechyla, po nieprzespanej nocy łatwo się jej poddała. Z trudem przebijając wzrokiem szarość za oknem dojrzała tabliczkę na sąsiednim peronie – Tczew. Jeszcze jakaś godzina jazdy. Chłód powoli zaczął ją przenikać, adrenalina poszukiwań powoli stygła, a razem z adrenaliną stygło ciało. Podciągnęła sweter pod samą brodę.

Ciszę przerwało głębokie pociągnięcie nosem – Marta oparta o międzygłówek spokojnie drzemała. Nie będę spać – powiedziała sobie Beata. Postój się przedłużał, widocznie koledzy nie bardzo się spieszyli ze zbieraniem odcisków. Cichy szmer oczekującego pociągu działał niczym usypiająca mantra :

ZAŚ-NIJ-ZAŚ-NIJ-ZAŚ-NIJ-ZAŚ-NIJ-ZAŚ-NIJ-ZAŚ-NIJ-ZAŚ-NIJ-ZAŚ-NIJ-ZAŚ-NIJ-ZAŚ-NIJ-ZAŚ-NIJ-ZAŚ-NIJ.

– Nie! – powiedziała głośno i wyraźnie, aby przekonać samą siebie.  
– Nie zasnę!

Wstała, krew nagle spłynęła z głowy. Czarno przed oczami, ręka na ślepo znalazła podparcie. Beata poczekała, aż wszystko wróci do normy. Gdy znów podniosła oczy, wokół zaszła jakaś subtelna zmiana, bardziej wrażenie, niż odczucie, szarość przedświt jakby zgęstniała. Pierwsze kroki po zamroczeniu, jeszcze niepewne, Beata skierowała do swojego przedziału. „Nie będę budzić Marty, wezmę swoją etopiryne.” – pomyślała.

Paru policjantów krzątało się po przedziale, robiąc zdjęcia z mocnym, oślepiającym fleszem. Ich mundury wyglądały jakoś staromodnie. W przerwie między dwoma funkcjonariuszami Beata dostrzegła ślady kredy. Dopiero wtedy zwróciła uwagę, że przedział jest dziwnie przestronny. Przecież normalny przedział nie pozwala, aby pięć osób tak swobodnie się poruszało. Jeden z mundurowych nagle się odwrócił, spojrzał głębokimi, ciemnymi oczami prosto w oczy Beaty.

– Dzień dobry – zaczęła rozmowę, nieco zbity z tropu jego spojrzeniem. – To mój przedział, chciałam tylko zabrać...

Nic nie odpowiedział, tylko gwałtownie zasunął zasłonę. Zdziwiona ruszyła korytarzem. Odchodząc pochwyciła jeszcze tylko gwar dochodzący z tamtego przedziału. Gwar w języku, którego nigdy nie słyszała.

Ψ

Pociąg cały czas stał. Beata rozbita, zmęczona i poirytowana poszła przejściem przed siebie. Korytarz jak korytarz – po lewej stronie okna i drzwi siedzącego przedziałów, wszystkie o tej porze zasłonięte brykami zasłonami i zamknięte na cztery spusty. Po prawej rząd okien, pokazujących coraz głębszą ciemność. Dziwną. Ciemność nieprzebraną, nawet latarnie nie rozświetlały mroku. Beata miała wrażenie, że niewystarczająco się temu dziwi. Nagle nawiedziło ją wspomnienie dziwnych biznesmenów – tak nagle, że od razu doszła do prostego wniosku: to oni maczali w tym palce. Sięgnęła do kieszeni – dotyk chłodnej lufy rewolweru utwierdził ją w tym przekonaniu. Ruszyła pewnym krokiem.

– Tyle stoimy, bo to duża stacja – zaczęła dodawać sobie otuchy, mówiąc do siebie pokrępiająco. – Muszą się konduktorzy zmienić, pewnie ci policjanci nie będą chcieli dalej jechać – Na wspomnienie tamtych głębokich, świdrujących oczu przeszedł ją zimny dreszcz. – Marta spokojnie śpi, nic jej nie zagraża. Ja spotkam się z tymi panami, zamienię z nimi parę słów i wszystko wróci do normy.

Ψ

Wróci do normy? Przecież wszystko jest w porządku – poprawiła się w myślach. Dopiero teraz zauważyła, że idzie od paru minut, a odległość tylko się wydłuża. I znów zdziwiło ją to nie tak bardzo, jak powinno. Poczula jednak, że ktoś ją obserwuje. Szybki rzut oka za siebie.

Pusto.

Nikogo.

Pusto i cicho.

Wszystkie okna pokazują to samo – nicość, wszystkie przedziały zasłonięte, zamknięte. Nagle pociągiem szarpnęło. Beata się zachwiała, poczuła siłę bezwładności przechylającą ją do tyłu. „W końcu coś normalnego, pociąg ruszył” – pomyślała, przecierając złane potem czoło. Teraz, czując opór, pewniej ruszyła do przodu. Najważniejsze to się nie zatrzymywać. Cały czas iść do przodu. Z zamyślenia wyrwał ją chrzęst pod stopami. Podniosła kawałek kolorowego szkła.



119

Stadium  
w bieli





Kolorowego to złe określenie – takiej barwy w życiu jeszcze nie widziała.

Trzymając szkiełko zajrzała do przedziału przez dziurę w szybie. Ból głowy momentalnie ściął ją z nóg, rzucił na kolana.

Ψ

Ocknęła się w zupełnej ciemności. Spojrzała przed siebie, stał przed nią ów nieuchwytny jegomość w płaszczu.

– Ty! - krzyknęła co sił. – Oddawaj mój dziennik, podły złodzieju!

Przybysz odchylił poły płaszcza, ukazując skórzany gorset, ciasno opinający pasami jego tors. Wnętrze płaszcza było niczym nocny nieboskłon, który nie pokazywał jednak żadnych znanych byleż policjantce gwiazd.

– Pragniesz odzyskać co twoje? – zapytał mężczyzna głosem głębokim niczym piekielne otchłanie i wyciągnął do swej rozmówczynie dłoń. – Znajdziesz mnie tam, gdzie pomordowani zamknęci w pierścieniu.

Dopiero teraz Beata zauważyła, że jego opuszki są gładkie, jakby skąpane w kwasie. Za sobą usłyszała cichą inkantację w tamtym melodyjnym, a tak obcym języku. Obejrzała się, Marta unosiła się za nią z rękami wyciągniętymi na boki. Jej włosy pływały jakby w wodzie, a twarz jaśniała niesamowitym wewnętrznym światłem. Całe nagie ciało Marty pokryte było tamtym nieznanym pismem, które czarnymi arabeskami odbijało się na jej mlecznobiałej skórze.

– Musisz go odnaleźć! – odezwała się Marta chórem, jakby nie jedna, a setka jej stała w tym miejscu. – On jest kluczem!

Ψ

– B eata! – Ktoś szarpnął ją delikatnie. Otworzyła oczy, uświadomiła sobie mętnie, że właśnie została obudzona. To znaczy, że zasnęła. – Już jesteśmy w Gdańsku – Marta, teraz w swoim żałobnym stroju i tylko trochę rozczochrana, wskazała za okno na oddalający się peron „Pruszcz Gdański”.

– Co? – Beata zaspana ziewnęła. - Ile spałam, kiedy zasnęłam?

– Zasnęłaś tuż przed Tczewem – zatroskała się przyjaciółka. – Musiałaś mieć potworny koszmar, całą tobą rzucalo.

– Co z moimi rzeczami ?

– Wszystkim się zajęłam, wszystko spakowałam. Policja sprawdziła każdy zakamarek, jednak znaleźli odciski tylko jednej osoby.

– Mówiłam coś przez sen?



– Najpierw jakbyś kogoś wołała, potem coś, że ja śpię, że wszystko będzie dobrze. – Marta wyglądała na bardzo przejętą. – A jakieś pół godziny temu nagle otworzyłaś oczy i powiedziałaś głośno, że jakiś „on” jest jakimś kluczem.

– Jezuu... To był naprawdę dziwny sen... – Beata podparła głowę z niedowierzania.

– Ale na całe szczęście to tylko sen – pocieszyła ją Marta.

Ψ

Razem wysiadły na stacji Gdańsk Główny. Piękny, orzeźwiający poranek, inne powietrze zadziało kojąco na ich nerwy. Przed budynkiem, w chwili nieuwagi, Beata wpadła na wysokiego blond brodacza.

– O! Najmocniej panią przepraszam... – urwał, przyglądając się uważnie. – Beata! – zawołał i rzucił się do serdecznych uścisków.

– Adrian?! – odpowiedziała Beata podobnym okrzykiem radości. – No proszę, proszę, mój towarzysz z ławki ze szkoły policyjnej. Kto by się spodziewał?

– Czego tu nad morzem szukacie, moje drogie dziewczuszki? – Zapytał radośnie Adrian po krótkiej prezentacji. Kobiety szybko i konkretnie streściły mu wydarzenia ostatnich dni – Marta powiedziała o swoim mężu, Beata o wizycie kolegi z komendy i swej podróży.

– Moje najszczęszone kondolencje – Brodacz spochmurniał. – Słyszałem o tym, byłem zszokowany. Znam raczej same gazetowe informacje. Nie jestem już „w branży”, zrezygnowałem ze służby, na tę chwilę działam bardziej prywatnie, mam czas, chętnie wam pomogę. Podrzucimy wasze bagaże do hotelu, zjemy coś i zapraszam do mojego biura, to wszystko zaplanujemy – powiedział prowadząc Martę i Beatę w stronę parkingu.

Ψ

Martę odwieźli do hotelu po obiedzie, miała do załatwienia jeszcze mnóstwo formalności związanych ze śmiercią męża. Całodniowe omawianie sytuacji, planowanie działań, szukanie sposobów i kontaktów mocno zmęczyło pozostałą dwójkę towarzyszy. Po wspólnej kolacji zadziwiająco serdeczny Adrian podrzucił Beatę do jej lokum. Pożegnali się ciepło, lecz szybko. W pokoju Beata, gdy tylko zobaczyła łóżko, poczuła przemożną sennność. Wyrzuciła ciężącą w kieszeni broń na stół i padła w ubraniu na posłanie. Nagle coś boleśnie ukuło ją w bok. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła kawałek szkła.

Szkła w kolorze niepodobnym do żadnego innego.



121

Stadium  
w bieli





## Mikołaj Cackowski

„Jakieś dziwne to szkło...” – pomyślała Beata. Sięgnęła po swoją sportową torbę i zaczęła ją energicznie przetrząsać, przez co ze środka wypadło małe lustro i rozbiło się o podłogę. Nie przejęła się tym, zdecydowała, że posprząta rano. W końcu znalazła to, czego szukała: niewielką lupę. Sama nie wiedziała, dlaczego przed wyjazdem ją tam wrzuciła, jednak okazało się, że nie była to zła decyzja. Przyłożyła ją do oka i zbliżyła doń szkło. Badala je centymetr po centymetrze, aż w końcu dostrzegła niewielki napis.

Trzy słowa. Znał je chyba każdy.

„Made in China”

Tyle zachodu z powodu zwykłego chińskiego szkła! Dlaczego je wtedy podniosła z ziemi? Chyba dlatego, że zafascynowała ją ta osobliwa barwa...

„No cóż... Fascynacja fascynacją. Mija” – powiedziała sobie w duchu i wyrzuciła szkło. Umościwszy się wygodnie na łóżku, zaczęła analizować swoją podróż.

Szpakowaty facet pojawił się w przedziale i zgodził się popilnować jej bagażu, podczas gdy ona poszła coś zjeść i zapalić. Po drodze spotkała Martę opierającą się o kuli. Skąd ta kula? Czy miało to coś wspólnego z owym tajemniczym wyjazdem, podczas którego miało miejsce zamordowanie Tomka? Marta mówiła zdaje się o małym wypadku przy pracy. Beata zanotowała sobie w pamięci, żeby dowiedzieć się od koleżanki szczegółów. Do jej przedziału wróciły razem. Swoje rzeczy, a zwłaszcza książki, znalazła potraktowane w godny pomsty sposób. Pogłaskała czule śliską okładkę „Studium w szkarłacie”.

Z przedziału zniknęły dwa obiekty: szpakowaty facet i jej Dziennik.

Wszystko wskazywało na to, że to ten mężczyzna ukradł jej Dziennik. Beaty nie było w przedziale tylko chwilę, przy czym większość tego czasu spędziła na korytarzu, tylko moment w przedziale Marty, gdy

poszły po jej rzeczy, więc prawdopodobieństwo tego, by w tak krótkim czasie tamten facet wyszedł, a ktoś inny wszedł, zrobił raban, zabrał Dziennik i wyszedł niezauważony, równało się zeru.

To musiał być ten szpakowaty. Na jego niekorzyść świadczył również fakt, że tak nagle zniknął. Szukała go przecież nie tylko ona, ale także obsługa pociągu. Nikt go nie znalazł, więc wnioski nasuwał się sam: uciekł. Może oknem?

Ale po co był mu potrzebny jej Dziennik? Beata mogła się tylko domyślać. Jeśli był jakoś powiązany z morderstwem, potrzebował pewnie jakichś informacji. W końcu pracowała z Tomkiem, mógł się o tym jakoś dowiedzieć. Fakt, wpisów o Tomku nie było wiele. Zagadką pozostawała informacja, której szpakowaty szukał.

Podczas przeszukiwania pociągu trafiła na przedział tajemniczych rosyjskich biznesmenów. Mieli książkę w jakimś egzotycznym języku. „Cóż, to nie zbrodnia” – pomyślała. Nocą w pociągu doszła do wniosku, że musieli maczać palce w kradzieży jej Dziennika, jednak teraz stwierdziła, że to głupota. Przyrzekła sobie nie wracać więcej myślami do tych Rosjan i ich książki. To sen podsunął jej ten pomysł. We śnie człowiek robi i myśli różne rzeczy, przecież nie można tego traktować poważnie!

Jednak zatrzymała się przy śnie. Nie dawał jej spokoju. Był dziwny, bardzo dziwny. Pojawiło się i pismo w dziwnym języku z książki Rosjan, i kolorowe szkło... Wyczytała kiedyś, że mózg podczas snu wytwarza obrazy przedmiotów i ludzi, których dany człowiek widział przynajmniej raz w życiu. Teraz miała na to dowód. Doświadczyła tego na własnej skórze. To, że sen nie miał żadnego szczególnego znaczenia, wiedziała od razu. W końcu sny zawsze pozostaną snami – nie mają wpływu na świat realny.

Adrian... Dobry kumpel, jeszcze ze szkoły policyjnej. Całe lata go nie widziała. Skąd on się wziął tak wcześnie na dworcu i to akurat wtedy, gdy właśnie wysiadła z pociągu i potrzebowała pomocy w poszukiwaniach? Zgodził się bez wahania – ba: sam to zaproponował, chociaż to niemożliwe, żeby przyszedł sobie na dworzec o piątej rano. Ot tak, dla rozrywki. Coś tu śmierdziało i nie był to bynajmniej duży pluszowy pingwin stojący w rogu pokoju, zostawiony zapewne przez nieuważne dziecko poprzednich gości hotelu.

„Adrianowi też trzeba zadać kilka pytań – pomyślała – zajmę się tym jutro. A teraz lektura”.

Otworzyła „Studium w szkarłacie” na stronie zaznaczonej zakładką i zaczęła zaspakajać głód, który już od kilku godzin męczył jej duszę. Przeczytała kilkanaście stron, lecz stwierdziła, że jest zbyt zmęczona.





„Przepraszam, chłopaki – zwróciła swe myśli ku Holmesowi i Watsonowi – Muszę rozwiązać własną sprawę, dołączę do was potem”. Z niemal pobożną ostrożnością odłożyła książkę na szafkę nocną i zasnęła.

Ψ

Jedząc śniadanie w hotelowej restauracji Beata zdała sobie sprawę z kolejnego faktu: w ferworze podróży i afery spowodowanej utratą Dziennika zaczęła spokojniej myśleć o śmierci Tomka. Był kiedyś jej przyjacielem, fakt. Ale nie miała z nim kontaktu od trzech lat. Trzeba żyć dalej. Potrzebowała zdolności chłodnej oceny sytuacji, żeby poprowadzić śledztwo do końca. A musiała zrobić to na własną rękę, bo wiedziała, że policja działa zbyt oficjalnie, przez co ich działania z góry są skazane na porażkę, tymczasem zaś ona, jako osoba prywatna, miała więcej możliwości. Poza tym czuła, że jest to winna Tomkowi.

Co więcej – jak się domyślała – była jedną z głównych podejrzanych. Gdyby tak nie było, inspektor z Komendy Głównej, Jacek Wiśniewski we własnej osobie, nie przyszedłby, żeby zaprosić ją na piątkowe przesłuchanie. Musieli mieć na nią coś mocnego. Coś, co Wiśniewski przed nią oczywiście zataił.

Zaczęła rozważać powrót do Warszawy w piątek. Była środa, miałyby więc jeszcze dwa dni w Gdańsku. Wypadałoby się dowiedzieć, czego policja właściwie od niej chce. Potem mogłaby dalej prowadzić swoje śledztwo. Swoją drogą, Tomek chciał się z nią spotkać w „Enigmie”. Też w piątek. Tam również dobrze byłoby zajrzeć. Rozważała jeszcze chwilę wszystkie za i przeciw, po czym stwierdziła, że zdecyduje wieczorem. Teraz musiała rozmówić się z Martą i Adrianem.

Wyszła z hotelu.

Ψ

Dzień był typowo majowy: nie za gorący, nie za zimny – po prostu ciepły. Słońce od czasu do czasu zasłaniały chmury, jednak nie zanościło się na deszcz. Mieszkańcy Gdańska, zajęci swoimi sprawami, maszerowali po mieście lub relaksowali się na ławkach na miejskich skwerach. Beata zaś przyspieszonym krokiem zeszła do tunelu koło City Forum i skręciwszy w prawo przy Empiku wpadła na... szpakowatego mężczyznę w długim płaszczu.

Był raczej wysoki, a czarny kapelusz dodawał mu wzrostu. Oczy mężczyzny były szare i bardzo zmęczone. Widać było, że nie spał co najmniej przez dwa ostatnie dni. Skórzany płaszcz był nieco poszarpany, ale dobry krawiec poradziłby sobie z nim bez problemu.

Beata zamarła. Nie mogła wykształcić słowa.

– Wszędzie pani szukałem – odezwał się w końcu jako pierwszy. – Młodszy inspektor Dominik Grzegorzek z Główniej Komendy Policji w Warszawie – przedstawił się.

– Przysłał pana Wiśniewski – stwierdziła rzeczowo Beata. – Po co?

– Czuliśmy, że nie zjawi się pani na przesłuchaniu i rozpocznie własne śledztwo. Trzeba było mieć na panią oko, a ja zostałem do tego oddelegowany. W każdym razie, jeśli myślała pani, że jest podejrzana, to chciałbym poinformować panią, że chcieliśmy ją tylko przepytąć w charakterze świadka. Byliśmy jeszcze wtedy pewni, że pani wiedziała o spotkaniu z ofiarą, a zeznania, które złożyła pani inspektorowi Wiśniewskiemu zbiły nas z tropu.

Beata milczała.

– Winien jestem pani przeprosiny – powiedział młodszy inspektor ku jej zdziwieniu. – Nie przypilnowałem pani rzeczy jak należy, chociaż obiecałem – uśmiechnął się smutno. – Na swoje usprawiedliwienie powiem, że otrzymałem to zadanie niespodziewanie. Byłem na zwolnieniu lekarskim. Grypa żołądkowa. Zaraz po pani wyjściu z przedziału wybiegłem do toalety. Wracając, w drzwiach zastałem obcego mężczyznę, a za jego plecami pani rzeczy rozrzucone po podłodze i kanapie. W jego ręku dostrzegłem książeczkę. – Beata wstrzymała oddech. – Zdecydowanym i szybkim ruchem mu ją wyrwałem, przeczuwając, że należy do pani. Złodziej, niestety, umknął. Zaskoczony moim nagłym zjawieniem, nie wiedział chyba, co zrobić i zamiast walczyć o swoją zdobycz, po prostu uciekł. Ja natomiast schowałem książeczkę do kieszeni i znowu pobiegłem do toalety. Wziąłem ją ze sobą na wszelki wypadek, gdyby tamten wrócił.

Beata słuchała tej historii z otwartymi ustami. Jeszcze pół godziny wcześniej ten człowiek był głównym podejrzanym, a teraz okazał się jej sprzymierzeńcem.

– Na jakiej podstawie mam panu uwierzyć? – wykszusiła z siebie. Młodszy inspektor Grzegorzek uśmiechnął się, wyciągnął portfel z kieszeni i podał kobiecie wszystkie swoje dokumenty: odznakę, legitymację, dowód osobisty, nawet prawo jazdy. Tożsamość, stopień i miejsce pracy się zgadzały. Następnie zadzwonił do Wiśniewskiego, podał jej telefon i zapalił papierosa. Inspektor potwierdził, że wysłał pana Dominika Grzegorzka, żeby ją śledził.

„Przynajmniej nazywa rzeczy po imieniu” – pomyślała sobie Beata. Gdy oddała mu telefon, zapytał:

– Wierzy mi pani?



– Wierzę... – powiedziała po chwili milczenia. – A może mi pan powiedzieć – przerwała kolejną ciszę – jak wyglądał włamywacz?

– Oczywiście. Był bardzo wysoki, wyższy ode mnie. Miał krótkie blond włosy i raczej zadbaną brodę – Grzegorzek zdziwił się na widok jej przerażonej miny. – Zna go pani?!

– Tak mi się wydaje – wyksztusiła.

– To dość charakterystyczne cechy, nie ma wielu takich ludzi. Jest duże prawdopodobieństwo, że to właśnie on. – Rzucił papierosa na ziemię i zgasił go podeszwą buta.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Wie pani, gdzie może się znajdować?

– Jasne. Właśnie się tam wybieram. Czy ma pan może przy sobie mój Dziennik? – zapytała nieśmiało.

– Pewnie. Proszę mi wybaczyć, kompletnie o nim zapomniałem! – Sięgnął za pazuchę. – Proszę, oto on.

Ψ

Beata szybko przewertowała swój skarb i obejrzała okładki, szukając jakichś szlaków. Młodszy inspektor przyglądał się temu uśmiechając się z politowaniem. Kiedy w końcu stwierdziła, że wszystkie kartki są na swoim miejscu, niepozaginanane, nienaderwane i niepopisane, a okładki całe i bez żadnych uszkodzeń, schowała Dziennik do kieszeni i uśmiechnęła się triumfalnie. Myślała, że już go nie odzyska. A teraz wiedziała, że będzie mogła opisać w nim to śledztwo. Ta wiedza dostarczała jej motywacji do dalszego działania.

Wyjaśnienia pana Grzegorzka rozjaśniły kilka spraw, jednak skomplikowały inne. Beata wiedziała już, że nie musi wracać do Warszawy. Całe śledztwo może przeprowadzić tu – w Gdańsku. Ale jaka jest rola Adriana w całej sprawie? Czyżby miał coś wspólnego z morderstwem? Głównym priorytetem jej i jej nowego towarzysza było teraz przesłuchanie Adriana. To do jego biura właśnie się kierowali. Po drodze Beata opowiadała Grzegorzce o wszystkich wydarzeniach, jakie miały miejsce w pociągu, natomiast on opowiedział jej, w jaki sposób udało mu się z niego zniknąć.

– Całą noc – tłumaczył – nie wychodziłem z toalety. Kto normalny zleca choremu na grypę żołądkowa jakąś pracę? Zażądam za to podwyżki!

Nagle zadzwonił telefon Beaty.

– Halo? Beata? – rozległ się roztrzęsiony kobiecy głos. – Tu Marta. Musisz szybko tu przyjechać!

– Halo? Gdzie przyjechać? Co się stało?

– Do kostnicy – szlochała Marta. – Ciało Tomka zniknęło. Pytałam pracowników, lekarzy, nawet księdza! Nikt nic nie widział... Musisz tu przyjechać!

– Poczekaj, zaraz oddzwonię – powiedziała niepewnie Beata. – Muszę to przemyśleć. – Rozłączyła się wbrew protestom koleżanki.

Ψ

Zerknęła z ukosa na Dominika Grzegorzka. Zastanowiła się, ile może mu powiedzieć. Cieszyła się z nowego towarzysza, mimo że nieco za często wspominał o tej nieszczęsnej grypie żołądkowej. Nie miała zbyt wielu przyjaciół, spotkania z innymi ludźmi zazwyczaj ją męczyły - niezależnie, czy ich lubiła, czy nie.

A ten człowiek męczyć jej nie będzie. Tak czuła. Dlatego po chwili wahania postanowiła zdradzić mu szczegóły rozmowy z Martą.







## Jan Rybicki

**W**ysłuchał jej z uwagą, bez dawnego uśmiešku.  
– Jedź tam, a ja w tymczasem pójdę do tego Adriana. Poradzę sobie, a teraz zależy nam na czasie, zwłaszcza jeżeli ci z kostnicy będą chcieli odnaleźć ciało.

Skinieniem głowy przyznała Grzegorzce rację: Marta z całą pewnością próbuje odzyskać ciało, ale... Nie chciała stracić przesłuchania Adriana, jej obecność mogłaby pomóc, w końcu znali się od dawna.

– Co mu powiesz?

– Coś wymyślę, wtajemniczyli mnie we wszystko. Jestem lepszym gliną, niż na to wyglądam, nawet z grypą żołądkową. – Uśmiechnął się półgębkiem. – No i zaskoczę go. Może jeśli spanikuje, pogubi się w zeznaniach i zaprzeczy wersji, którą opowiedział tobie.

– Zgoda, niech będzie. Masz broń?

– Chyba żartujesz! – Zaśmiał się z niedowierzaniem, robiąc krok do tyłu. Próbował protestować, lecz Beata pociągnęła go obcesowo w wąski korytarzyk wiodący do toalet. Tam zatrzymała się gwałtownie, rozejrzała, stanąwszy z nim ramię w ramię i już podawała mu swój rewolwer rączką do przodu. Wziął niechętnie, ujmując podejrzliwie broń w dwa palce.

– Po co mi to? Beata, daj spokój, jadę do domniemanego złodzieja notesów, a nie do seryjnego... Zresztą nieważne, wybacz, ale... muszę do łazienki! – Ostatnie zdanie wykrzyczał, oddalając się od niej szybkim, sztywnym krokiem. Pistolet jednak schował w kieszeni. Beata zaśmiała się, patrząc jak Grzegorzek znika za drzwiami męskiej toalety. Biedny Dominik. Oddelegowanie go z jakimkolwiek zadaniem faktycznie wskazywało na głupotę Wiśniewskiego.

Cóż, nie było czasu do stracenia. Zapytała jednego z przechodniów o postój taksówek i szybko pomaszerowała we wskazane miejsce – na szczęście nie było to daleko. Wsiadła do jedynej taksówki na postoju,

usadowiła się na siedzeniu obok kierowcy i podyktowała adres. Samochód niespiesznie ruszył.

Podstarzały taksówkarz zagadnął ją, czemu jedzie do kostnicy, mając już pewnie we krwi nudzenie klientów pogaduchami; wyraził nadzieję, że to nikt z rodziny. Zbyła go półsłówkami, nagle rozdrażniona. To dochodzenie zaczynało ją niepokoić, nie rozumiała, co się tutaj dzieje. Jaki ktoś mógł mieć interes w kradnięciu ciała z kostnicy, po tylu dniach, kiedy wszystkie możliwe ślady zostały już odnalezione? Właściwie jak zginął Tomek? Uświadomiła sobie nagle, że nie wie prawie nic o tej sprawie – trzeba było zapytać Grzegorzka.

W końcu taksówka zatrzymała się na postoju. Beata wysiadła, prawie zapominając o płaceniu i niemal biegiem zbliżyła się do masywnego, betonowego budynku szpitala. Minęła recepcję, uznając, że sama znajdzie kostnicę; chwilę błądziła białymi korytarzami, mijając kolejnych ludzi w fartuchach, zanim znalazła małą, krzywo powieszoną tabliczkę wskazującą kierunek.

– Widzę, że trafiłam na małą naradę – powiedziała, gdy za ciężkimi, dwuskrzydłowymi drzwiami kostnicy zobaczyła grupkę ludzi ubranych w policyjne mundury, stojących dookoła jednego z pustych łóżek.

– Tak. Małą i bezowocną – Jacek Wiśniewski obrzucił ją ciężkim spojrzeniem. – Mam nadzieję, że będzie pani potrafiła dorzucić jakieś fakty, bo na razie kręcimy się w kółko.

– My nawet nie kręcimy się w kółko – zawołał niski, zaaferowany mężczyzna, stojący obok inspektora. – My się cofamy! Nie mamy nawet pojęcia, dlaczego ktoś miałby zabrać ciało Tomka! To bez sensu.

– Zamknij się Wróblewski - poprosił inspektor głosem pełnym rezygnacji. – Proszę się rozgościć, pani Beato – Lekki uśmiech wykrzywił jego wargi.

Podeszła do mężczyzn, rozglądając się po pomieszczeniu. Kostnica była dosyć dużą salą, oświetlaną świetlówkowym światłem niedającym ciepła. Szereg okien mieszczących się w ścianie po prawej stronie był zasłonięty ciężkimi żaluzjami, nieprzepuszczającymi światła – pomieszczenie nie mogło zostać zaprojektowane na kostnicę. Na stołach, przy wejściu, leżało kilka trupów zakrytych białym płótnem, ale w głębi sali, gdzie stali policjanci większość miejsc była pusta. Beata przyjęła to z wdzięcznością.

– Dobrze, jeszcze raz – zaczął Wiśniewski, najwyraźniej chcąc powtórzyć to, co właśnie ustalił ze współpracownikami





– To nic nie da, Jacku – zamachał chaotycznie rękami Wróblewski.  
– W ten sposób nigdy nic nie osiągniemy!

– Jeszcze raz! – powtórzył z naciskiem inspektor. – Tomek został zamordowany wczoraj rano, jakieś trzydzieści kilka godzin temu. Znalaziono go w Parku Oliwskim, zastrzelonego. Wcześniej był bity i przez jakiś czas skrępowany, a w jego domu były ślady szamotaniny, więc prawdopodobnie został zaskoczony podczas snu. Z tego wynika, że ciało celowo zostawiono w widocznym miejscu. To mogła by być jakaś demonstracja, ale teraz do diabła jego ciało zniknęło! Po co zostawiać ciało w takim miejscu i później je kraść?! – Utkwił zrozpaczone spojrzenie w Beacie, jak gdyby licząc na to, że ona nagle rozwiąże jego problemy. Ona zaś milczała przez chwilę, nie podnosząc wzroku, obracając w palcach ostry skalpel, zostawiony pewnie wcześniej przez jednego z lekarzy.

– Jak zginął? – zapytała w końcu, pełna złych przeczuc.

– Strzał w potylicę z odległości kilkunastu centymetrów, duży kaliber. To nie było zwykłe morderstwo, pani Beato. To była świetnie zaplanowana egzekucja.

– Egzekucja – powtórzyła niewyraźnie, nie słuchając już, co mówił do niej Wiśniewski. Egzekucja... Podobno pracował nad narkotykami... dziennik... no i Adrian... Czuła przez skórę, że wie, o co chodzi, że ma rozwiązanie w zasięgu ręki... Ścisnęła rękoma skronie, nie chcąc żeby niejasne wrażenie zniknęło.

– Może się domyślam, dlaczego Tomek chciał się ze mną spotkać... brakuje mi kontekstu.

Przez chwilę panowało milczenie; spojrzenia całej piątki skupiły się na Wiśniewskim. Leciutka para z ich oddechów unosiła się powoli i znikła pod sufitem.

– Myślę, że to dobry moment, żeby wyjaśnić pani, co się działo, zanim Miciński zginął – zdecydował w końcu inspektor.

Ψ

Dom numer 5 na ulicy Rolnej sprawiał przyjemne wrażenie. Otoczony metalowym czarnym płotem i zielonym zadbanym ogródkiem nie wyróżniał się w żaden sposób od pozostałych kilkudziesięciu domków jednorodzinnych, stojących w tej okolicy. Na betonowym podjeździe nie stał żaden samochód – pewnie nikogo nie było w domu. „Będę musiał przyjechać tu później” – westchnął w myślach Dominik, polykając dwie przeciwwgorączkowe tabletki na raz. Boże, czuł się naprawdę paskudnie, ale i tak było lepiej niż wczoraj, nie wspominając

o pociągu. Jechał na razie na lekarstwach, rzygając od czasu do czasu. Mimo to nie żałował, że został przypisany do tej sprawy. Jak często trafiało się coś takiego? No i ta Beata, też niczego sobie. Stęknął cicho, poprawiając się na fotelu. Tak czy siak, nie zaszkodzi zadzwonić do drzwi.

Jeszcze zanim Dominik zdążył zamknąć drzwiczki, zza rogu powoli wytoczył się samochód, który zatrzymał się tuż przed podjazdem na Rolnej 5. Z samochodu wysiadł ten sam wysoki brodacz, którego Grzegorzek widział w pociągu, ręcznie otworzył bramę, po czym wjechał samochodem na miejsce. Dominik przez chwilę przyglądał się, jak olbrzymi blondyn wychodzi z auta, trzymając w rękach wypchany do granic możliwości plecak. Z wysiłkiem zarzucił go sobie na plecy i rażnym krokiem poszedł zamknąć bramę.

Dominik przypatrywał mu się z niedowierzaniem. To naprawdę on! A więc Beata się nie myliła, ten sam człowiek, który przywitał ją na dworcu kilka godzin wcześniej, próbował ją okraść! Jeśli znali się ze szkoły, to mógł wiedzieć o dzienniku, ale dlaczego chciał go okraść? Przecież jeżeli chciał się czegoś dowiedzieć, mógł po prostu zapytać... To nie miało sensu, ale nie dowie się niczego, póki z nim nie porozmawia.

– Proszę zaczekać – zawołał przechodząc przez otwartą bramę. – Czekałem na pana.

Adrian zamknął pierwsze skrzydło, mierząc go zaskoczonym spojrzeniem.

– Kim pan jest? Nie poznaję pana.

– Dominik Grzegorzek, z Głównej Komendy Policji w Warszawie. Chcę tylko porozmawiać. Możemy wejść?

Adrian obrzucił go nieprzychylnym spojrzeniem, przez chwilę Dominik spodziewał się, że olbrzym skojarzy fakty i zwyczajnie go wyrzuci ze swojego ogródka.

– Jakież dokumenty?

– Oczywiście.

– Proszę, w takim razie – Adrian zerknął na legitymację i zrezygnowanym gestem nakazał Dominikowi, żeby poszedł za nim. Otworzył drzwi domu – Czemu zawdzięczam tę wizytę?

– Mam po prostu kilka pytań dotyczących ostatnich dni.

– Ach – To mogło znaczyć wszystko.

Przeszli razem przez przedpokój, pozbawiony jakichkolwiek śladów obecności innych domowników i weszli do dużego, gustownie urządzonego salonu. Adrian ostrożnie postawił pod ścianą ciężki plecak i rzucił okrycie na oparcie kanapy.



– Kawa, herbata, woda? – rzucił, wskazując gościowi fotel naprzeciw kanapy.

– Dziękuję, nie – odparł Dominik. Ostatnio wymiotował wszystkim, co przelknął, a nie chciał robić scen. Usiadł ostrożnie na fotelu. Miętki, wygodny. Drogi. „Adrian musi być dosyć bogaty” – uswiadomił sobie, upewniając się, że w razie czego może sięgnąć do kieszeni powieszzonego na oparciu płaszcz, gdzie spoczywał rewolwer Beaty.

– Wraca pan z wycieczki? – zagadnął, chcąc przerwać ciszę, wskazał ręką na plecak.

– To? Nie, przenoszę rzeczy z domu matki. Umarła niedawno – wzruszył tamten ramionami, nie wyglądając na specjalnie przybitego.

– Moje kondolencje – mruknął Grzegorzek. Znowu zapadło krępujące milczenie.

Żadnych pamiętek rodzinnych, wyciągniętych książek. Nic, co mówiłoby cokolwiek o Adrianie. Od czego zacząć, do diabła? Nigdy jeszcze nie przesłuchiwał nikogo, mimo że uczestniczył w kilkunastu przesłuchaniach. Oblizwał zaschnięte wargi. Nie skop tego, Dominik...

– Może mi pan powiedziec, co robił pan wczoraj rano? Między trzecią i piątą?

– Spałem, a później pojechałem na dworzec odebrać moją przyjaciółkę, Beatę. Przywiozłem ją potem tutaj.

– Tak, to już wiemy. A wcześniej?

– Tak jak mówiłem, spałem – odpowiedział Adrian spokojnie. – To zazwyczaj robią ludzie w nocy.

– Cóż, zabawne, bo ja pamiętam, jak wpadł pan na mnie w pociągu jadącym z Warszawy, miał pan dziennik Beaty w ręce.

– Nie przypominam sobie, musiał mnie pan z kimś pomylić. Było ciemno, był pan zmęczony. W Polsce żyje kilkadziesiąt tysięcy ludzi podobnych do mnie. Poza tym, dlaczego miałbym kraść jej dziennik w pociągu, skoro przez cały wczorajszy dzień miałbym okazję go jej zabrać? Albo poprosić o pożyczenie.

To nie trzymało się kupy, ale to był on – Dominik był tego pewien! Do diabła, dlaczego nic nie jest proste? Utkwił spojrzenie w Adrianie, wpatrującym się w coś za jego plecami. Postanowił spróbować małego blefu.

– Cóż, Beata też pana pamięta, właśnie dlatego mam pański adres, co stawia pana na spalonej pozycji. Wrócimy do tego później, żeby wspólnie ustalić, dlaczego pan skłamał. A co w takim robił pan dzisiaj? Mam nadzieję, że tym razem nic pan nie będzie mieszał?

Adrian pochylił się do przodu, kładąc obie ręce na szklanym stoliku oddzielającym ich od siebie, nagle jak gdyby bardziej zaangażowany w rozmowę.

– Byłem z kolegami nad morzem, na to mam świadków – odpowiedział szybko olbrzym, chcąc jak najszybciej udowodnić, że przynajmniej w tej kwestii jest czysty.

A-cha!

– Ale jak to, panie Adrianie, czy nie mówił pan o swojej matce?

Olbrzym zachował pokerową twarz, oparł się z powrotem, ale jego ruchy były bardziej mechaniczne, gorączkowe. Milczał.

– W taki razie może powie mi pan, co jest w tym plecaku? – zaatakował intuicyjnie Grzegorzek.

Czy to mogła być prawda? To byłoby absurdalne, wręcz groteskowe, ale wszystko na to wskazywało... Co z dziennikiem, musiało być tam coś ważnego, o czym Adrian wiedział, a z czego Beata nie zdawała sobie sprawy, wtedy dziennik musiałyby zniknąć, od razu... A plecak, to bez sensu, chociaż może... Boże, nie wytrzyma dłużej!

M – Proszę zebrać myśli, a ja skorzystam z pańskiej łazienki – wystękał zzieleniały nagle Dominik, zrywając się z fotela i kaczkowatym krokiem zmierzając do łazienki. Z hukiem szarpnął drzwi, gwałtownie otworzył klapę sedesu i równie gwałtownie zwymiotował.

Adrian nie zmarnował czasu, który Grzegorzek spędził w łazience. Przez chwilę siedział, zbierając myśli; następnie wyciągnął swój telefon i napisał krótką wiadomość. Wysłanie jej nie zajęło mu więcej niż pół minuty. Następnie okrążył stół, podszedł do płaszcza Grzegorzka, obmacał kieszenie i wyciągnął rewolwer. Zerkając co chwila na drzwi, rozładował magazynek naboju po naboju. Zebrane osiem pocisków wyrzucił do kosza na śmieci, rewolwer włożył na poprzednie miejsce. Dopiero wtedy usiadł spokojnie, rozparty na kanapie, czekając na powrót gościa.

Ψ

– Więc, jak już pani wiadomo, Tomasz był przez pewien czas komendantem. Dobrze się sprawdzał na tym stanowisku, nigdy nie odpuszczał, a to w tym zawodzie jest bardzo istotną cechą. Większość spraw doprowadzał do końca, ale z jedną nie mógł sobie poradzić, zresztą nie tylko on. Już od kilku lat prowadzimy akta szajki zajmującej się szmuglowaniem narkotyków na zachód, ale oni są dobrzy. Bardzo dobrzy – mimo dużych, jak na nasze możliwości, nakładów, nie wiemy o nich prawie nic. Kilkadziesiąt niepowiązanych incyden-



133

Stadium  
w bieli



tów, ale nadal nie mamy pojęcia, komu sprzedają, od kogo kupują, gdzie, za ile.

– Tomek wpadł na coś, więc go usunęli, a ciało zostawili na pokaz?

– Tak, ale to wszystko jest nieco bardziej... skomplikowane. Musisz zrozumieć, że dla Micińskiego to było ważne, pochłaniało go. Doszedł w tym wszystkim dalej niż ktokolwiek inny. Złapał kilku ludzi, którzy mogli coś wiedzieć, ale nic z nich nie mogliśmy wyciągnąć. Utknęliśmy. I wtedy... hm, Miciński się wkurzył. Przesłuchał ich osobiście, i nawet jeśli coś z nich wyciągnął, to przesadził. Ostro. Osobiście musiałem go odwołać ze stanowiska i przekazać sprawę Henrykowi.

– Tomek? Przecież...

– Jeden z podejrzanych zmarł, zanim przyjechała karetka.

Zapadła cisza, którą przerwał rozdrażniony głos nowego komisarza:

– Do diabła, przed chwilą była podejrzana, a teraz jej mówisz o wszystkim ot tak! Do diabła, co jeśli to ona jest w to wszystko zamieszana? Chciał się z nią widzieć, niby po co?!

– Nie jest, sprawdziliśmy to! I zamknij wreszcie jadaczkę, Wróblewski, do cholery, bo zaczynasz mnie wkurwiać! Przypomnij sobie, kto cię zrobił komisarzem, i kto tutaj jest inspektorem, zanim ciebie też odwołam, na litość Boską!

Niski, łysawy mężczyzna zamilkł, więc po chwili Wiśniewski wrócił do swojej opowieści.

– Tak, jak powiedziałem, Miciński został odsunięty, ale znasz go, ciągnął wszystko na własną rękę. Próbował mnie przekonywać, mówił, że jest prawie pewny, że to rodzina przestępcza, rozwijająca działalność od wielu lat. Udostępnił nam oczywiście swoje stare wyniki, ale nie mamy pojęcia, do czego doszedł w ciągu kilku późniejszych miesięcy. Naszym jedynym tropem jest właśnie pani. A teraz ciało zniknęło, co dodatkowo skomplikowało sprawę. Czekam na obiecane wyjaśnienia.

– Hmm. To tylko podejrzania, ale po prostu... razem z Tomkiem nie przeprowadziliśmy wielu śledztw, jeszcze mniej może być w jakikolwiek sposób związane z tą sprawą. Ale w części przewijała się ta sama osoba...

Beata wyciągnęła z kieszeni dziennik, kartkując go i starając się sobie przypomnieć nazwisko, które kiedyś tak bardzo ich z Tomkiem zajmowało. To porwanie, o którym czytała w pociągu, sprzedaż narkotyków, jakiś haracz... Zawsze ten człowiek występował gdzieś w charakterze świadka czy podejrzanego, ale skazany został tylko raz, i to nie na długo...



- Krowiow. Adam Krowiow.
- Zaraz, zaraz, skąd podejrzenie, że o to właśnie mu chodziło, co?
- zapytał podejrzliwie komisarz Wróblewski. Wiśniewski również obrzucił Beatę pytającym spojrzeniem.
- Oczywiście, nie powiedziałam przecież o pociągu – zreflektowała się Beata, po czym opowiedziała w kilku zdaniach o nocnych zajściach.
- Jeśli dobrze rozumiem, sugerujesz, że Miciński dokopał się aż tak głęboko, do ich działalności sprzed lat, zakładając oczywiście, że się nie mylił, i że to sami ci sami ludzie? Hmm... – zamyślił się Wiśniewski.
- To niewykлучzone, jeśli te dochodzenia prowadziliście razem...
- Szczęść, siedem lat temu. Wszystko powinno być jeszcze w aktach. Ale wtedy, kiedy pan go odsunął, stracił dostęp do starych danych...
- Ty, ze swoim dziennikiem byłaś najbardziej oczywistym źródłem informacji. Panowie, co myślicie – rzucił w kierunku zamyślonych policjantów stojących obok. Nawet nie zauważył, jak wobec Beaty nagle przeszedł na „ty”.
- Naciągane. Sprawy nigdy nie przypominają kryminałów. Musi być prostsze wyjaśnienie – wyrzucił z siebie komendant Wróblewski, wykonując nieokreślony ruch dłonią ozdobioną złotym roleksem.
- Złożone, ale prawdopodobne – zaproponował rudy policjant, opierając się o stół. – Nie mamy lepszych teorii. Ani jakichkolwiek innych.
- Nie mamy, w rzeczy samej – zgodził się Wiśniewski, odgarniając do tyłu poły swojego ortalionowego płaszcza i zatykając ręce za pasek.
- A więc wygląda, że to on ma nasze odpowiedzi. Adam Krowiow...
- mruknął zamyślony.





## Wojciech Wróbel

Grzegorzek wyszedł z łazienki zupełnie blady, czkając w regularnych odstępach. Nie mógł dopuścić do tego, by ta cholerna grypa żołądkowa miała odciągnąć go od śledztwa. Zmusił twarz do niewyraźnego uśmiechu i potykając się o własne stopy opadł na kanapę. Spojrzał przepaszająco na Adriana, a następnie poglądził kieszeń płaszcza.

– Na czym to... skończyliśmy? – zapytał między czknięciami.

– Pytał pan o mój plecak – odpowiedział Adrian z uprzejmym uśmiechem.

Dominik Grzegorzek oblizał nerwowo wargi.

– A właśnie... co pan w nim... ma w takim razie? – Grzegorzek mimo fizjologicznych przeciwności był zdeterminowany doprowadzić to śledztwo do pomyślnego końca.

– Niech pan sam sprawdzi, skoro jest pan taki ciekawy – usłyszał w odpowiedzi.

Nie podobał mu się ten nagle swobodny ton blondyna. Coś zaczęło tu śmierdzieć. Przed chwilą zdenerwowany, coraz częściej myślący się w zeznaniach, teraz Adrian zyskał jakąś dziwną pewność siebie. Dominik wstał z kanapy i powoli podszedł do plecaka leżącego pod ścianą. Zerknął niepewnie na Adriana. Ten siedział nieruchomo, wpatrując się w niego wyczekująco, z nieznacznym ironicznym uśmiechem.

– Niech pan to... zrobi. Niech pan... otworzy ten plecak – Grzegorzek odsunął się od ściany.

Brodacz uniósł brwi zdziwiony.

– Czyżby bał się pan rzeczy starej kobiety?

– Boję się tego... co może tam być... zamiast tych rzeczy – czkając, Dominik wsunął rękę do kieszeni spodni w poszukiwaniu tabletek przeciwwgorączkowych, drugą dłoń w tym czasie kładąc na rewolwerze.

Adrian powoli podniósł się z kanapy i nieśpiesznym krokiem podszedł do swojego plecaka. Ukłąkł przed nim, otworzył zapięcie, a następnie sięgnął do środka. Grzegorzek połknął jedną tabletkę wpatrując się w blondyna. Adrian wyciągnął z plecaka dłoń, w której ścisnął... niewielką porcelanową figurkę w kształcie jeża. Leniwie obrócił głowę i spojrzał na młodszego inspektora z lekkim rozbawieniem.

Grzegorzek, nie wiedząc co powiedzieć, czknął. Drugi mężczyzna podniósł się z kłęczek. W milczeniu podał Grzegorkowi figurkę. Dominik przyjrzał się jeżowi ze wszystkich stron. Uśmiechnięty pyszczek, czarny nos, błyszczące kolce. Zwykły porcelanowy jeż.

- Co to jest? - zapytał skołowany.

- Figurka porcelanowego języka - odparł Adrian. - Może ją pan zatrzymać.

Dominik przełknął ślinę.

- Niech pan pokaże... mi, co jeszcze... tam jest.

Blondyn wykonał tą samą sekwencję czynności, nie zdradzając ani odrobiny zniecierpliwienia czy nerwowości. Coś tu cholernie śmierdziało, ale co to mogło być? Ten nieszczęsny jeż? Bez względu na tę pieprzoną grypę czy cokolwiek innego - młodszy inspektor Dominik Grzegorzek po raz kolejny poprzysiął sobie rozwiązać tę sprawę. Adrian wyjął z plecaka następną figurkę. Tym razem jeż był większy, a jego pyszczek wykrzywiony w gniewnym grymasie.

- Znowu... jeż? - Dominik podparł się o kanapę. Czuł, że za chwilę będzie musiał znowu udać się do łazienki.

- Moja matka kolekcjonowała jeże - oznajmił Adrian poważnym tonem.

Grzegorzek ślaniając się na nogach i nieustannie czkając dopadł do podróżnego plecaka. Zajrzał do środka. Wnętrze w całości wypełnione było porcelanowymi jeżami. Większymi, mniejszymi, w różnych kolorach i kształtach. Zdezorientowany spojrzał na brodacza. Porcelana, figurki. Z czymś mu się to kojarzyło, ale z czym? Co takiego można zrobić z porcelanowymi jeżami?

- Ma pan jeszcze jakieś pytania? - zapytał Adrian.

To koniec. Przegrał. Tu nie było nic poza jeżami! Ale w takim razie dlaczego tamten opowiadał coś o znajomych na plaży? Po co kradłby dziennik? Nie, coś tu wyraźnie się nie zgadzało. Gospodarz już położył mu rękę na ramieniu i z uprzejmym uśmiechem kierował go ku wyjściu. Grzegorzek jeszcze raz przyjrzał się figurce, którą miał w ręku. Zwykły niepozorny jeż. Porcelanowy, jakby dziwnie lekki... Grzegorzek wyrwał się z uścisku wysokiego mężczyzny i nie myśląc wiele cisnął



jeżem o przeciwną ścianę. Bibelot rozpadł się z trzaskiem na setki porcelanowych kawałków. Dominik podbiegł do szczątków i spojrzał na to, co zostało co przedmiotu. Wśród kolorowych resztek jeża leżał niewielki woreczek. Dominik podniósł go i przyjrzał się zawartości. Biały proszek... Usłyszał za sobą szelest. Wstał na tyle szybko, na ile pozwalał na to jego stan i stanął twarzą w twarz z Adrianem. Odsunął się kilka kroków, po czym wyszarpnął z kieszeni płaszcz rewolwer.

– Nie zbliżaj się! Wiem, co trzymasz w tych jeżach, to żadne pamiątki, prawda? – adrenalina sprawiła, że Grzegorzek odzyskał chwilowo sprawność fizyczną.

Brodaty blondyn podrapał się po zarośniętej szyi, spojrzał na niego z politowaniem, a następnie wyciągnął otwartą dłoń w jego stronę.

– Dobra, masz mnie, a teraz oddaj mi tego gnata i pożegnajmy się należycie – W jego głosie wcale nie było słycać strachu, ani poczucia przegranej.

– Skąd to wzięłeś? Gdzie zamierzałeś z tym iść? Ktoś miał tu przyjechać to odebrać? Gadaj! – wykrzyknął zdenerwowany Grzegorzek.

– Posłuchaj – odpowiedział spokojnie Adrian – jeśli wyciągnęłeś tę pukawkę, żeby mnie zastrzelić, to proszę, strzelaj, droga wolna. Ale jeśli masz zamiar tak po prostu tu stać i wymachiwać mi tym przed nosem myśląc, że dam się zastraszyć, to muszę cię rozczarować, nie działa to na mnie. – Zamilkł i stali tak przez chwilę w zupełnej ciszy, w przestronnym, dobrze wyposażonym salonie. Grzegorzek celując w Adriana, a Adrian – spokojnie czekając na to, co zrobi ten pierwszy.

– Gadaj! – wykrzyknął po chwili Dominik, nie wytrzymując presji.

Adrian pokręcił głową z dezaprobatą.

– Nic z tego. Chyba wygląda na to, że będziemy musieli się pożegnać – postąpił krok w jego stronę.

– Stój tam, gdzie stoisz! Zgodnie z moim służbowym obowiązkiem jestem zmuszony cię are... – nie dokończył, ponieważ Adrian chwycił dłoń Grzegorzka, w której ten trzymał rewolwer, a drugą ręką uderzył z całej siły w jego przegub. Dominik zawył z bólu i padł na ziemię, odruchowo pociągając za spust, nic się jednak nie wydarzyło. Broń wypadła mu z ręki i potoczyła się po podłodze. Adrian podniósł ją za lufę. Młodszy inspektor spróbował dźwignąć się z ziemi, czuł, że mdłości wracając ze zdwojoną siłą. Olbrzym niespiesznie podszedł do niego. Jeśli za chwilę się czegoś nie napije, to wyrzyga wnętrzności. Czując łamiący ból w prawej ręce Grzegorzek spróbował lewą chwycić się krawędzi stołu i podnieść. Adrian zamachnął się rewolwerem. Cholerna grypa...

Dominika ogarnęła ciemność.

Topole rosnące wzdłuż alei Grunwaldzkiej przesuwają się szybko za oknami mercedesa. Emocje, które Beata przeżywała jeszcze przed chwilą, teraz uleciały z niej jak z przekłutego balonu. Krowiow... To był tak niepewny trop. Kiedy pracowała razem z Tomkiem (zanim jeszcze ją postrzelili) nigdy nie złapałaby się takiego czegoś. A podobno to tylko młodzi funkcjonariusze są nieostrożni i skłonni do ryzykownych kroków. A tu proszę, nie minął właściwie dzień odkąd przyjechała do Gdańska, a już pędzi prosto z kostnicy do podejrzanego. Pamiętała, kiedy ostatni raz tutaj była. Zawsze lubiła Gdańsk, nie potrafiła dokładnie określić, co ją w nim pociągało, ale miał ten niezwykły klimat, który trudno było oddać w słowach. Mimo zniszczeń podczas drugiej wojny światowej część budynków zachowała się i dawała świadectwo dawnej świetności. Teraz miasto poszarzało, okryło się kurzem czasu i dymem fabryk. Okres PRL-u też nie podziałał na nie odmładzająco...

– Co tak właściwie o nim wiemy? – rzuciła, mając na myśli Krowiowa, nie kierując pytania do nikogo konkretnego. Wróblewski siedzący obok niej, z tyłu, odburknął coś pod nosem w odpowiedzi. Wiśniewski, na miejscu pasażera, obejrzał się na nią przez ramię i uniósł brwi pytająco.

– To raczej my powinniśmy zadać pani to pytanie. Z tego co pamiętam, to w pani dzienniku pojawiło się jego nazwisko i to pani w ogóle wysunęła co do niego podejrzenia.

Beata westchnęła ze znużeniem. A więc ona miała się wszystkim zająć. Wiśniewski razem z pozostałymi będzie stał z tyłu, mądrze kiwał głową, a kiedy ona do czegoś dojdzie, uprzejmie uściśnie jej dłoń, odsunie ją od sprawy i razem ze swoimi ludźmi podpiszą się pod wszystkim. Albo, co bardziej prawdopodobne, ich też odsunie, po czym sam zgarnie wszystkie laury. Wiśniewski wydawał się człowiekiem tego typu.

– Żadnych tajnych akt, dawnych policyjnych notatek, nic w tym stylu? – zapytała, ignorując słowa inspektora. Wiśniewski obdarzył ją długim, ciężkim spojrzeniem, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki komórkę, znalazł numer i wciąż na nią patrząc, przyłożył telefon do ucha.

– Karolina? Cześć, to ja, mogłabyś coś dla mnie zrobić? Mała przysługą, naprawdę... Tak... To jest Krowiow. Adam Krowiow. – Przez dłuższy czas milczał, po czym pokiwał głową. – Dobrze, to na pewno wszystko? Dziękuję w takim razie, Karolino. – Inspektor schował telefon.

– Krowiow jest czterdziestopięcioletnim mężczyzną rosyjskiego pochodzenia, mieszka w Gdańsku na stałe od dziesięciu lat. Początko-





wo pracował w magazynach stoczniowych, potem jeździł wózkiem widłowym w jakiejś fabryce. W papierach śledztwa Micińskiego pojawia się od prawie samego początku. Jest tak, jak pani mówiła – zakończył, a w jego głosie słychać było lekką aprobatę.

– Nie wiemy, co robi teraz?

– Nie. Odkąd Tomek zaprzestał śledztwa, Krowiów nie pojawiał się więcej w kartotekach. Wiemy za to, że mieszkał przez cały ten czas w Nowym Porcie, na Strajku Dokerów. O ile dopisze nam szczęście, jest szansa, że może nadal tam mieszkać.

– O ile dopisze... – Beata znowu zapatrzyła się w okno.

A więc Nowy Port, tam jechali. Ta dzielnica nie cieszyła się najlepszą reputacją. Słyszała opinie, jakoby w Nowym Porcie żywo rozwijał się handel kradzionymi samochodami, a młodzież degenerowała się w zaskrajającym tempie. Dobre miejsce, w którym mógłby się zaszyć ktoś taki jak Krowiów. Cichy, stojący w cieniu większych kolegów z branży, nierzucający się w oczy rzezimieszek, sprytnie wymykający się policji. Prawie tak jak u Conan Doyle’a. Tyle, że ona nie była Holmesem, ani nawet Watsonem, a śledztwo wcale nie szło tak, jak powinno. Wszystko, co się działo, odkąd przyjechała do Gdańska, wydarzyło się zbyt szybko i było zbyt dziwne. Ten sen, spotkanie Adriana, cały ten Grzegorzek, zniknięcie ciała Tomka z kostnicy. Momentami zdawało jej się, że wciąż śni.

Topole za oknem zastąpiły rzędy rozłożystych klonów, a po drugiej stronie ulicy, niczym gigantyczny czerwony wąż, pędził tramwaj, rozmywając się w smugach lamp i świateł.

Ψ

Obudził się w całkowitych ciemnościach z trudem powstrzymując targające nim torsje. Sznur, oplatający jego nadgarstki i kostki, ścisnął mocno, nie pozwalając na choćby najmniejszy ruch. Dominik domyślał się, że jest zamknięty w bagażniku samochodu. Wszystko się trzęsło, musieli jechać po wyboistej drodze, a on co chwila uderzał o głowę o coś twardego. Nie wiedział, ile już tak jechał, dysząc ciężko, starając się ściągnąć szmaty oplatające jego twarz. Wiedział, że jeśli nie wytrzyma i ostatni posiłek wróci tą samą drogą, to on najprawdopodobniej udusi się własnymi wymiocinami. Cała ta niekończąca się podróż była więc przepelniona nieustanną walką z własnym żołądkiem. Walką, którą prędzej czy później musiał przegrać.

Po co w ogóle się w to pakował? Chciał dostać awans, order, podwyżkę? A może liczył na coś od tej całej Beaty? Dominik nie mógł

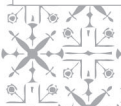
zrozumieć, jakim głupcem musiał być, żeby w ogóle wyciągać wtedy broń. Wkurzył tego olbrzyma i tak to się skończyło. Szybko i cholernie boleśnie. Cały czas przeklinał w duchu własną lekkomyślność. Chciał być bohaterem, pieprzonym Columbo znajdującym winnych i wychodzącym bez szwanku. Co mu strzeliło do tego łba? A przecież mówili mu, że nie ma głowy do takich rzeczy, żeby trzymał się śledzenia ludzi i papierkowej roboty.

W chwilach wytchnienia między atakami chorego żołądka, starał się usłyszeć jakiegokolwiek dźwięki. Na nic się to jednak nie zdało; jedynym głosem, jaki usłyszał, był jakiś odległy, niezidentyfikowany stukot i szum silnika. Grzegorzek czuł się równie ślepy jak głuchy. Powtarzał sobie, że w końcu ta podróż musi się skończyć, że kiedyś ten blond gigant go wypuści, trochę postraszy, a potem może zostawi w spokoju, albo dobije. O ile to w ogóle on go wiozł. Dominik nie miał pewności, czy nie został związany i umieszczony w tym bagażniku przez jakichś innych ludzi, na przykład współpracowników Adriana. Tak czy siak – musieli kiedyś go stąd wydobyć.

Kiedy w końcu pomyślał, że nie wytrzyma dłużej i umrze we własnych wymiotach, samochód nagle zatrzymał się i po kilku przedłużających się w nieskończoność minutach ktoś otworzył bagażnik. Dominik zobaczył światło. Ten sam człowiek wyciągnął rękę w jego stronę i zdjął mu szmatę z twarzy. Następnie przeciął więzy na nadgarstkach i kostkach. Grzegorzek oszołomiony, ciężko dysząc wypełzł z bagażnika, padł na ziemię, po czym zaczął obficie wymiotować. Wydawało mu się, że za chwilę wyrzyga własny żołądek. Dopiero po dłuższej chwili, plując, z okropnie suchym gardłem, podniósł się na kolana i spojrzał w twarz wysokiego mężczyzny nad sobą.

– A cóż to za myszka się nam tu trafiła? – W padającym zewsząd, oślepiającym światłem reflektorów, Dominik nie potrafił dostrzec twarzy tamtego, a jedynie jego szeroki, zbyt szeroki uśmiech. Widział za to, że mężczyzna ma na sobie czerwono-czarny garnitur.

Nim zdobył się na jakąkolwiek odpowiedź, zrozumiał, że nie są tu sami. Rozejrzał się. Samochód, którym go wieziono, stał po środku czegoś, co mogło być cyrkową areną lub stadionem. Wytężył wzrok. Byli na betonowym placu, otoczonym przez pierścień wysokich reflektorów, pod którymi gromadziły się długie cienie. Grzegorzek dochodząc do siebie dostrzegł, że cienie przyjmują ludzkie kształty i ustawiają się w równym kręgu, coraz bliżej niego i mężczyzny w garniturze. A w ich dłoniach błyszczały ostrza.







Dom na ulicy Strajku Dokerów E75 nie był tym, czego Beata oczekiwała po kwaterze kogoś takiego jak Adam Krowiow. Niewielki jednopiętrowy, nieco zapuszczony ceglany domek właściwie sprawiał całkiem przyjemne wrażenie. Mały ogródek był pełen niebieskich i żółtych kwiatów. W jednym z okien na pierwszym piętrze paliło się ciepłe światło.

Wysiedli z samochodu. Wiśniewski poprawił kołnierz ortalionowego płaszcza, Wróblewski odchrząknął nerwowo, a ich kierowca – starszy, brodaty sierżant o nazwisku Krawiec – głośno wydmuchał nos w bawełnianą chusteczkę. Wszyscy trzej patrzyli wyczekująco na Beatę.

Ona podeszła do odrapanych frontowych drzwi i rzuciła okiem na domofon. Cztery przyciski, cztery mieszkania, które należało do Krowiowa?

– Mamy numer mieszkania podejrzanego? – zapytała, spoglądając na Wiśniewskiego.

Inspektor pokręcił głową. A więc musiała strzelać. Przycisnęła pierwszy guzik, po chwili wahania drugi, a po kolejnych kilku sekundach następne dwa. Stała tak w ciszy, czując na sobie wzrok Wiśniewskiego i pozostałych. Co zrobią, jeśli nikt ich nie wpuści albo okaże się, że Krowiow wcale już tu nie mieszka? Jej rozważania zostały przerwane przez nagły zgrzyt, który wydobył się z domofonu: Halo?! Halo?! Słucham?! Kto tam?!

Głos należał niewątpliwie do starszej osoby, choć płec trudno było rozpoznać za sprawą elektronicznych zgrzytów i świstów. Po kolejnej serii trzasków Beata, choć się nie odezwała, usłyszała satysfakcjonującą, przeciągłe brzęczenie. Pchnęła drzwi i dała znak pozostałym. Krawiec powiedział, że poczeka przy samochodzie.

We trójkę weszli na ciemną i brudną klatkę schodową. Pod sufitem świeciła się słabo jedna żarówka, ukazując im ponure wnętrze. Ten dom pamiętał z pewnością lepsze czasy. Wróblewski rozejrzał się wokół z lękiem w oczach.

– To na pewno tutaj? – zapytał cicho.

– Tak na pewno. – Beata wskazała niewielką kartkę przyczepioną za gablotą przy skrzynce pocztowej: 4. Adam Krowiow. A więc szczęście im sprzyjało. Wiśniewski pokiwał głową i ruszył schodami na górę.

Drzwi do mieszkania numer cztery, za którym mieli rzekomo znaleźć Krowiowa, otoczone były kilkoma porozbijanymi, drewnianymi skrzynkami, porośniętymi grubą warstwą pajęczyny. Beata zauważyła, że Wróblewski przez cały czas rozgląda się nerwowo. Rzeczywiście,

miejsce nie wyglądało na najprzyjemniejsze, ale lokatorzy nie sprawiali wrażenia zainteresowanych osobami, które wpuścili do środka. Wszystkie drzwi pozostawały zamknięte. Wiśniewski zapukał kilka razy pod czwórkę. Cisza. Zapukał mocniej. Powtórzył czynność jeszcze parokrotnie, lecz Krowiow lub ktokolwiek mieszkający w mieszkaniu numer cztery przy ulicy Strajku Dokerów E75, nie miał zamiaru im odpowiedzieć. Wiśniewski zerknął pytająco na pozostałych. Wróblewski wzruszył ramionami i już zbierał się do wyjścia. Beata podeszła i bez zastanowienia nacisnęła klamkę. Drzwi, choć z oporem, ustąpiły. Weszła do środka wraz z policjantami.

Wnętrze mieszkania Krowiowa bardziej odpowiadało zwyczajowym standardom pomniejszych opryszków. Pomieszczenie tonęło w zupełnych ciemnościach, krótki korytarz prowadził do niewielkiego pokoju połączonego z kuchnią. Okna zostały skrupulatnie zasłonięte grubymi zasłonami. Beata postąpiła kilka ostrożnych kroków w przód. Większą część pokoju wypełniał sporych rozmiarów stół, uginający się pod ciężarem najróżniejszych bibelotów, kilka krzeseł oraz kanapa przykryta kapą w pstrokate barwy, zawalona czymś dużym. Beata podeszła bliżej, prawą ręką odruchowo sięgając po rewolwer. Dopiero w połowie ruchu zorientowała się, że zostawiła broń Dominikowi Grzegorzewi, temu dziwnemu człowiekowi przedstawiającemu się jako młodszy inspektor. Zerknęła na Wiśniewskiego i Wróblewskiego. Obaj mężczyźni wyglądali na spokojnych, chociaż Wróblewski zdecydowanie zbyt szybko przebierał palcami wokół szyi. Wiśniewski trzymał rękę na kaburze pistoletu.

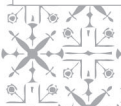
Weszła głębiej i omiotła wzrokiem mieszkanie. Poza tym pomieszczeniem była tu jeszcze łazienka i jakiś, prawdopodobnie niezbyt duży, pokój schowany za białymi drzwiami. Wszystko wyglądało na bardzo zaniedbane, jakby ktoś szukał czegoś w tym miejscu i po prostu w desperacji poszukiwań zostawił wielki nieporządek. Czyżby ich uprzedzili? Krowiow zabrał to, czego potrzebował i zwiął? Coś tu nie pasowało... Wróblewski zapalił światło. Teraz dopiero zobaczyła, że na kanapie leży zwalisty mężczyzna mrużący oczy.

– Kim jesteście? – zapytał dziwnie podrygując.

– Inspektor Jacek Wiśniewski, pan nie musi się przedstawiać, wiemy, kim pan jest. Przepraszamy za najście, ale drzwi były otwarte, a na pukanie nikt nie odpowiadał. Możemy chwilę porozmawiać?

– Nie ma o czym – burknął mężczyzna podnosząc się z kanapy.

Teraz dopiero Beata zobaczyła, jaki był wielki. Wiśniewskiego, który nie należał do najniższych, przewyższał o ponad głowę, a w barkach,



być może niegdyś umięśnionych, mierzył dobrze ponad metr. Zarośnięty, o okropnie pobladłej twarzy i ubrany w prujący się golf nie wyglądał najlepiej. Omiótł ich spojrzeniem przekrwionych, mętnych oczu.

– Co tu jeszcze robicie? – zadudnił sięgając po zabrudzoną butelkę i rozglądając się nerwowo.

– Przykro mi, ale nie wyjdziemy tak po prostu. Jest pan dla nas ważnym tropem, a poza tym...

– Nie mamy innego tropu – powiedział cicho Wróblewski.

Inspektor spiorunował go wzrokiem. Niski mężczyzna odsunął się kilka kroków, jakby uderzony.

– Hah, a więc tak to wygląda – Wielkolud oklapł na jedno z krzeseł przy stole, które zatrzeszczało złowieszczco. – Wiedziałem, że w końcu przyjdziecie. – Pociągnął łyk ze swojej butelki i otarł pot z czoła.

Beata i Wiśniewski wymienili spojrzenia. Czyżby rzeczywiście szczęście aż tak im dopisało?

– Skoro wiedział pan, że przyjdziemy, to może mógłby pan z nami porozmawiać? Nie zajmiemy dużo czasu – Beata lekko się uśmiechnęła.

– Ta, zawsze tak mówią. – Ponownie przykleił usta do butelki. – No, ale niech wam będzie i tak pewnie sobie nie pójdziecie, co? – zapytał, spoglądając na nią kaprawymi oczami. Zauważyła, że mężczyzna zaczyna coraz bardziej się trząść. Co z nim było nie tak? Trafił im się szalaniec?

– Pan Adam Krowiow, tak? – upewniła się. Ostatecznie mogli na przykład trafić na człowieka, który zamordował Krowiowa. Albo na kogoś, kto po prostu u niego pomieszkiwał. Nie zapytali go dotychczas o tożsamość.

– I owszem, to ja, we własnej paskudnej osobie. – Beata zauważyła, że jego głos jest praktycznie pozbawiony rosyjskiego akcentu.

– W takim razie co pan wie o Tomaszu Micińskim? – Wiśniewski usiadł na krześle na przeciwko Krowiowa. – Kiedy ostatni raz pan go widział?

Olbrzym zmarszczył czoło świdrując go wzrokiem.

– Prosto z mostu, co? Nie dacie staremu człowiekowi chwili wytchnienia?

– Czterdzieści pięć lat to jeszcze nie taka późna starość – wtrącił Wróblewski.

Krowiow machnął ręką.

– Skoro już mnie znaleźliście, to proszę. I tak nie mam nic do stracenia – zaczął grzebać w rupociach, spomiędzy sterty pustych kartonów, rozbitego kalkulatora i śnieżnej kuli, w środku której znajdował się wisielec na moście wyciągnął starą książkę pokrytą kurzem. „Koran”.

– Pozwólcie najpierw, że coś wam przeczytam – rzekł oficjalnym tonem, otworzywszy księgę mniej więcej w środku, z lekkim drżeniem rąk – Oni mówią: „Kiedy się spełni ta obietnica, jeśli jesteście prawdomówni?” Powiedz: „Wy macie obietnicę Dnia, którego nie będziecie mogli... – kiedy Krowiow zaczął wczuwać się w czytane słowa, Wiśniewski zatrzasnął mu księgę w rozdygotanych rękach.

– Bez tych bzdur Krowiow. Wiemy, że uczestniczyłeś w tym całym bajzlu, który próbował rozwiązać Tomasz Miciński. Mów, co o tym wiesz albo chociaż, co wiesz o zamordowaniu Tomka i nie marnuj naszego czasu – powiedział wyraźnie poirytowany.

Krowiow przez chwilę milczał, spoglądając na niego poważnie. Potem przyjrzał się Beacie, a na koniec, niemalże przelotnie – Wróblewskiemu. W tym spojrzeniu było coś, co wyraźnie kobietę zaniepokoiło. Jakiś dziwny błysk? To straszne przekrwienie? Spojrzała na Wiśniewskiego. Też to zauważył. „Chyba trafiliśmy na grubszą rybę niż się nam zdawało” – pomyślała.

– Ten cały Miciński wpychał nos tam, gdzie nie trzeba. Był głupi i tyle. Kto zadziera z Daggnerami, nigdy nie kończy dobrze. On to wiedział, ale i tak się w to wpakował. Zwykły kretyn. – Głos Krowiowa nie miał już w sobie ani cienia uprzejmości.

– Daggnerowie? Kim oni są? Od kiedy handlują proszkiem? – zapytał od razu Wiśniewski, mierząc większego mężczyznę wzrokiem zupełnie pozbawionym zaufania.

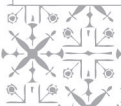
– Hyh, hyh. A dlaczego niby miałbym wam to mówić? Co? Hyh? – Krowiow uśmiechnął się półgębkiem, ukazując zniszczone zęby. Pociągnął kolejny łyk.

Wiśniewski powoli wyciągnął pistolet. Wymierzył go w brzuch Krowiowa.

– Proste – oznajmił spokojnym tonem, nie opuszczając lufy ani na milimetr.

Wielkolud nie wydawał się przejęty, patrzył się na inspektora wyzywająco. Beata rozejrzała się po stole w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mieć cokolwiek wspólnego z ich śledztwem. Jakaś szuflada wypełniona papierami, przerdzewiały budzik, krople do nosa, kilka brudnych butelek, całe mnóstwo kartonów i... coś jeszcze. Niewielki zeszyt w skórzanej oprawie. Skąd go znała? Intuicyjnie pogładziła swój własny dziennik w kieszeni płaszcza.

– Myślisz, że mnie zastraszysz, glino? Adam Krowiow nie kłaniał się już groźniejszym od ciebie – powiedział mężczyzna głaszcząc kciukiem butelkę.



– Nie zgrywaj bohatera. Dobrze wiemy, że masz z tym dużo wspólnego, nawet więcej niż nam się wydawało. Sam się przyznałeś. Dagne-rowie, tak? Wróblewski, zapisz to nazwisko – polecił nie spuszczać oczu z Krowiowa. – I wszystko pozostałe, czego za chwilę się dowiemy. Trafiliśmy na idealny towar do przesłuchań.

Obaj: i Wróblewski, i Krowiow spojrzeli na Wiśniewskiego zaniepokojeni.

– Hyh, hyh. Myślisz, że mnie rozgryźles, co? – Wielkolud wlał w siebie kolejny, obfity strumień alkoholu.

Beata podniosła skórzany zeszyt ze stołu. Otworzyła na pierwszej stronie.

*16 października 2012 r.*

*Dzisiejszej nocy w Gdańsku został zamordowany Artur. A. Wiem, że grupa, która go załatwiła, to narkomani na głodzie, od tygodnia ich obserwuję. Kopali go tak długo, aż zaczął rzygać krwią zmieszaną z kawałkami płuc, potem zamienili jego twarz w krwawą miazgę. Niech piekło pochłonie to miasto. Jak teraz o tym myślę, może się to stać niebawem. W końcu dopadnę ludzi odpowiedzialnych za to wszystko.*

*GD 455 AV Krzysztof Karczewski*

*Rozmawiałem dzisiaj z Martą. Nie uważała mojego przedsięwzięcia za dobry pomysł, ale...*

Beata uśmiechnęła się do siebie. Tomek w końcu zrobił tak, jak mu mówiła, założył dziennik. Powtarzała mu to tyle razy, każdy detektyw musi mieć coś, gdzie będzie notować przebieg śledztwa, na wypadek gdyby... Przekartkowała zeszyt. Na końcu brakowało kilku stron. Ostatnie daty pochodziły z przed miesiąca. Gdzie podziały się brakujące kartki? Co ktoś mógł z nimi zrobić? Co zrobił z nimi Tomek? Być może gdyby jeszcze żył...

– Widzisz, Wróblewski, nasz kolega tutaj jest dość zdesperowanym narkomanem – oświadczył rzeczowym tonem Wiśniewski. – I coś mi się widzi, że weszliśmy akurat w porze jego karmienia – uśmiechnął się do Krowiowa. – Przeszukaj wszystkie szafki, szuflady, sprawdź pod kanapą i między poduszkami. Potem idź do łazienki i sprawdź apteczkę.

– Co mam zrobić z tym, co znajdę? – zapytał niepewnie Wróblewski.

– Spuść w kiblu.

Niski mężczyzna zaczął rozglądać się po mieszkaniu. Krowiow patrzył się na niego z kamienną twarzą, choć równie dobrze Wróblewski mógłby biegać, śmiać się jak szalenciec lub fikać koziołki. Efekt byłby

taki sam. Obie dłonie olbrzyma zaczynały trząść się niczym w delirium, a z czoła obficie spływały krople potu. W końcu po ponad kwadransie poszukiwań w kompletnej ciszy z dołu dobiegło przeciągłe westchnienie. Beata podeszła do okna i rozchyliła zasłony. Starszy sierżant Krowiec wysiadł z mercedesa i rozglądał się wokół. W tym samym momencie z łazienki dało się słyszeć triumfalny okrzyk:

– Mam! Myślałem już, że jest czysty, ale coś mi podpowiedziało, żeby sprawdzić za apteczką i tam były! Ha-ha! – Wróblewski wybiegł z łazienki, ściskając w obu dłoniach po kilka woreczków wypełnionych białym proszkiem.

– Nie macie prawa, nie macie prawa tego robić! To mąka, trzymam tam mąkę, nie macie prawa! – Krowiow spoglądał nerwowo na obu mężczyzn. Teraz nogi trzęsły mu się prawie tak samo jak ręce.

– Na co czekasz? – Wiśniewski zerknął na wielkoluda i wydał polecenie podwładnemu. – Pozbądź się tego Wróblewski.

Wróblewski obrócił się na pięcie. Krowiow nie wytrzymał.

– NIE! NIE! Proszę nie! Powiem wam! Powiem wam o Daggnerach i ich kurewskim handlu! Niech wam będzie, powiem wam, ale moje prochy zostawcie! – ryknął rzucając się w stronę łazienki.

Wiśniewski wstał z krzesła, nie spuszczając oczu z Krowiowa.

– Mów w takim razie i skończmy tę szopkę – wyciągnął rękę w stronę Wróblewskiego, aby się zatrzymał.

– Cholera by was wzięła! Do kurwy nędzy z wami! – darł się ogromny mężczyzna. – Daggnerowie handlują wszystkimi prochami, jakie wpadną im w ręce. Biorą cały towar ze wschodu i przepuszczają go przez Polskę na zachód, większość rozprowadzają po kraju. – Krowiow cały czas gapił się na woreczki w rękach Wróblewskiego, przytknął do ust butelkę, ale nie wycelował i się ochlapał.

– Kiedy następują przewozy? Podaj nazwiska – Wiśniewski stał przed nim mierząc z broni w zdesperowanego ćpuna. Beata włożyła skórzany zeszyt do kieszeni i stanęła obok inspektora.

– Kurwa! Nawet teraz! Nawet teraz przewożą do cholery. Chcecie znać miejsce? To jest nawet gdzieś tutaj zapisane. Dajcie mi moje prochyy! – Darł się Krowiow wymachując rękoma. – Powiem wam, co zrobiliśmy z jego ciałem, powiem wam po co nam były te cholerne kartki. Nazwiska? Mogę wam powiedzieć wszystko! Teofil Daggner, Mortimer Dag... – W mgnieniu oka jedno z okien przesłoniętych zasłonami rozsypało się na tysiące drobin, które poszybowały po pomieszczeniu.

Adam Krowiow padł na ziemię z dziurą w głowie.





## Adrian Kazanowski

19 maja 2013 r.

**Z**nowu minęło trochę czasu od ostatniego wpisu. Zbyt wiele się ostatnio działo. Na szczęście sprawa śmierci Tomka została wyjaśniona. Wczoraj zadzwoniła do mnie Marta i poprosiła, bym poszła z nią na cmentarz. Przestrzelone kolano zaczyna jej trochę mniej doskwierać. Dzielnie broniła dziennika Tomka, ale to nie dziennik okazał się kluczem. Po postrzale Tomek kazał jej wyjechać, a w kalendarzu umieścił fikcyjne zdanie o spotkaniu ze mną w niedziałającej już „Enigmie”. Wiedział, że gdyby zdarzyło się najgorsze, to policja do mnie dotrze, a ja nie zostawię tej sprawy własnemu biegowi.

Od samego początku nie mogłam uwierzyć w to, że Tomek Miciński pobił przesłuchiwanego na śmierć. Miałam słuszość, bo był to początek przygotowanej mistyfikacji. Przesłuchiwany umarł wskutek przedawkowania Digitalisu, a posądzenie Tomka o zabójstwo przyczyniło się do odsunięcia go od śledztwa. Nie dał on jednak za wygraną. Ciągnął je dalej, nie zważając na to, że robi się niebezpiecznie. On również zginął wskutek przedawkowania leku nasercowego, a egzekucja w parku była upozorowana. Jego ciało zostało wykradzione z kostnicy, gdy zlecono toksykologię. Pobrane próbki nigdy nie dotarły do laboratorium.

Jak się okazało, w dzienniku Tomka nie było nic istotnego. Dziwne znaki, odnośniki do starych ksiąg były zbiorem nic nieznaczących łamigłówek. Przewrotem w sprawie okazał się prawie niezapisany kalendarz Tomka, który znaleziono przy jego zwłokach. Wydał się wszystkim nieistotny. Notka o spotkaniu ze mną została zaszyfrowana w sposób tylko mnie wiadomy. W czasie wspólnej pracy na komendzie



mieliśmy własny szyfr, który nazywaliśmy Naszą Enigmą. Notka ujawniła termin i miejsce najbliższego przerzutu narkotyków. Miejscem okazała się gdańska PGE Arena. Niestety, przybyliśmy tam za późno, ale na tyle wcześnie, by ocalić życie Dominika. Znaleźliśmy go tam z raną kłutą brzucha, zamkniętego w jednej z szatni wraz ze zwłokami Tomka i Adriana. Według naszych domysłów dealowanie na boku Adrianowi się nie opłaciło.

Dominik, oślepiiony okalającymi stadion reflektorami, prawie niczego nie zobaczył. Wydawało mu się, że go mordują w jakimś zaklętym kręgu. Handlarze zdążyli załadować towar i zniknąć. Dzięki naszej akcji nie zdążyli jednak pozbyć się ciał. Wiemy, że któryś z policjantów im pomagał. Najbardziej martwi nas to, że prawdziwa tożsamość braci Daggnerów nie została ustalona.

Ψ

Beata wysiadła z windy i szła według strzałek. Weszła na szpitalny oddział, zaglądała do każdej sali chorych.

– Tu jestem – usłyszała w pewnym momencie głos Dominika.

Weszła trochę niepewnie, witając się z innymi pacjentami, aż doszła do ostatniego łóżka pod oknem.

– Jak się czujesz? – spytała.

Dominik nie odpowiedział od razu, jedynie rozpiął dwa guziki piżamy i pokazał biały bandaż okalający brzuch.

– Lekarze mówią, że już jest dużo lepiej. Miałem sporo szczęścia. Żołądek był prawie pusty. Żyję dzięki grypie...

– Potrzebujesz czegoś?

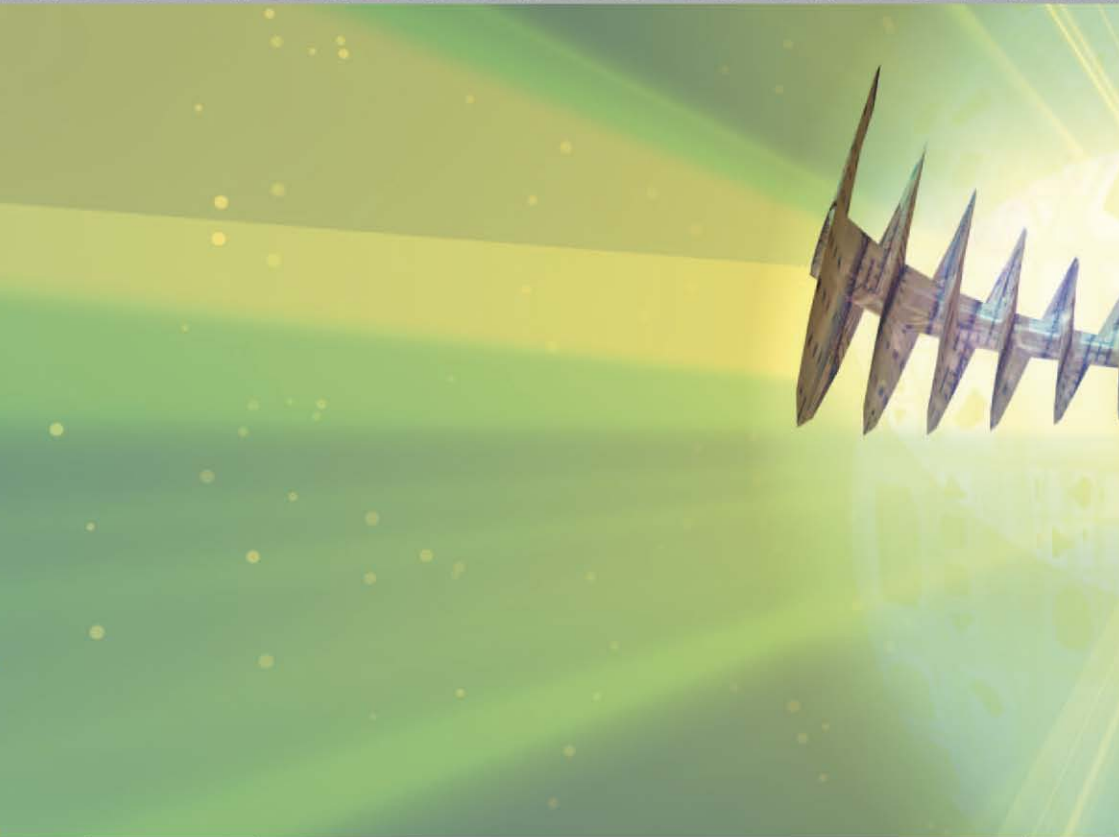
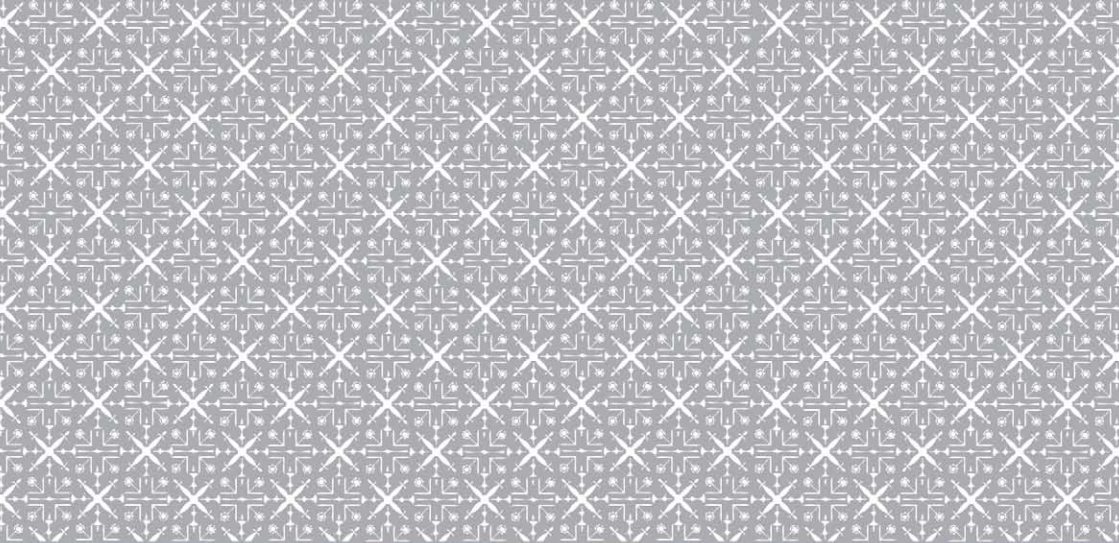
– Nie, wszystko mam... Chociaż nie, mam jedną prośbę... Pomóż mi ich złapać – powiedział tak cicho, by tylko ona mogła to usłyszeć i wsunął jej w dłoń kawałek szkła w tym dziwnym, niesamowitym kolorze.

– Był w bagażniku samochodu, którym mnie wieźli na stadion...

Beata podeszła do okna. Z okna szpitala na Zaspie widać było bursztynową kopułę PGE Areny. Dominik powiódł wzrokiem za kobietą.

– Za miesiąc jest tam koncert Bon Jovi. Mam nadzieję, że do koncertu wydobrzeję i że... ty wybierzesz się tam ze mną...





Publikacja non-profit wydana w ramach projektu  
„Warsztaty prozatorskie dla młodzieży 2013  
stopień zaawansowany”.

Dofinansowano ze środków  
Miasta Gdańska.

ISSN 1505-8476



9 771505 847001